

BIULETYN IPN

nr 1 (46)/2016

pamięć **PL**

Ignacy Sarnecki
– zapomniany
bohater

**Strajk łódzkich
studentów**

**Marszałek Polski,
agent sowiecki**



Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



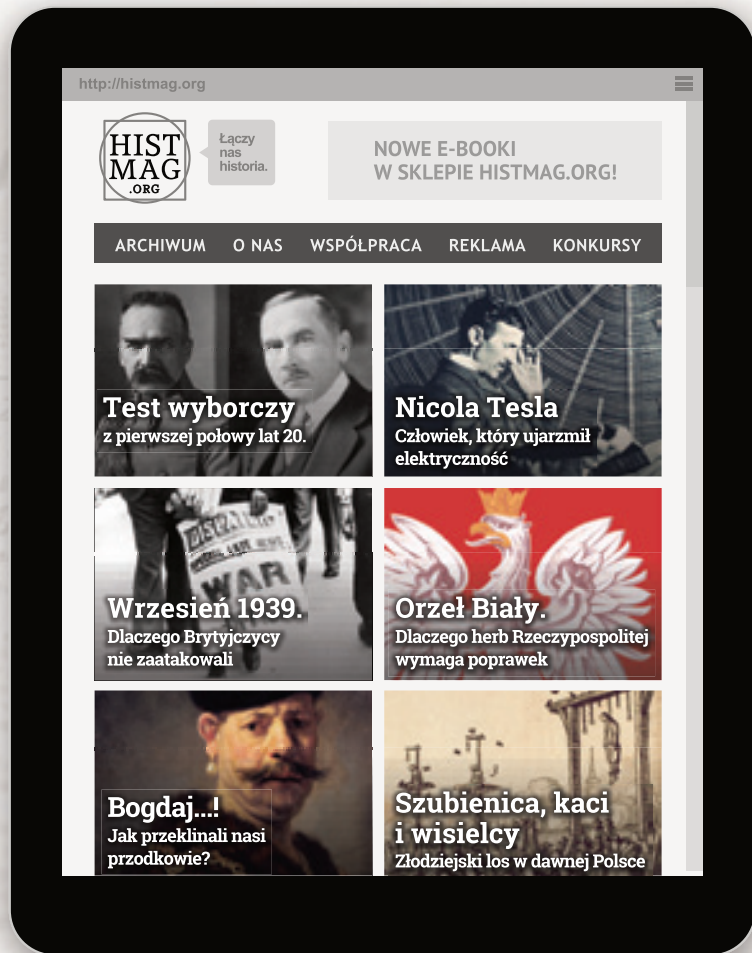
numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny: płyta z filmami

KL Auschwitz-Birkenau. Anatomia zbrodni

i Bylem w gestapo





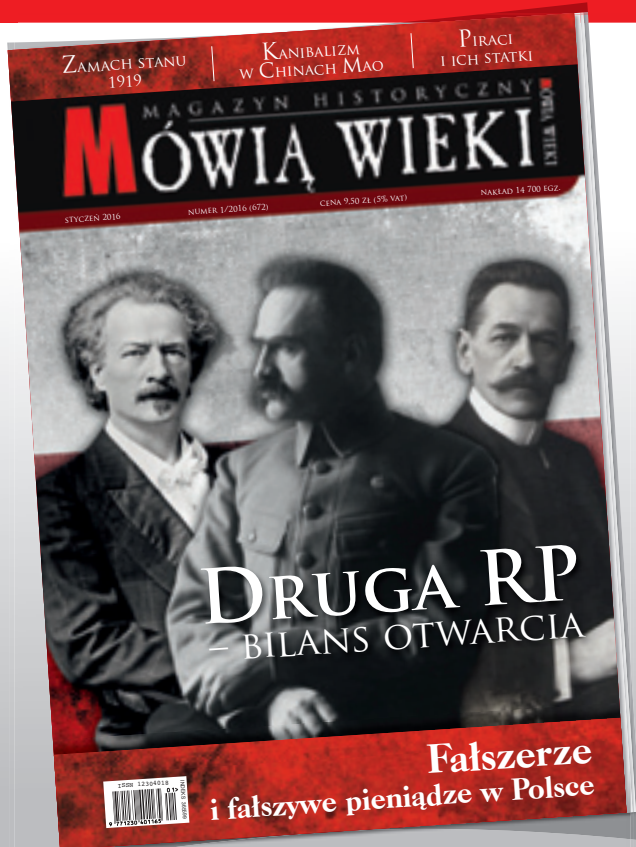
Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 58 lat!

TEMAT MIESIĄCA: II RP – BILANS OTWARCIA

- Rząd ludowy Jędrzeja Moraczewskiego
- Galicja na drodze do niepodległości
- Poznańskie. Od rewolucji w Niemczech do rozejmu w Trewirze

PONADTO:

- Wielki Skok Naprzód i kanibalizm, czyli kultura głodu w Chinach
- Krótka historia mierzenia czasu
- Między czerwonym młotem a białym kowadłem. Polacy w fińskiej wojnie domowej 1918
- dodatek edukacyjny „Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej”
- nowy dodatek historyczny „Pewne jak w banku”, przygotowywany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim. Odc. 1: Staropolscy fałszerze pieniędzy

oraz recenzje i nowości historyczne

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



2 AKTUALNOŚCI IPN

4 KALENDARIUM

6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

8 Krzysztof Gottesman, *Czterdzieści lat jak jeden rok*

STOP-KLATKA

10 Robert Szcześniak, *Warszawa – miasto feniks*

Z ARCHIWUM IPN

14 Grzegorz Wołk, *Zerwanie współpracy*

WYWIAD

16 *Bułgarski ślad* – rozmowa z dr. Andrzejem Grajewskim, współautorem książki *Agca nie był sam*

19 *Operacja „Papież”* – rozmowa z prokuratorem Markiem Skwarą, współautorem książki *Agca nie był sam*

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

22 Jarosław Pałka, *Marszałek Polski, szpieg sowiecki*

28 Mariusz Solecki, *Olbrzym niedorastający karłom do pięć*

32 Magdalena Dźwigal, *Czy ktoś słyszał o Sonnenburgu?*

36 Jacek Lachendro, *Auschwitz-Birkenau po wojnie*

41 Maciej Dawczyk, *Kartka z dziejów stalinizmu w szkole*

45 Andrzej Czyżewski, *„Górski, Górski, miły bracie, daj swobodę nam w senacie...”*



Fot. AIPN



Fot. PAP



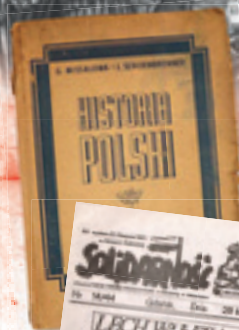
Fot. WCEO



Fot. R. Mazelew/ze zbiorów APMA-B



Fot. FilMOTEKA Narodowa



Fot. AIPN



Fot. MWPP



Fot. ze zbiorów Tomasa Zawistowskiego

Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO

50 Jan Olaszek, *Strajkowa bibuła*

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...

55 *Zostały nam las i walka*
– relacja Ignacego Sarneckiego

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKРАНU

59 Jerzy Eisler, *Rewers*

ORZEŁ BIAŁY

62 Tomasz Zawistowski, *Orły 12. Pułku Ułanów Podolskich w kampanii włoskiej*

Z BRONIĄ W RĘKĘ

66 Michał Mackiewicz, *Vis pod okupacją*

EDUKACJA HISTORYCZNA

69 Paweł Kowalski, *IV rozbiór Polski*
– puzzle edukacyjne

71 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

Na jednym ze zdjęć, które publikujemy w tym numerze „Pamięci.pl” (na str. 56), stoi czterech partyzantów. Wśród nich Ignacy Sarnecki, który pojawia się także na naszej okładce. Jest rok 1946, Sarnecki jest najmłodszy w oddziale, ma niespełna 17 lat. Niedługo potem tzw. władza ludowa wsadzi go do więzienia i „wyklnie” – jak innych żołnierzy podziemia niepodległościowego. Prawie 70 lat później drukujemy fragment niepublikowanych dotąd wspomnień Ignacego Sarneckiego, którego droga życiowa to przykład oddania ojczyźnie – przez walkę z bronią w rękę, lecz także działalność na rzecz rodaków w czasie pokoju. O zasługach tej nietuzinkowej postaci napiszemy jeszcze w 2016 roku. W numerze pojawia się także postać stojąca w tym samym czasie po ciemnej stronie mocy – marsz. Michał Rola-Żymierski, jeden z utrwalaczy władzy ludowej, sowiecki agent, przedwojenny komunista z kryminalną przeszłością. Jarosław Pałka w swoim artykule opisuje jego krętą drogę od zasłużonego dla odzyskania niepodległości legionisty, przez zdradę i degradację, aż do objęcia dowodzenia polskim (?) wojskiem – dzięki zasługom dla wrogów ojczyzny.

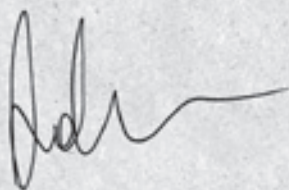
Ważnym elementem konstruowania „ludowego” państwa było odpowiednie wychowanie młodzieży, szczególnie edukacja historyczna. Rzecz jasna słowo „edukacja” należy wziąć tu w wyraźny cudzysłów, bo nie o naukę tu chodziło, lecz zafałszowanie i indoktrynację. O pierwszych po wojnie podręcznikach do nauki historii pisze Maciej Dawczyk. Jednym z symboli komunistycznej propagandy w tamtym czasie jest słynny plakat *Ołbrzym i zapluty karzeł reakcji*. O propagandowej kampanii przeciwko podziemiu niepodległościowemu i autorze plakatu, Włodzimierzu Zakrzewskim, pisze Mariusz Solecki.

W styczniu przypada kolejna rocznica zajęcia przez Armię Czerwoną obozu koncentracyjnego Auschwitz. Uciekający Niemcy mimo prób nie zdołali zatrzeć śladów zbrodni. Historia tego miejsca stała się jednak także elementem polityki nowej władzy i przedmiotem sporów. O tużpowojennych losach „fabryki śmierci” i początkach muzeum pisze Jacek Lachendro.

35 lat temu w styczniu strajk okupacyjny rozpoczęli studenci Uniwersytetu Łódzkiego. Do walki o samorządność uczelni wyższych i możliwość utworzenia niezależnej organizacji studenckiej przyłączały się kolejne ośrodki uniwersyteckie w całej Polsce, zmuszając w końcu władze do rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. O determinacji strajkujących i trudnych negocjacjach z ministerstwem pisze Andrzej Czyżewski.

Do numeru dołączyliśmy dwa filmy wyróżnione w ubiegłorocznej edycji konkursu Audycja Historyczna Roku.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Bartosz Kuświk,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Szulc,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska,
dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98,
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Hubert Rabiński
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa
Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl
Druk: „Legra” sp. z o.o.
ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków
Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

**ZNAJ
ZNAK**
GRA EDUKACYJNA
NA PRĄD

■ Wszystkim, którzy nie znaleźli pod choinką żadnej gry planszowej, Instytut Pamięci Narodowej proponuje **ZnajZnak – Na prąd**, i to bez potrzeby kupowania pudełka z kartami. W październiku ubiegłego roku gra zadebiutowała na portalu społecznościowym Facebook. Teraz można ją zainstalować również na tabletach i smartfonach. – Wiele osób spędza czas w komunikacji miejskiej, poczekalniach i innych przypadkowych sytuacjach, grając w różne gry typu *casual*, czyli niespecjalnie absorbujące gry rekreacyjne – mówi Łukasz Pogoda z Biura Edukacji Publicznej IPN, odpowiedzialny za produkcję komputerowej wersji gry. – Chcielibyśmy dotrzeć do tej grupy ze *ZnajZnakiem* – dodaje. *ZnajZnak* za pomocą 133 symboli opowiada najnowszą historię Polski. Przekazując wiedzę, nie nudzi i nie męczy. Grę w wersji cyfrowej można znaleźć w Google Play i App Store. Więcej informacji na stronach www.pamiec.pl, www.znajznak.pl oraz www.facebook.com/Znajznak.



■ 8 grudnia katowicki IPN otrzymał **dokumenty z prywatnych zbiorów Kazimierza Świtonia** – opozycjonisty z czasów PRL, twórcy Wolnych Związków Zawodowych. Wśród materiałów są m.in. grypsy z więzienia, listy z okresu internowania i testament polityczny. Zachowało się również wiele dokumentów prokuratorskich, sądowych czy z kolegium do spraw wykroczeń. Kolekcję wzbogacają liczne fotografie i materiały audio-wizualne. – Przekazałam te zbiory, żeby historia męża nie zginęła – tłumaczyła Dorota Świtonia, wdowa po zmarłym w grudniu 2014 roku działaczu.



Fot. Katarzyna Dybał

■ W grudniu Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Gruzji przekazało Instytutowi Pamięci Narodowej kolejną partię – ponad 6 tys. skanów – **dokumentów NKWD** dotyczących Polaków. Chodzi o sprawy związane m.in. z działalnością szpiegowską, tzw. agitacją antysowiecką i uciezkami z więzienia bądź miejsca zesłania. Najstarsze z tych materiałów pochodzą z lat czterdziestych, najnowsze – z roku 1989.

Pozyskanie skanów było możliwe dzięki umowie zawartej przez IPN i Akademię MSW Gruzji w maju 2013 roku. W ten sposób instytut uzyskał dostęp do dokumentów związanych z ważnymi wydarzeniami z historii Polski i Polaków w Gruzji. IPN chce, by jak najwięcej tego typu materiałów trafiło do obiegu naukowego. Jeszcze w pierwszej połowie tego roku ma się ukazać tom poświęcony represjom wobec Polaków w sowieckiej Gruzji w okresie terroru z lat 1937–1938.

■ W trakcie grudniowych **prac poszukiwawczych** na terenie dawnej katowni gestapo, NKWD i UB przy ul. 1 Maja w **Płocku** odnaleziono szczątki co najmniej dwóch osób. – Z pojedynczych relacji wiemy, że w piwnicach tego budynku, w czasie gdy był on siedzibą UB w Płocku, umierali ludzie, a niektórzy byli zabijani. Ich zwłoki miały być chowane na dziedzińcu wewnętrznym gmachu – powiedział PAP dr hab. Krzysztof Szwaagrzyk, pełnomocnik prezesa IPN ds. poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terronu komunistycznego.



Fot. Jacek Pawłowicz

Prace w Płocku Instytut Pamięci Narodowej prowadził wspólnie z archeologami z firmy „Tempus” oraz specjalistami z zakresu medycyny sądowej z Wrocławia.

■ Do 25 stycznia w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** można oglądać **wystawę „Koniec i początek. Rok 1945 na Górnym Śląsku”**, przygotowaną przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Katowicach. Na poszczególnych planszach przybliżono ówczesne realia w tym regionie: od okupacji niemieckiej, przez wkroczenie na Górny Śląsk Armii Czerwonej i deportację mieszkańców do ZSRR, po tworzenie się polskiej administracji, politykę narodowościową (weryfikacja i rehabilitacja), wysiedlenie ludności niemieckiej, funkcjonowanie systemu obozowego i odbudowę życia społeczno-gospodarczego. Tematy te zostały zilustrowane fotografiami, dokumentami, afiszami i wycinkami prasowymi.

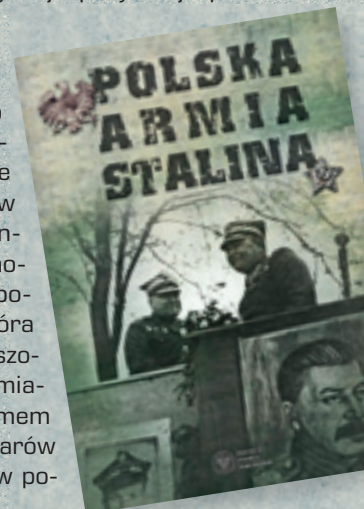


lenie ludności niemieckiej, funkcjonowanie systemu obozowego i odbudowę życia społeczno-gospodarczego. Tematy te zostały zilustrowane fotografiami, dokumentami, afiszami i wycinkami prasowymi.

Od 19 stycznia do 21 lutego w **Muzeum Lubelskim na zamku** będzie prezentowana najnowsza **wystawa** lubelskiego Biura Edukacji Publicznej IPN – **„Polska armia Stalina”**.

Armia ta była znana pod różnymi nazwami, bardziej lub mniej oficjalnymi, a niekiedy zawłaszczonymi przez komunistów: Wojska Polskiego na Wschodzie, I Korpusu, Armii Polskiej w ZSRR, kościuszkowców, berlingowców, wojska Polski lubelskiej, odrodzonego Wojska Polskiego czy najbardziej utrwaloną – ludowego Wojska Polskiego. Formacja została powołana w 1943 roku przez Stalina i, niezależnie od krwi przelanej przez tysiące żołnierzy na froncie wschodnim, odegrała w historii przede wszystkim rolę polityczną – karty przetargowej w działaniach dyplomatycznych oraz narzędzia indoktrynacji i pacyfikacji społeczeństwa.

Wystawa, obejmująca okres od początków II wojny światowej do połowy lat pięćdziesiątych, za pomocą przede wszystkim fragmentów wspomnień i dokumentów oraz bogatej ikonografii, stara się przypomnieć dzieje armii, która – choć złożona w większości z ludzi nieutożsamiających się z komunizmem – stała się jednym z filarów totalitarnych rządów w powojennej Polsce.



POSTAĆ MIESIĄCA

20 stycznia 1951: Biskup kielecki Czesław Kaczmarek został aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Pochodził z rodziny chłopskiej. Studiował w seminarium duchownym w Płocku, doktoryzował się na uniwersytecie we francuskim Lille. Świecenia kapłańskie przyjął w 1922 roku. Szesnaście lat później został biskupem kieleckim. W czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej był przeciwnikiem akcji zbrojnych podziemia, uważał bowiem, że prowadzą jedynie do daremnego przelewu krwi. W liście pasterskim z jesieni 1939 roku apelował do wiernych, aby „okazali się posłusznymi względem władz administracyjnych we wszystkim, co nie sprzeciwia się sumieniu katolickiemu i naszej polskiej godności”. Po napaści Niemiec na ZSRR wsparł konspirację niepodległościową. Zarazem starał się patronować tajnemu nauczaniu. Po wojnie prezentował nieprzejednaną postawę antykomunistyczną. Był przeciwnikiem porozumienia, które prymas Stefan Wyszyński podpisał w kwietniu 1950 roku z rządem – tj. daleko idących ustępstw Kościoła w nadziei na ograniczenie represji ze strony władz. Został aresztowany, a następnie poddany dłu-



Fot. AIPN

▶ Biskup Czesław Kaczmarek (1895–1963)

giemu i brutalnemu śledztwu. Pokazowy proces odbył się we wrześniu 1953 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Zmaltretowany biskup przyznał się do zarzucanych mu nieprawdopodobnych czynów: kolaboracji z Niemcami, szpiegostwa na rzecz USA i Watykanu oraz próby obalenia „władzy robotniczo-chłopskiej”. Sąd wymierzył karę 12 lat więzienia. Gdy wkrótce aresztowano także prymasa Wyszyńskiego, zastraszonego episkopat potępił „przestępcze działania” Kaczmarka. 10 lutego 1955 roku schorowany biskup został czasowo zwolniony. Rok później znów jednak trafił do więzienia. W marcu 1957 roku, po zmianie ekipy rządzącej w PRL, prokuratura zdecydowała o umorzeniu śledztwa. Kaczmarek powrócił do swej diecezji, ale nigdy nie odzyskał pełni zdrowia. Do końca życia był niewygodny dla władz. W 1959 roku komuniści próbowali doprowadzić do usunięcia go ze stanowiska, jednak papież Jan XXIII nie uległ tym naciskom.

W 2007 roku bp Czesław Kaczmarek został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.



Fot. AIPN

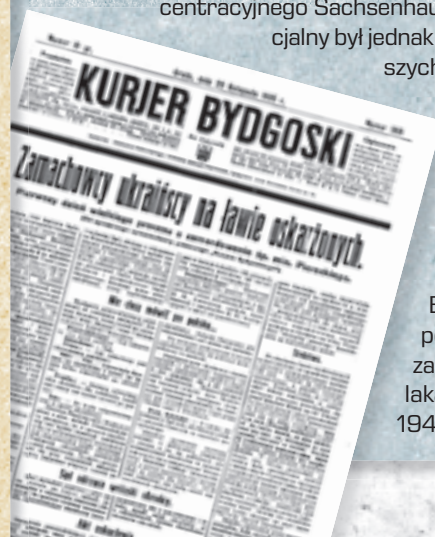
9 stycznia 1986: W Gdańsku aresztowano Bogdana Borusewicza. Borusewicz był działaczem Komitetu Obrony Robotników i Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, a w sierpniu 1980 roku – jednym z inicjatorów i organizatorów strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Wszedł do prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego gdańskiej Solidarności. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku zdołał uniknąć zatrzymania. W czasie stanu wojennego stał się jednym z liderów podziemnej opozycji. Przez kilka lat skutecznie wymykał się Służbie Bezpieczeństwa. Został zatrzymany przy ul. Sokolej w Gdańsku – w lokalu, w którym mieściła się podziemna drukarnia. „Chciałem uciekać, ale wyskoczyło kilku, chyba sześciu. [...] Obalili mnie, wciągnęli do środka” – wspominał później. We wrześniu 1986 roku wyszedł na wolność na mocy amnestii. Kontynuował działalność opozycyjną. W 1989 roku odmówił udziału w obradach Okrągłego

Stołu, uważał bowiem porozumienie z władzami komunistycznymi za przedwczesne. Po powtórnej legalizacji Solidarności zasiadał w jej władzach, starał się nawet – bez powodzenia – o stanowisko przewodniczącego związku. Przez długi czas był posłem na sejm. Dziś jest wicemarszałkiem senatu.

13 stycznia 1936: Sąd Okręgowy w Warszawie skazał na karę śmierci Stepana Banderego.

15 czerwca 1934 roku, w centrum stolicy, od kul ukraińskiego nacjonalisty Hryhorija Maciejki zginął minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Sprawca zbiegł za granicę, ale w listopadzie 1935 roku ruszył proces dwunastu innych osób oskarżonych w tej sprawie. Zarzucano im nie tylko udział w zabójstwie Pierackiego, lecz także chęć oderwania od Polski województw południowo-wschodnich. Był w tej grupie Stepan Bandera – lider Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Prezentował na sali rozpraw butną postawę i w oczach części rodaków stał się bohaterem. Sądy dwóch instancji – warszawski i lwowski – orzekły wobec niego karę śmierci, zamienioną jednak na mocy amnestii na wyrok dożywotniego więzienia. Lider OUN odzyskał wolność we wrześniu 1939 roku, krótko po napaści Niemiec na Polskę. Próbował doprowadzić do powstania niepodległej Ukrainy, ale nie dopuścili do tego władze III Rzeszy. Bandera trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen – jako więzień specjalny był jednak przetrzymywany w lepszych warunkach niż zwykli

osadzeni. Po wojnie mieszkał w Bawarii. W 1959 roku został zamordowany najprawdopodobniej przez agenta KGB. Współtworzona przez Banderego frakcja OUN ponosi odpowiedzialność za masowe mordy na Polakach, głównie w latach 1943–1944.



18 stycznia 1951: W więzieniu mokotowskim w Warszawie stracono żołnierzy 11. Grupy Operacyjnej Narodowych Sił Zbrojnych. Grupa została utworzona latem 1946 roku i była jedną z największych organizacji podziemia antykomunistycznego na Mazowszu – jej struktury bojowe liczyły ok. 130 żołnierzy. Twórcą i komendantem tej formacji był por. Stefan Brónarski „Liść”, „Roman”, były oficer Kedywu Armii Krajowej. Grupa prowadziła działalność wywiadowczą i propagandową, likwidowała funkcjonariuszy UB i aktywistów Polskiej Partii Robotniczej, brała udział w potyczkach z siłami aparatu bezpieczeństwa. Jesienią 1948 roku UB aresztował „Liścia”, a także kilkudziesięciu innych członków i współpracowników organizacji. Zostali poddani brutalnemu śledztwu, oskarżeni o udział w „nielegalnych organizacjach AK i NSZ”, rzekomą współpracę z Niemcami i walkę z „patriotycznie nastawionymi” partyzantami komunistycznymi. 3 lipca 1950 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod przewodnictwem Mieczysława Widaja ogłosił



▶ Jan Przybyłowski „Onufry”

Fot. AIPN



▶ Wiktor Stryjewski „Cacko”

Fot. AIPN



▶ Stefan Brónarski „Liść”, „Roman”

Fot. AIPN

wyroki. Na karę śmierci zostali skazani Brónarski, Stefan Majewski „Szczepan”, Jan Przybyłowski „Onufry”, Wiktor Stryjewski „Cacko”, Jerzy Wierzbicki „Dodek” i Jan Nowak „Korab”, ostatni komendant Okręgu Płockiego AK. Tylko wobec tego ostatniego prezydent Bolesław Bierut skorzystał z prawa łaski.

26 stycznia 1971: W Łazienkach odbyło się inauguracyjne posiedzenie Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

Od pierwszych dni II wojny światowej Zamek Królewski – rezydencja prezydenta RP i symbol państwowości polskiej – był celem ataków lotnictwa niemieckiego i artylerii. 17 września 1939 roku budynek stanął w płomieniach. W czasie Powstania Warszawskiego saperzy niemieccy wysadzili mury. Po wojnie o rekonstrukcję gmachu długo zabiegało środowisko historyków, architektów i konserwatorów. Już w czerwcu 1945 roku powołano Pracownię Odbudowy Zamku. Plany władz komunistycznych, by umieścić w budynku siedzibę najwyższych władz państwowych, nie doczekały się jednak realizacji. Upadł także pomysł z drugiej połowy lat pięćdziesiątych, by odtworzony zamek stał się siedzibą muzeum tysiąclecia. Dopiero w styczniu 1971 roku Biuro Polityczne KC PZPR ostatecznie zdecydowało o odbudowie. Na czele odpowiedzialnego za nią zespołu stanął partyjny aparatczyk Józef Kępa, ale wiceprzewodniczącym został prof. Stanisław Lorentz, długoletni dyrektor Muzeum Narodowego. „Niech każdy wzniesie po cegle, a razem stworzymy z odbudowanego Zamku nowy wielki symbol narodowej jedności. Niech każda złotówka będzie symbolem przywiązania do tradycji narodowych i poczucia więzi narodowej wszystkich Polaków” – apelował do rodaków komitet. Prace budowlane, finansowane ze składek społecznych i darów Polonii, ruszyły we wrześniu tego samego roku. W sierpniu 1984 roku uroczystie udostępniono zamek publiczności. Prace rekonstrukcyjne ciągnęły się jeszcze dłużej. Zrewitalizowane Arkady Kubickiego oddano do użytku w 2009 roku.

Fot. NAC



20 stycznia 1946: Marszałek Michał Żymierski wydał rozkaz o utworzeniu wojskowych sądów rejonowych.

Pierwsze lata po II wojnie światowej to wyjątkowo ponury okres w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości. Władze komunistyczne bezwzględnie łamały opór społeczny, a dyspozycyjne wobec nich sądy w „majestacie prawa” skazywały polskich patriotów. Ważną rolę odgrywały wojskowe sądy rejonowe, istniejące do 1955 roku. Otrzymały one uprawnienia m.in. do skazywania osób cywilnych, oskarżonych o tzw. przestępstwa przeciwko państwu. W praktyce można tak było zakwalifikować np. działalność niepodległościową. Sędziowie WSR, często niemający odpowiedniego wykształcenia prawniczego, bez skrupułów skazywali na karę śmierci lub długoletniego więzienia – nierzadko wbrew dowodom, na podstawie zeznań wymuszonych w śledztwie. „Ferowanie wysokich wyroków miało wyeliminować (niekiedy na zawsze) przeciwników nowego ustroju, którzy podjęli z nim aktywną walkę, oraz zniechęcić do oporu niezdecydowanych” – pisze dr Joanna Żelazko, autorka publikacji o łódzkim WSR. Przygotowana przez IPN lista osób, które z powodów politycznych zostały skazane na karę śmierci przez wojskowe sądy rejonowe, liczy ponad 3 tys. nazwisk. Do dziś wiele z tych wyroków zostało unieważnionych.

Fot. PAP



25 gr.

ILUSTROWANY

KURJER CODZIENNY



4 stycznia 1939 roku

Ś.p. Roman Dmowski – tak został zatytułowany obszerny materiał, który ukazał się w „**Ilustrowanym Kurjerze Codziennym**” po śmierci niespełna siedemdziesięcioletniego współtwórcy i przywódcy Narodowej Demokracji, jednej z najważniejszych formacji politycznych Polski międzywojennej. Dmowski zmarł w Drozdowie pod Łomżą 2 stycznia 1939 roku.

Z artykułu dowiadujemy się: „Z grona czołowych Polaków, których nazwiska związały się ściśle z naszą historią ostatniej doby walk o niepodległość, ubył nagle człowiek, który dla znacznej części społeczeństwa polskiego był mężem sztandarowym. Polityk na miarę europejską, publicysta, usiłujący w twardej pracy znajdować dla narodu nowe drogi życia i swój własny nurt polityczny, twórca światopoglądu, który zrosł się z jego nazwiskiem nierozdzielnie, czynny do ostatnich dni swojego życia, zamknął oczy na zawsze”. Autor – po najważniejszych informacjach dotyczących życia prywatnego, osiągnięć naukowych, a zwłaszcza działalności politycznej i publicystycznej zmarłego – przypomniał, że w 1917 roku Dmowski założył w Paryżu Komitet Narodowy Polski i stanął na jego czele. „Ten okres działalności należy do najświetniejszych kart w życiu [...] Dmowskiego. Potrafił wespół z Ignacym Paderewskim [razem zresztą podpisali później w imieniu rządu polskiego traktat wersalski] poruszyć i zaktualizować sprawę polską, zarówno w Paryżu jak i w Londynie [...]. Potrafił stworzyć z Polskiego Komitetu Narodowego po stronie mocarstw koalicyjnych jedyną reprezentację polską, która mogła podjąć w chwili upadku mocarstw centralnych rolę przedstawicielstwa powstającego państwa polskiego. Na stanowisku prezesa Polskiego Komitetu Narodowego doprowadził do powstania silnej, należycie uzbrojonej i wyekwipowanej armii polskiej [gen. Józefa Hallera], złożonej zarówno z polskiej emigracji, jak i z Polaków i jeńców wojennych, którzy przebywali w obozach włoskich, francuskich i angielskich”. Po powrocie do kraju Dmowski był posłem na Sejm Ustawodawczy i – krótko – ministrem spraw zagranicznych w rządzie Wincentego Witosa.

„Z ś.p. Romanem Dmowskim schodzi do grobu – czytamy – człowiek wysokiej kultury i wielkiego umysłu, polityk usiłujący znaleźć kompromis pomiędzy gorąco miłującym swój naród sercem i zimno obliczającym wszystko mózgiem. Należał do postaci, które swym ideałem poświęcają się bez reszty, które dla swych koncepcji gotowe poświęcić wszystko. Głosząc realną pracę dla przyszłości narodu, zaczął tę pracę od samego siebie. Życie Jego było jednym pasmem nieustannej, łamiącej wielkie przeszkody pracy, starającej się znaleźć sens narodowego życia i drogi narodowego rozwoju. Wszystko, co podejmował, o co walczył, było podyktowane gorącą miłością do narodu i ziemi, dla których był zawsze wiernym sługą i żołnierzem”.

19 i 22 stycznia 1946 roku

„Warszawa żyje pod znakiem Kongresu Polskiego Stronnictwa Ludowego. Ludność stolicy wie, że gości w swoich murach kilka tysięcy chłopów, którzy z bliska i z daleka przyjechali na swój Sejm Chłopski. Oczywista pełnymi wzruszeń patrzą przechodnie na sztandary zielone, które jak relikwie przechowały wsi w ukryciu przed okupantem” – w podniosłym stylu donosiła peeselowska „**Gazeta Ludowa**” z 19 stycznia 1946 roku.

W pierwszych miesiącach po II wojnie światowej to właśnie PSL było najpoważniejszym konkurentem politycznym komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej. Oba ugrupowania współtworzyły Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, a jednocześnie PPR bezwzględnie zwalczała niezależny ruch ludowy, wykorzystując kontrolowany przez siebie aparat propagandy i terroru.

Na zewnątrz dbano jeszcze o pozory. Na kongresie PSL, odbywającym się w sali teatru „Roma”, gościnnie pojawili się czołowi polscy komuniści, w tym Bolesław Bierut i Władysław Gomułka. Zostali jednak chłodno przywitani przez delegatów. Na gorące przyjęcie mógł za to liczyć Stanisław Mikołajczyk – lider ludowców, były premier RP na emigracji, a od czerwca 1945 roku wicepremier TRJN i minister rolnictwa. Jego kandydatura na prezesa PSL była bezdyskusyjna.

„Sala zatrzęsa się od entuzjazmu i spontanicznego wybuchu radości – relacjonowała »Gazeta Ludowa« z 22 stycznia 1946 roku. – Ktoś zaintonował »Jeszcze Polska nie zginęła«, Kongres zerwał się z miejsc i chóralnym śpiewem Hymnu Narodowego witał swojego nowego Prezesa. Głosowanie było tylko formalnością. [...] Tak wieś polska, tak polski lud rolny witał i czcił wybór Prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego, który obejmuje ster sprawy ludowej i sprawy narodowej po sześciu latach strasznej zawieruchy, na progu nowych czasów, które dać mają narodowi Polskę Nową, dla wszystkich swoich dzieci dobrą i opiekuńczą Macierz i Ojczyznę”.

PSL-owi nie było dane zrealizować swej wizji „Wolnej, Niepodległej Polski Ludowej”. W styczniu 1947 roku komuniści sfalszowali wybory do sejmu. Jesienią tego samego roku Mikołajczyk, obawiając się aresztowania i procesu, potajemnie opuścił kraj.





9–10 stycznia 1966 roku

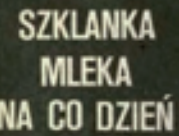
Na pierwszej stronie „Dziennika Polskiego” z 9–10 stycznia 1966 roku zamieszczono *Komunikat Urzędu Rady Ministrów* dotyczący zakazu wyjazdu prymasa Stefana Wyszyńskiego na obchody milenium chrztu Polski do Watykanu. URM publikował na łamach prasy własną korespondencję do sekretarza episkopatu, ks. bp. Zygmunta Choromańskiego. W dokumencie poinformowano stronę kościelną, że „z polecenia premiera rządu PRL władze administracyjne nie mogą wyrazić zgody na wyjazd ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego za granicę”. Oznaczało to, że prymasowi cofnięto paszport. „Władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dotychczas zawsze umożliwiały i ułatwiały księdzu kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu wyjazdy zagraniczne w przekonaniu, że związane są one z działalnością religijną Kościoła w Polsce” – pisano w komunikacie, podkreślając dobrą wolę rządu PRL. Zaznaczono też, że kardynał otrzymywał za każdym razem paszport dyplomatyczny – co miało świadczyć o uznaniu państwa dla prymasa. W dalszej części przedstawiono powody, dla których kard. Wyszyński został przymusowo zatrzymany w Polsce: „ksiądz kardynał wykorzystał swój ostatni pobyt w Rzymie nie tylko dla celów związanych z działalnością religijną, ale również dla działań politycznych, szkodliwych z punktu widzenia interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Powoływano się na „tzw. orędzie” biskupów polskich do niemieckich, wyśtosowane w czasie Soboru Watykańskiego II. Twierdzono, że orędzie „zawiera sformułowania szkodliwe dla polskiej racji stanu i mogące narazić na szwank interesy państwa polskiego”. Przedstawiono zarzut, że „zostało zredagowane wspólnie z biskupami niemieckimi w tajemnicy przed rządem polskim, którego ksiądz kardynał Stefan Wyszyński nie uznał nawet za wskazane powiadomić o zamiarze wysłania orędzia do biskupów niemieckich i – co więcej – po dzień dzisiejszy nie dostarczył rządowi polskiemu oryginalnej wersji tego orędzia”. Dokument ten, zdaniem autorów komunikatu, został wykorzystany przez biskupów niemieckich i „zachodniemieckich rewizjonistów” do zakwestionowania granicy Polski na Odrze, Nysie i Bałtyku.

Orędzie biskupów polskich do niemieckich było dla władz PRL pretekstem do rozpoczęcia kampanii przeciwko rodzimemu episkopatowi. Dokument – dziś oceniany jako jedna z ważniejszych inicjatyw w powojennych stosunkach polsko-niemieckich – był dla komunistów niewygodny, ponieważ nie było w nim mowy o przewodniej roli ZSRR w polskiej polityce zagranicznej. Orędzie pokazało również, że Polacy mogą rozmawiać ze światem bez udziału władzy komunistycznej, że Polska sama może ułożyć stosunki z zachodnimi, „imperialistycznymi” Niemcami. Dla władz peerelowskich, zależnych od woli politycznej Kremla, orędzie stało się okazją do ataku na kard. Wyszyńskiego. Odbiorcom w kraju próbowano wmówić, że prymas i biskupi zdradzili Polskę. W rzeczywistości list episkopatu był początkiem pojednania z Niemcami. 📌

Komunikat Urzędu Rady Ministrów

5 stycznia 1986 roku

Szklanka mleka na co dzień – brzmiał tytuł artykułu na pierwszej (nie licząc okładki) stronie tygodnika „Stolica”. Nie był to jednak tekst napisany przez dietetyka, nie dotyczył też powracającej co jakiś czas akcji rozdawnictwa białego napoju w szkołach. Materiał dotyczył poważnych problemów ekonomicznych. „Mleko i jego przetwory stanowią ważną pozycję w wyżywieniu ludności. Szczególnie teraz, gdy mięso jest reglamentowane, a na obfitość ryb w sklepach liczyć nie można, zapewnienie wystarczających ilości dobrego mleka stało się sprawą pierwszorzędą, problemem społecznym” – diagnozowała Krystyna Tymieńska. Mleka i jego przetworów produkowano co prawda wystarczające ilości, ale znacznie gorzej było z ich dystrybucją, bo – jak oceniała autorka tekstu – handlowcom brakowało wyobraźni potrzebnej do przewidzenia, ile czego można w danym dniu sprzedać. „Są i tacy kierownicy sklepów, którzy asekurancko zamawiają mniej niż mogliby sprzedać, tłumacząc rozsierdzonym pustymi półkami ludziami, że »nie dowieźli«. Dotyczy to szczególnie mleka. Polskie mleko ma tzw. trwałość handlową tylko 12 godzin. Utrudnia to obrót tym artykułem i wywołuje niechęć sprzedawców”. Młodszym czytelnikom, którzy nie widzieli w sklepach innego mleka niż sterylne UHT w kartonach lub pasteryzowane w hermetycznie zamkniętych butelkach, trzeba wyjaśnić, że w latach osiemdziesiątych w polskich sklepach sprzedawano mleko co najwyżej pasteryzowane i niedostatecznie schładzane podczas produkcji, przez co po kilku godzinach od dostawy nadawało się najwyżej na zsiadłe. Tym bardziej że warunki jego przechowywania w sklepach pozostawiały wiele do życzenia. „Tylko 40 procent większych sklepów ma odpowiednie boksy, pakamery, by przyjąć mleko z transportów nocnych, ochronić je tym samym przed niesprzyjającymi warunkami atmosferycznymi i złodziejami. Tylko 10–15 procent stołecznych sklepów spożywczych wyposażonych jest wystarczająco w urządzenia chłodnicze, a i te nie zawsze są wykorzystywane. Nieczynne lada chłodnicze tygodniami czekają na naprawę, a tymczasem ekspedientkom wchodzi w nawyk sprzedaż artykułów mleczarskich »spod ręki«, poustawianych byle gdzie”. Przede wszystkim jednak nieprzesadnie wysoki był poziom higieny produkcji. „Grzechy producentów są powszechnie znane, wylicza je cała prasa, pomstując na brudne obory, dosypywanie [proszku do prania] Ixi, szwindle w zlewniach itp.”. Warto o tym wszystkim pamiętać przed rozpoczęciem sentymentalnych wspomnień o niepowtarzalnym smaku peerelowskiego mleka ze szklanej butelki z aluminiowym kapslem. 📌





Czterdzieści lat jak jeden rok

Krzysztof Gottesman

Ciekawy rok nas czeka. Przyjdzie nam w nim obchodzić kilka bardzo ważnych rocznic związanych z historią PRL. W tym samym czasie będziemy się też zapewne kłócić o kształt polityki historycznej. Od tego, jak wykorzystamy ten zbieg okoliczności, zależy bardzo wiele.

Nie ma lepszego pretekstu niż okrągła rocznica, by przypomnieć ważne wydarzenia z przeszłości, zastanowić się nad nimi, wyciągnąć wnioski. Tak działają media, także politycy, ludzie zajmujący się edukacją. Wszyscy oni w rozpoczętym właśnie roku będą mieli bardzo dużo roboty z historią.

Lata 1946, 1956, 1966, 1976, 1986. Pięć lat wyciętych z istniejącej blisko pół wieku PRL. Ale jakie to lata! Każde z nich niesie w sobie przełomowe wydarzenia, a razem tworzą wyjątkową całość, swoiste kontinuum władzy komunistów w Polsce.

Punkt pierwszy na tym kontinuum to rok 1946. Zachodni sojusznicy wymogli na Sowietach obietnicę, że w powojennej Polsce odbędą się szybko demokratyczne wybory. Nie wydaje się, by sami wierzyli w spełnienie tej obietni-

cy. Bardziej im zależało na pokazaniu własnej opinii publicznej i Polakom, że przecież się starali. W rzeczywistości ważniejsze były przychylność Stalina i szybkie zakończenie wojny. Polska w tych rachubach na niewiele mogła liczyć. I faktycznie. W kraju szalał terror komunistyczny, przeciwnicy polityczni ginęli, trwały masowe wywózki na Wschód, zapelniały się więzienia. A wybory komuniści ciągle odwlekali i zamiast nich wymyślili referendum ludowe ze słynnymi trzema pytaniami oraz propagandowym zawołaniem „trzy razy tak”. Pytania wymyślono tak, by wyniki pokazały, że większość Polaków jest za PPR i jej sprzymierzeńcami. Polacy poszli do urn 30 czerwca 1946 roku. Opozycja, skupiona wokół Mikołajczykowskiego PSL, nawoływała do głosowania „nie” na pierwsze pytanie, dotyczące istnienia senatu. Terror, okazało się, nie wystarczył. Trzy czwarte głosujących opowiedziało się przeciwko PPR. Ale o tym świat się dowiedział dużo później, komuniści wyniki sfalszowali i po wielu dniach oczekiwania ogłosili swoje przytłaczające zwycięstwo. Taki był fundament ich rządów, również mit założycielski.

Kilka dni po referendum, na początku lipca, w Kielcach doszło do tragicznego pogromu ludności żydowskiej. Zginęło około czterdziestu osób. Te wydarzenia, w których swój udział miały władze komunistyczne, ale w których bez wątpienia spontanicznie uczestniczyło wielu mieszkańców miasta, też są ważnym punktem naszej powojennej historii.

Polscy socjaliści o niekomunistycznym rodowodzie przeżyli jesienią 1956 roku wielkie chwile. Mogli chociaż przez moment wierzyć, że w pojałtańskiej Polsce jest możliwy socjalizm demokratyczny, humanistyczny, otwarty; że sowiecki wzór przestanie obowiązywać; że poznańska krwawa rewolta z czerwca nigdy się nie powtórzy. W Polsce wówczas, dziś trudno w to uwierzyć, najpopularniejszą postacią był Władysław Gomułka. Kil-

kaset tysięcy ludzi śpiewało mu *Sto lat* w czasie wiecu na pl. Defilad, a gdy wyjeżdżał na rozmowy do Moskwy, wzdłuż trasy przejazdu pociągu gromadziły się tłumy. Powszechnie były też modlitwy za jego szczęśliwy powrót.

Dziesięć lat później Gomułka był już kimś zupełnie innym. Pozbawił socjalistów ich marzeń. Wyruszył na wojnę z Kościołem i z prymasem Wyszyńskim. Tym samym prymasem, do którego do Komańczy wysyłał posłańców, prosił o powrót do Warszawy i niemal błagał o uspokojenie nastrojów. Wyszyński prośby spełnił, Gomułka, gdy się wzmocnił, odpowiedział represjami i szykanami. Swoistą próbą sił stało się milenium chrztu Polski, które w 1966 roku obchodził Kościół. Komuniści świętowali w tym czasie pod hasłem tysiąclecia państwa polskiego. Rozpoczęła się w nowych warunkach walka o to, kto – jak mówili komuniści – ma sprawować rząd dusz w narodzie. I walka była na całego, łącznie ze starciami na ulicach, palowaniem, nie mówiąc o propagandzie, zwykłych szykanach i utrudnieniach w działalności duszpasterskiej. Kościół, który po wcześniejszym o kilka miesięcy liście do biskupów niemieckich przeżywał trudne chwile, bo wciąż były żywe pamięć o niemieckich zbrodniach i obawa przed nową wojną, wyszedł zwycięski i wzmocniony. Wzrósł również autorytet prymasa Wyszyńskiego.

Mija dekada i w polskim kalendarzu pojawia się kolejny symboliczny miesiąc. Czerwiec '76, czasami się dodaje: radomski. Również ursuski, plocki. Czerwiec ścieżek zdrowia, aresztowań, zwolnień z pracy. Także partyjnej, gierkowskiej buty i bezczelności, obraźliwych słów wypowiedzianych pod adresem protestujących robotników, wieców potępiających „warcholów”. Ale 1976 to był również, co bardzo ważne, rok rodzącej się opozycji demokratycznej, prób nawiązywania kontaktów między inteligencją

i robotnikami, opozycją, również wywodzącą się z lewicy laickiej, i Kościołem. Także rok obnażenia pustki ideologii.

Kolejna dekada to chyba najbogatsze w wydarzenia lata PRL. W Watykanie zamieszkał polski papież, który zapowiedział odmianę oblicza tej ziemi, przez szesnaście miesięcy trwało święto Solidarności, później na ulicach miast pojawiły się czołgi, zginęli ludzie. Przestraszone i poturbowane społeczeństwo zdołało się jednak pozbierać, Solidarność nie upadła. Działała podziemie. Ale nie działała gospodarka. Kryzys ogarniał wszystkie dziedziny. W 1986 roku rządzący Polską zrozumieli, że stanęli pod ścianą. Wciąż wprawdzie próbowali różnych posunięć, także siłowych, prowokacyjnych i fałszywych. Coraz wyraźniej widoczna stawała się jednak chęć do wciągnięcia w grę części przynajmniej opozycji, podzielenia się z nią władzą, wynegocjowania korzystnego jej podziału. Ważnym krokiem stała się ogłoszona na 22 lipca 1986 roku amnestia, która objęła znaczną część więźniów politycznych.

Pięć lat wybranych z blisko pięćdziesięciu. Razem tworzą historię rozkwitu i upadku komunizmu w Polsce. Ale z przytoczonych wyżej dat powinniśmy wynieść nie tylko satysfakcję, przekonanie, że przez ten czas w Polsce toczyła się ciągła walka całego wspianego społeczeństwa ze złą narzuconą władzą. Wokół nich jest wiele różnych treści. Mówiąc o rodzącej się w Polsce polityce historycznej, często się słyszy odwołania do skuteczności Rosjan i Niemców. Pierwsi zdołali przekonać świat, że ważne są nie popełnione zbrodnie, ale wielkie zwycięstwo nad faszyzmem, drudzy równie efektywnie narzucili narrację o nazistach i ich zbrodniach, także współodpowiedzialności innych. Czy my też chcemy pójść tą drogą? Nie powinniśmy. ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Warszawa – miasto feniks

Robert Szcześniak

Przed wybuchem II wojny światowej Warszawa zajmowała obszar ok. 140 km kw., zamieszkiwało ją prawie 1,3 mln ludności. Kiedy 17 stycznia 1945 roku do miasta wkroczyły oddziały ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej, zabudowa była zniszczona w 85 proc., w gruzach leżało 90 proc. zakładów przemysłowych i ok. 30 proc. urządzeń podziemnych oraz wszystkie mosty.

Po zakończeniu Powstania Warszawskiego w mieście pozostała garstka mieszkańców. Morze ruin oszacowano później na ok. 20 mln m sześć. gruzu. Poważne zagrożenie stanowiła olbrzymia liczba min i niewybuchów. Była to straszliwa cena, którą Warszawa zapłaciła za opór wobec okupanta, za to, że była centralnym ośrodkiem życia politycznego, intelektualnego i kulturalnego przed wojną i w trakcie okupacji. Najtrafniej rolę miasta podsumował Hans Frank, zapisując w swoim dzienniku pod datą 14 grudnia 1944 roku: „Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy 4/5 trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostanie ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju”.

Zniszczenie miasta było rezultatem nie tylko Powstania Warszawskiego – jak chcą jego dzisiejsi krytycy – lecz także zaplanowanej akcji. Plan był realizowany stopniowo, w zależności od okoliczności oraz przy uwzględnieniu interesu i potrzeb władz okupacyjnych, a także oporu ludności polskiej i żydowskiej. Pierwszym etapem było zgromadzenie informacji dotyczących miasta. Późną jesienią 1939



1

Fot. AIPN

► Wypalone budynki wzdłuż ulicy na drodze żołnierzy niemieckich z 19. Batalionu Łączności 19. Dywizji Piechoty, jadących na defiladę przed Adolfem Hitlerem – widok z samochodu; 1939 rok

roku prof. Janowi Zachwatowiczowi udało się zobaczyć po kryjomu plany przebudowy Warszawy przygotowywane przez niemieckich architektów. Z dużej ilości materiałów zgromadzonych na zapleczu pałacu Błanka wynioskował, że zamiar prze-

budowy (czytaj: zniszczenia) Warszawy powstał już przed wojną. Wspomnieć też należy, że na Międzynarodowym Kongresie Urbanistycznym w Sztokholmie w lipcu 1939 roku polscy delegaci uzyskali poufne informacje o nominacji niejakiego Friedri-



3



Fot. AIPN

2

► Żołnierze Wehrmachtu stoją na warcie wzdłuż ulicy, którą jedzie kolumna konnych wozów taborowych; po obu stronach ruiny zniszczonych budynków; 1939 rok

cha Pabsta na naczelnego architekta Warszawy, co miało nastąpić 1 października.

Kolejnym etapem realizacji planu były działania wojenne we wrześniu 1939 roku, podczas których Warszawa w wyniku ostrzału artyleryjskiego, bombardowań lotniczych oraz bezpośrednich walk utraciła ponad 10 proc. zabudowy (fot. 1, 2), w tym wiele cennych zabyt-

ków, m.in. Zamek Królewski (fot. 3). Według memoriału sporządzonego w listopadzie 1943 roku przez Alfreda Lauterbacha, znakomitego historyka sztuki i znawcę Warszawy, bombardowań miasta we wrześniu 1939 roku dokonywano według przygotowanego wcześniej planu. Ich celem było takie zniszczenie zabudowy stolicy, aby ułatwić jej późniejszą przebudowę. Warszawa skapitulowała 28 września i szybko się okazało, że jej odbudowa i funkcjonowanie w kształcie przedwojennym były niemożliwe. Zgodnie z poleceniem Adolfa Hitlera, miasta miano nie odbudowywać. Z nakazu tego wyłączono infrastrukturę niezbędną do funkcjonowania władz

► Ruiny Zamku Królewskiego, widok od strony pl. Zamkowego



Fot. AIPN

i obywateli niemieckich. 26 października utworzono Generalne Gubernatorstwo ze stolicą w Krakowie, a Warszawa została zdegradowana do roli miasta prowincjonalnego (stolicy jednego z dystryktów). Dzień później Niemcy aresztowali prezydenta Stefana Starzyńskiego. Jego niemiecki następca, Oskar Dengel, w grudniu 1939 roku sprowadził do Warszawy Huberta Groba i Ottona Nürnbergera – architektów, którzy przebudowali na potrzeby NSDAP miasto Würzburg. Stworzyli oni pod kierunkiem naczelnego architekta Warszawy Friedricha Pabsta plan przebudowy miasta, który w lutym 1940 roku został przedstawiony Hansowi Frankowi (tzw. plan Pabsta).

Plan przewidywał dwa etapy: w pierwszym zamierzano wyburzyć dotychczasową zabudowę, nazywając to „rozbiórką polskiego miasta” (niem. *Abbau der Polen-Stadt*). Etap ten miało przetrwać jedynie Stare Miasto bez Zamku Królewskiego, choć w późniejszych planach (z 1942 roku) i ono miało zostać zniszczone. W drugim etapie miało powstać na lewym brzegu Wisły prowincjonalne wzorcowe miasteczko (niem. *neue deutsche Stadt Warschau*) dla 100–130 tys. mieszkańców niemieckich, którzy mieli stanowić elitę polityczną i urzędniczą, zarządzającą podbitymi ziemiami na wschodzie. Na Pradze zaś miał powstać obóz dla 30–80 tys. polskich niewolników. Sam Pabst nie doczekał realizacji swoich planów, ponieważ zginął w zamachu przeprowadzonym 13 grudnia 1943 roku przez żołnierzy „Agatu” AK (celem akcji był naczelnik urzędu kwaterunkowego Emil Braun, kolega Pabsta).

Ważnym krokiem umożliwiającym realizację pierwszego etapu planu Pabsta była likwidacja getta warszawskiego. Powstało ono na początku października 1940 roku. Na jego terenie zgromadzono wszystkich mieszkańców Warszawy pochodzenia żydowskiego i przesiedleńców z innych miejscowości Generalnego Gubernatorstwa. Od lipca do września 1942 roku Niemcy przeprowadzili wielką akcję likwidacyjną getta. Do obozu zagłady w Treblince wywieziono wówczas ok. 300 tys. jego

mieszkańców (ok. 80 proc.). W kwietniu 1943 roku Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji getta, tym razem jednak napotkali opór zbrojny członków Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego, wspieranych przez polskie podziemie. Walki w getcie ustały ostatecznie w połowie maja. W ich trakcie Niemcy metodycznie podpalali całe kwartały ulic, używali artylerii do niszczenia pozycji powstańców oraz wysadzali w powietrze odnalezione bunkry, mordując powstańców na miejscu. Po zakończeniu walk na rozkaz szefa SS Heinricha Himmlera cała zabudowa getta została zniszczona. Wcześniej jednak specjalne oddziały zabezpieczyły wszystkie materiały i elementy budowlane, których planowano użyć ponownie. W raporcie dla Himmlera Jürgen Stroop, dowódca oddziałów pacyfikujących getto, napisał: „Z wyjątkiem ośmiu budynków byłe getto zostało zupełnie zburzone” (fot. 4).

Kolejnym etapem niszczenia miasta było Powstanie Warszawskie. Na wieść o jego wybuchu Hitler wydał Himmlerowi i gen. Heinzowi Guderianowi, szefowi sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (OKH), ustny rozkaz całkowitego zniszczenia miasta i wymordowania jego mieszkańców. Warszawa miała się stać odstrasającym przykładem dla innych miast Europy, gotowych stawić opór niemieckim najeźdźcom. W trakcie dwóch miesięcy walk zniszczeniu uległo ok. 25 proc. zabudowy okupowanej stolicy, a życie straciło ok. 250 tys.



Fot. AIPN

► Zniszczony fragment linii średnicowej na Powiślu; 1945 rok

mieszkańców. Wielu zniszczeń nie da się w żaden sposób usprawiedliwić koniecznością wojenną, np. zniszczenia kolumny Zygmunta, płyty Grobu Nieznanego Żołnierza, wysadzenia ruin Zamku Królewskiego czy też spalenia na początku powstania Mariensztatu. Nawiasem mówiąc, palenie całych kwartałów ulic było jednym z ważniejszych elementów walki, które zalecało niemieckie dowództwo. W rozmowie telefonicznej 4 sierpnia 1944 roku feldmarszałek Walter Model wydał dowódcom 9. Armii rozkaz następującej treści: „Należy całkowicie spalić Warszawę. Rozkazuję podpalić [wszystkie budynki] w promieniu tysiąca metrów na

prawo i lewo od ulicy, bo inaczej tamtędy nie przejdziemy”.

2 października 1944 roku walki w mieście ustały, rozpoczął się *exodus* jego mieszkańców. W punkcie 10. *Układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie* strona niemiecka zobowiązała się do oszczędzenia i ochrony mienia publicznego i prywatnego pozostawionego przez ludność ewakuowaną z miasta. Oczywiście Niemcy nie zamierzali w żaden sposób respektować tego zobowiązania. Już 9 października Himmler nakazał całkowite zniszczenie miasta „aż do fun-



► Ruiny getta, w głębi wieże kościoła ewangelickiego przy ul. Leszno



Fot. AIPN

6

► Ruiny stacji pomp przy ul. Czerniakowskiej; 1945 rok

damentów”, miano jedynie oszczędzić infrastrukturę kolejową, aby zrujnowana Warszawa mogła pełnić funkcję punktu przeładunkowego dla Wehrmachtu. Rozkaz ten potwierdził w notatce z 11 października gubernator Dystryktu Warszawskiego Ludwig Fischer, dodając, że w trakcie niszczenia należy wziąć pod uwagę potrzeby wojska, które będzie broniło miasta przed Armią Czerwoną. Dodatkowo informował, że przed zburzeniem domy mają zostać opróżnione ze wszystkich surowców, tekstyliów i mebli.

W ciągu kolejnych trzech miesięcy (tj. do 17 stycznia 1945 roku) Warszawa utraciła 30 proc. zabudowy – więcej niż w trakcie działań powstańczych. Specjalne saperские oddziały policji (Technische Nothilfe), dowodzone przez SS-Gruppenführera Willy’ego Schmelchera, przez trzy miesiące metodycznie i planowo niszczyły miasto. Pierwsze do akcji wchodziły pododdziały, których zadaniem było opróżnianie budynków ze wszystkiego,

co przedstawiało jakąkolwiek wartość lub mogło zostać wykorzystane na potrzeby Rzeszy. Pododdziały te często specjalizowały się w konkretnych przedmiotach, np. meblach czy dywanach. Szacuje się, że od połowy sierpnia do końca grudnia 1944 roku do Rzeszy i włączonego do niej Kraju Warty wywieziono od ok. 25 tys. do ok. 45 tys. wagonów ze zrabowanymi w Warszawie wartościowymi przedmiotami i surowcami.

Następnie do akcji przystępowali członkowie tzw. Brandkommando, którzy podpalali budynek po budynku. Po kilku dniach wracali, aby ocenić skutki pożaru, i jeżeli zaistniała taka potrzeba, podpalali dany budynek ponownie. Po nich wkroczyli specjaliści z tzw. Sprengkommando, którzy wysadzali budynki. Szczególną „troską” oddziały niemieckie otaczały warszawskie zabytki, kościoły i inne dobra kultury. Równie skutecznie niszczone infrastrukturę niezbędną do funkcjonowania miasta: elektrownie, dworce, trakcje elektryczne, zajezdnie, tabor komunikacyjny itp. (fot. 5, 6). Niejednokrotnie niemieccy saperzy robili więcej, niż wymagało dowództwo, wyrządzając szkody w umocnieniach polowych lub odsłaniając stanowiska oddziałów niemieckich stacjonujących w lewobrzeżnej Warszawie. Dokonywało się to na oczach wojsk radzieckich, które zatrzymały się po drugiej stronie Wisły i skrzętnie dokumentowały działalność oddziałów niemieckich, ale nie uczyniły nic, aby im w niej przeszkodzić.

W listopadzie 2004 roku pod patronatem prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego powstał *Raport o stratach wojennych Warszawy*, w którym możemy znaleźć takie oto wyliczenie: „Całość strat materialnych poniesionych przez miasto i jego mieszkańców szacujemy na 18,2 miliarda zł (według wartości złotych z sierpnia 1939 r.), co czyni kwotę 45,3 miliardów dolarów (według wartości obecnej). Zostało to wyliczone przy zastosowaniu przelicznika: 1\$ = 5,31 zł (według kursu z marca 1939 r.) i po przyjęciu, że wartość dolara z lata 1939 roku była 13,24 razy wyższa niż obecnie”.

Robert Szcześniak – pracownik
Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



Fot. AIPN

Bez sieci tajnych współpracowników Służba Bezpieczeństwa byłaby bezsilna. Oficerom bezpieki zależało zatem, by osoba „pozyskana do współpracy” nie wyzwoliła się z tej toksycznej więzi.

W świecie tajnych służb i gier wywiadowczych nawet najbardziej zaawansowana technika nie zastąpi dobrze ulokowanego osobowego źródła informacji. Mówiąc wprost: dobry agent jest najważniejszym kapitałem każdej tajnej służby. Podслуchiwanie rozmów było dla SB, czy wcześniej UB, sprawą istotną, ale obarczoną ryzykiem awarii sprzętu. Dopiero gdy w inwigilowanym środowisku pojawiał się agent, była szansa na skuteczniejsze działania. Współpracownik bezpieki mógł przecież nie tylko informować o planach inwigilowanej grupy, lecz także umiejętnie manipulować jej działaniami. Czasem prowokował, innym razem skłócał, a jeszcze innym mógł wprowadzić do grupy kolejnych informatorów. Było to zadanie trudne, gdyż – w przeciwieństwie do oficerów UB/SB – agenci musieli dopiero nauczyć się swojej roli. Nikt ich przecież wcześniej nie szkolił.

Jak wyglądała droga, która w ciągu wielu lat doprowadziła tysiące osób do współpracy z bezpieką? Trzeba jasno stwierdzić, że agenci ochotnicy stanowili mniejszość wśród informatorów. Problem polega na tym, że trudno przedstawić wiarygodne dane. Dysponujemy jedynie statystykami SB, a te są w dużym stopniu wypaczone. Co bowiem powinniśmy rozumieć pod pojęciem werbunku „z powodów patriotycznych”? W tej kategorii mieszczą się bardzo różne motywacje. Oczywiście mogła to być autentyczna chęć pomocy komunistycznemu państwu, ale także zemsta na kimś przez donos do UB/SB, strach przed aparatem represji, zmuszający do współpracy, chęć odniesienia korzyści majątkowych lub ułatwienia sobie kariery zawodowej itd. Każdy przypadek powinien być oceniany indywidualnie, nawet jeśli w wewnętrznej statystyce

wszystkie oznaczano jako współpracę dobrowolną.

Oddzielną grupą były osoby łamane przez UB/SB szantażem. W gwarze służb nazywano to słowem zaczerpniętym z języka rosyjskiego, tj. pozyskanie na *komprmaterialy*. Tutaj podstawą było znalezienie jakiegось wstydlwego lub nielegalnego elementu w życiorysie osoby wytypowanej do współpracy. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych grożono np. wieloletnim więzieniem za działalność w Armii Krajowej. Hakiem mogło być także popełnione przestępstwo, które funkcjonariusze obiecali zamieść pod dywan w razie zgody na współpracę, np. kierowanie pojazdem pod wpływem alkoholu. Potrafiono się także uciec do szantażu obyczajowego. Była to bardzo skuteczna metoda nacisku, gdyż ujawnienie skrywanej tajemnicy mogło zniszczyć życie osobiste kandydata na tajnego współpracownika. Co więcej, dzięki szantażowi można było przez długi czas dyscyplinować takiego człowieka, gdyby np. chciał się wycofać ze współpracy.

Grupą najtrudniejszą do rozpoznania są osoby, które świadomie godziły się na współpracę, chcąc w ten sposób rozpocząć własną grę z aparatem represji. Zasady dyktowała bezpieka i trzeba było ją przechytryć. Było to bardzo trudne i często kończyło się niepowodzeniem. SB sprawdzała bowiem, czy jej agenci są wobec niej szczerzy. Zdarzały się więc przypadki „kombinacji operacyjnej”, gdy jeden agent sprawdzał wiarygodność drugiego. Czasami takiego kogoś podслуchiwano. Gdy tylko wyczuwano nieszczerzość, rezygnowano ze współpracy. Taki współpracownik mógł niemal z dnia na dzień stać się obiektem inwigilacji i represji.

Przypadek Andrzeja Szomańskiego, którego dotyczy prezentowany dokument, jest przykładem podjęcia takiej

gry. Ponieważ główny bohater już nie żyje, na pewne pytania już nigdy nie uzyskamy odpowiedzi. Możemy czerpać informacje jedynie z zachowanych akt SB. Zanim jednak się im przyjrzymy, warto poznać – przynajmniej pobieżnie – życiorys Szomańskiego. Urodził się w 1930 roku w Warszawie. Jako młody chłopiec został podczas okupacji członkiem Szarych Szeregów. W Powstaniu Warszawskim był kurierem poczty polowej. Po wojnie godził pracę zarobkową ze studiami na Uniwersytecie Warszawskim. Został też członkiem tajnej i niepodległościowej Bojowej Organizacji Narodu. Aresztowano go za to w 1950 roku. Skazany na 7 lat więzienia, odzyskał wolność w 1955 roku. Związał się wówczas ze Stowarzyszeniem PAX, koncesjonowaną przez komunistów organizacją katolicką. Przez kolejne lata utrzymywał się z pisania tekstów historycznych do czasopism paksowskich. Gdy w 1977 roku związał się z ruchem opozycyjnym, stracił pracę. Mimo to nadal się udzielał w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a w 1979 roku przystąpił do Konfederacji Polski Niepodległej. Był jej członkiem do śmierci w 1987 roku. W 1981 roku zaangażował się na rzecz budowy pomnika katyńskiego na cmentarzu Powązkowskim. Po ogłoszeniu stanu wojennego ukrywał się przez kilka miesięcy. W 1986 roku został skazany na dwa lata więzienia w tzw. drugim procesie kierownictwa KPN.

Ten bez wątplenia bohaterski życiorys zaburza to, że od stycznia 1976 do lutego 1979 roku Szomański był zarejestrowany jako tajny współpracownik SB o pseudonimie „Historyk”. Z teczki „Historyka” wynika, że była to współpraca pozorowana. Wskutek donosów innych tajnych współpracowników oraz pytań samego Szomańskiego o taktykę stosowaną przez SB wobec ROPCiO funkcjonariusze szybko się zorientowali, że „Historyk” próbuje prowadzić z nimi grę. Nie informował m.in. o szczegółach z życia opozycji, bardzo ogólnie relacjonował treści rozmów z Leszkiem Moczulskim, jednym

Miejsce i data wytworzenia dokumentu

Warszawa, dnia 7 lutego 1979 r.

Tajne Spec. Znaczenia
Egz. Nr. ?

NOTATKA
dot. Andrzeja SZOMAŃSKIEGO

W/w pozyskany został do współpracy na zasadzie dobrowolności w dniu 19.01.1976 r. do prowadzonej przez Wydział II Dep. IV sprawy obiektowej krypt. „Alfa”. Do czasu zaangażowania się w działalność ROPCio, realizował w sposób prawidłowy zlecane mu zadania. W maju 1977 r. został zwolniony z redakcji tygodnika „WIK”. Przez 3 m-ce pracował w redakcji tygodnika „Kierunki”. W sierpniu 1977 r. rozwiązano z nim umowę o pracę. Począwszy od tego okresu przekazywał informacje dotyczące ROPCio /kserokopia informacji przesyłaliśmy do Warszawskiego Departamentu/. Stosując kontrolę i sprawdzając prawdziwość przekazywanych informacji stwierdzono, iż mają one charakter niekompletny. Nie informował nas m.in. o swoim uczestnictwie w szeregu spotkaniach i zjazdach ROPCio. Twierdził, iż informacje na ten temat posiada od L. Moczulskiego, z którym pozostaje w b. dobrych stosunkach.

W związku z powyższym postawiono mu zarzut nieszczerości i przedstawiono propozycje całkowitego zaangażowania się we współpracę /informacja z dn. 18.06.1978 r./, T.w. „Historyk” poprosił o czas do myślenia, a nastąpiła w dniu 13.10.1978 r. /notatka z dnia 13.10.1978 r./ odmowa współpracy na określonych przez nas zasadach. Oświadczył, iż jest gotów współpracować ale w dotychczasowym zakresie, a więc może przekazywać informacje charakteru ogólnego, oraz relacje ze spotkań z L. Moczulskim, nie będzie natomiast informował nas o miejscach spotkań i ich uczestnikach. Motywnie podstawowym skłaniającym go do zajęcia takiego stanowiska jest rozwój sytuacji społeczno-gospodarczej i politycznej w kraju oraz sytuacja międzynarodowej, która potwierdza celowość i zasadność działania opozycji. W związku z powyższym rozwiązano współpracę z t.w. ps. „Historyk” a materiały przekazano do archiwum.

Wyk. w 2 egz.

Por. H. SZCZERBIŃSKI
H. Szczerbiński

Najwyższa klauzula tajności i numer egzemplarza dokumentu

Andrzej Szomański (1930–1987) – dziennikarz, historyk, opozycjonista; uczestnik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, członek Konfederacji Polski Niepodległej

Kryptonim sprawy obiektowej dotyczącej Stowarzyszenia PAX

Tygodnik katolicki o tematyce społeczno-historycznej, wydawany przez Stowarzyszenie PAX w latach 1953–1981

„Kierunki. Tygodnik społeczno-kulturalny katolików” – pismo Stowarzyszenia PAX wydawane w latach 1956–1990 zamiast zlikwidowanego przez komunistów „Dzisiaj i Jutro”

Każdego tajnego współpracownika systematycznie sprawdzano pod kątem wiarygodności przekazywanych informacji; w przypadku Szomańskiego szybko ustalono, że przekazuje informacje niepełne i mało przydatne w pracy operacyjnej; stwierdzono ponadto, że ma dostęp do dużo cenniejszych informacji na temat ROPCio i Leszka Moczulskiego, których oficerom SB nie wyjawiał

Tak pozyskanie do współpracy zakwalifikowali oficerowie SB; nie zawsze oznaczało to faktyczną dobrowolność; zgoda mogła wynikać np. ze strachu lub (jak zapewne było w przypadku Szomańskiego) z chęci podjęcia gry z SB i uzyskania informacji od jej funkcjonariuszy

Wydział II Departamentu IV MSW zajmował się inwigilacją stowarzyszeń katolickich

Kategoria sprawy operacyjnej SB, którą zakładano przeważnie wobec instytucji, stowarzyszeń i organizacji uznanych za wrogie

Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCio) – organizacja opozycyjna i niepodległościowa powołana w marcu 1977 roku; nie miała formalnych struktur, na jej czele stało dwóch rzeczników: Andrzej Czuma i Leszek Moczulski

Prawdopodobnie mowa o Departamencie III MSW, zajmującym się m.in. inwigilacją uczestników ROPCio, w tym Leszka Moczulskiego

Esbecy dość szybko odkryli, że działalność Szomańskiego zmierza do wybadania ich stanu wiedzy na temat ROPCio, dalszych planów inwigilacji i rozbijania tego środowiska

Mowa o Andrzeju Szomańskim

Przeważnie po odmowie dalszej współpracy TW wykreślano z ewidencji operacyjnej, a jego teczkę lub teczki składano w archiwum; w bardzo rzadkich przypadkach sprawę zamieniano na operacyjną, tzn. były współpracownik stawał się obiektem inwigilacji ze strony SB

Henryk Szczerbiński (ur. 1948) – funkcjonariusz SB, w latach 1971–1982 w Departamencie IV MSW, 1982–1990 wykładowca Wyższej Szkoły Oficerskiej MSW w Legionowie; oficer prowadzący „Historyka”, czyli funkcjonariusz, który się z nim spotykał i odbierał od niego meldunki

Fot. AIPI

z twórców ruchu. Donosów „Historyka” nie odnajdziemy także w sprawach dotyczących ROPCio („Hazardzistów”), PAX („Alfa”) czy Moczulskiego („Oszust”). Jedyną sprawą, w której wśród wykorzystywanych źródeł

informacji umieszczono „Historyka”, to „Burza”, dotycząca członków PAX związanych z Romualdem Szeremietiewem. Jednak i tam brak jego donosu. Wzmacnia to tezę o nikłej wartości informacji dostarczanych SB i pozoro-

waniu przez Szomańskiego współpracy. Warto też pamiętać, że najpóźniej od listopada 1983 roku stał się on obiektem inwigilacji ze strony SB. ❗

Grzegorz Wołk – historyk, politolog, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Bułgarski ślad

Wiele wskazuje na to, że w zamach na Jana Pawła II były zaangażowane tajne służby Bułgarii i innych państw komunistycznych – mówi dr Andrzej Grajewski, współautor książki *Agca nie był sam*, w rozmowie z Jakubem Gołębskim

Jakie nowe dokumenty i informacje wyjaśniające sprawę zamachu na papieża 13 maja 1981 roku zawiera książka *Agca nie był sam. Wokół udziału komunistycznych służb specjalnych w zamachu na Jana Pawła II?*

W poprzednim tomie – publikacji „*Papież musiał zginąć*”. *Wyjaśnienia Ali Agcy* – przedstawiliśmy przede wszystkim źródła ze śledztwa prowadzonego we Włoszech w latach osiemdziesiątych. Były to dokumenty sądowe i protokoły przesłuchań Agcy. Nowa książka jest zapisem naszej całej obecnej wiedzy. Nie tylko na temat zamachu na życie Jana Pawła II, lecz także okoliczności kolejnych śledztw prowadzonych przez włoski wymiar sprawiedliwości. Udało się dotrzeć do ważnych dla nas nowych świadków i istotnych ustaleń. Dzięki śledztwu IPN, prowadzonemu w Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, zyskaliśmy wiedzę o działaniach służb komunistycznych w tej sprawie. Wiele materiałów przebadaliśmy na nowo, inne po raz pierwszy zostały włączone do śledztwa. Są to dokumenty służb bułgarskich i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, czyli Stasi, a także protokoły przesłuchań najważniejszych świadków, m.in. funkcjonariuszy wywiadu wschodnioniemieckiego. Nasza książka składa się z dwóch części: postanowienia o umorzeniu śledztwa, napisanego przez prokuratora Michała Skwarę z Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, i mojego opracowania. Prokurator przedstawia stan wiedzy, którą udało się zebrać w toku postępowania; w moim tekście analizuję zebrany materiał.

Które z przebadanych dokumentów uważa Pan za najciekawsze i najważniejsze dla śledztwa?

Bardzo ważnym źródłem jest korespondencja między Stasi oraz Ministerstwem Spraw Wewnętrznych Bułgarii i Komitetem Bezpieczeństwa Państwa (KDS), czyli bułgarską bezpieką, rozpoczynająca się w sierpniu 1982 roku. Te pisma są dowodem na to, że wschodnioniemiecka Stasi na prośbę „zaprzyjaźnionej” bezpieki bułgarskiej prowadziła

Andrzej Grajewski (ur. 1953) – absolwent Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego, doktor nauk politycznych, działacz Solidarności, w latach 1999–2006 członek Kolegium IPN, autor książek dotyczących historii najnowszej i politologii, m.in. *Tarcza i miecz. Rosyjskie służby specjalne 1991–1998* (1998), współautor publikacji „*Papież musiał zginąć*”. *Wyjaśnienia Ali Agcy* (2011)



Fot. IPN TV

akcję dezinformacyjną we Włoszech. Jej celem było sabotowanie ustaleń włoskiego wymiaru sprawiedliwości w sprawie zamachu i odwrócenie uwagi międzynarodowej opinii publicznej od związków funkcjonariuszy bułgarskich służb specjalnych z Alim Ağcą. W Stasi nazwano te działania *Operation Papst*, czyli operacja „Papież”. Samych materiałów operacyjnych Stasi nie ma, ponieważ zostały zniszczone. Ważnym jednak uzupełnieniem tych dokumentów jest protokół przesłuchania ppłk. Güntera Bohnsacka. Był on zwierzchnikiem Referatu I w Wydziale X Głównego Zarządu Wywiadu Stasi – jednostki odpowiedzialnej za dezinformację – i nadzorował tę operację. Bardzo szczegółowo zeznał o spotkaniach oficerów Stasi z funkcjonariuszami służb bułgarskich. Co najistotniejsze, Bohnsack powiedział, że Bułgarzy przybyli do Berlina właściwie tuż po zamachu na papieża, być może jeszcze w maju 1981 roku. Wkrótce po tym, 22 lipca 1981 roku, Ali Ağca został skazany przez włoski sąd w pierwszym procesie rzymskim na karę dożywocia. Podczas śledztwa i procesu niczego nie powiedział. Dopiero jesienią 1982 roku ujawnił włoskim śledczym tzw. bułgarski ślad. Powiedział, że w Sofii spotykał się z bułgarskimi agentami w hotelu Witosza w lipcu i sierpniu 1980 roku, wskazał Bułgarów i Turków jako współautorów zamachu. W toku włoskiego śledztwa wyszło na jaw, że ci ludzie przebywali 13 maja 1981 roku w Rzymie. Powstaje jednak pytanie, dlaczego Bułgarzy tuż po zamachu, zanim Ağca zaczął cokolwiek zeznawać na ich temat, chcieli zacierać ślady, o których nikt jeszcze nie wiedział. Moja odpowiedź jest taka: podjęli te działania na wypadek, gdyby Ağca jednak zaczął mówić włoskim śledczym o swych bułgarskich wspólnikach.

Dlaczego Bułgarzy szukali pomocy w NRD?

Wywiad Stasi miał znakomicie przygotowane komórki odpowiedzialne za dezinformację, dysponował bardzo szeroką siatką agenturalną w zachodnich mediach i przede wszystkim miał dobre rozeznanie w środowiskach tureckich, także przestępczych, jak również w środowiskach Turków mieszkających w RFN. To miało znaczenie w kontekście zamiaru przedstawienia Ağcy jako prawicowego, muzułmańskiego ekstremisty.



Co udało się ustalić na temat prowadzonej przez Stasi operacji „Papież”?

Najwięcej dokumentów na ten temat zachowało się w archiwum Stasi. Na ich podstawie upewniamy się, że Niemcy podejmowali działania w ramach operacji „Papież” – świadczy o tym m.in. korespondencja między Bułgarami a bezpieką wschodnioniemiecką. Bułgarzy dziękują w niej za przeprowadzone akcje. Można zadać pytanie, na czym polegały te działania, np. niewyjaśnione do dziś pozostaje zaginięcie Emanuela Orlandi, córki watykańskiego urzędnika, za której uwolnienie porywacze zażądali rzekomo zwolnienia Ali Ağcy z więzienia. Sam papież Jan Paweł II mówił o tym porwaniu jako o akcie międzynarodowego terroryzmu. Dotąd nie wiadomo, czy porwanie Orlandi było elementem dezinformacji, czy Stasi jedynie włączyła się w tamtą sytuację, próbując wykorzystać to wydarzenie do swych działań operacyjnych. Wiadomo, że ludzie Bohnsacka dzwonili do włoskich mediów, podając się za porywaczy dziewczyny i za jej uwolnienie żądali zwolnienia Ağcy.

Czy wyjaśnienia Alego Ağcy są wiarygodne? Często słychać opinie, że jest to notoryczny kłamca, osoba nie zrównoważona. Czy niektóre z działań Ağcy i jego zachowanie w czasie śledztwa świadczą, że uczestniczył w akcji dezinformacyjnej kierowanej przez kogoś innego lub przynajmniej był jej świadomy?

Obraz Ağcy jako szaleńca został stworzony przez niego w czasie drugiego procesu, który zaczął się w marcu 1985 i trwał do marca 1986 roku. Ağca już na pierwszej rozprawie oświadczył, że jest Chrystusem, i zdezwuował cały akt oskarżenia przygotowany przez Włochów, który powstał przecież na podstawie jego własnych wyjaśnień. Moim zdaniem, to było świadome działanie Ağcy, on udawał niepoczytalnego. Pojawia się pytanie, kiedy Ağca mówił prawdę, a kiedy zmieniał zeznania i konfabulował. Wydaje się, że na zachowanie zamachowca najmocniej wpłynęło wydarzenie z grudnia 1983 roku, kiedy włoscy śledczy zostawili

► Zamach na papieża Jana Pawła II podczas audiencji generalnej na pl. św. Piotra w Watykanie, 13 maja 1981 roku

go sam na sam w celi z bułgarskim sędzią Stefanem Markowem Petkowem, w istocie funkcjonariuszem bezpieki, który z ramienia władz bułgarskich miał przesłuchiwać Ağcę. Dopuszczenie do Ağcy osoby niesprawdzonej było skandalem – włoski sędzia prowadzący śledztwo, Ilario Martella, poszedł w tym czasie na kawę z drugim bułgarskim śledczym, Jordanem Ormankowem, także funkcjonariuszem bezpieki. Okazało się, że Petkow znał turecki, a Ağca twierdził, że był wtedy przez niego zastraszany. Bułgar miał mu powiedzieć, że jeżeli nie przestanie zeznawać, to zginie nie tylko on, lecz także cała jego rodzina. Nie możemy zweryfikować tej informacji, ponieważ jest to słowo przeciwko słowu. Petkow wszystkiemu zaprzeczył w zeznaniu, które złożył z inicjatywy prokuratora Skwary. Potwierdził jednak, że biegle zna turecki i został sam na sam z Ağcą. Faktem jest, że od tamtej rozmowy Ağca zaczął kluczyć i wycofywać się ze swych wcześniejszych wyjaśnień. Finałem tego była komedia odgrywana przez Ağcę podczas drugiego procesu rzymskiego, kiedy na sali sądowej udawał szaleńca. Kiedy jednak wrócił do celi i rozmawiał z włoskimi sędziami, znów był opanowany i normalny. ►

W mojej opinii Aġca mówił prawdę o swoich kontaktach w Bułgarii i o przygotowaniach do zamachu. W sierpniu 1980 roku w Sofii spotkał się z Todorem Ajwazowem, Bułgarem, który w Rzymie przekazał mu plan działania przed zamachem i miał poinformować o drodze ucieczki z pl. św. Piotra po dokonaniu zamachu. W Sofii Aġca otrzymał również pieniądze od Turka Omera Mersana, współpracownika bułgarskiej bezpieki. Mersan załatwił mu wizę bułgarską, pieniądze oraz skontaktował z ważnymi dla dalszego biegu wydarzeń postaciami.

Obaj najważniejsi rozmówcy Aġcy w Sofii – Bekir Çelenk oraz Todor Ajwazow – byli w tym czasie w Sofii. Bardzo ciekawa jest informacja pochodząca od Aġcy, że zamachowcy mieli być ewakuowani specjalnym tirem, wysłanym z ambasady bułgarskiej w Rzymie. Ciężarówka rzeczywiście przyjechała z Bułgarii dokładnie 12 maja i nazajutrz opuściła Włochy. Co więcej, ładunek został opieczetowany na wyraźną prośbę Bułgarów już we Włoszech przez włoskich celników. Stąd wniosek, że ten tir to była droga ewakuacji Aġcy z Włoch i on doskonale znał ten plan.

Czy bułgarski ślad dowodzi udziału także innych wywiadów państw komunistycznych? Czy możemy mówić o śladzie sowieckim?

Jak wynika z materiałów bułgarskich zgromadzonych przez prokuratora Skware, służby bułgarskie w czerwcu 1981 roku na polecenie Moskwy rozpoczęły operację „Erozja”. Była to duża operacja dezinformacyjna, która miała wywołać przekonanie, że za Aġcą stali tureccy nacjonalisci. Siergiej Antonow, współpracownik bułgarskiego wywiadu, którego Aġca wskazał jako organizatora zamachu na papieża, został aresztowany przez Włochów dopiero w listopadzie 1982 roku. Przypomnijmy, że bułgarskie służby pojawiły się po raz pierwszy w Berlinie natychmiast po zamachu. Po co mieliby to robić, gdyby nie byli zamieszani? To jest zrozumiałe i logicznie uzasadnione, że wywiad bułgarski już w 1981 roku starał się ochronić swojego człowieka, czyli właśnie Antonowa, ponieważ Aġca został jednak złapany. Nie było wiadomo, co wyjaw i kiedy zacznie mówić – w czasie pierwszego procesu nic nie powiedział. Bułgarzy, prosząc Stasi o pomoc, w zasadzie nie ukrywali swojego udziału w tym zamachu i mówili, że trzeba podejmować jakieś akcje dezinformacyjne. To oznacza, że mieli coś na sumieniu i zaczęli zacierać ślady, zanim wokół nich zrobiło się gorąco.

Czy uważa Pan, że śledztwa prowadzone w tej sprawie we Włoszech w latach osiemdziesiątych były rzetelne?

Włosi ograniczyli się wyłącznie do wyjaśnienia roli bezpośrednich współpracowników Aġcy. Nie zadawali przy tym pytań, dlaczego Bułgarzy to robili, ponieważ pytanie o mocodawców zamachu musiałoby doprowadzić do szukania śladów sowieckich, a Włosi tego nie chcieli.

Włosi nie chcieli podejmować śladu sowieckiego z powodów politycznych?

Tak, są na to dowody. Aġca w dokumentach procesowych opowiedział, że spotkał się na terenie Bułgarii z radcą ambasady sowieckiej, którego nazywa Malenkowem. Aġca powiedział nawet: „Dajcie mi zdjęcia personelu ambasady sowieckiej w Sofii, to wam go rozpoznam”. Sędzia włoski stwierdził w tym momencie, że to nie ma nic do rzeczy, i odrzucił ten wątek. Włosi zlekceważyli także sprawę Władimira Kuzyczina. Był to major KGB, z którym Aġca spotkał się w Teheranie wiosną 1980 roku i który kazał mu pojechać do Bułgarii. Zaznaczył, że tam Aġca będzie miał ważną misję do wypełnienia. Skąd Aġca wiedziałby, że w Teheranie działa pod przykryciem jako konsul oficer KGB Władimir Kuzyczkin? Warto zwrócić uwagę, że później Kuzyczkin uciekł na Zachód i opublikował wspomnienia. Brytyjczycy jednak nie pozwolili go przesłuchać. On jako swoje miejsce pracy w Teheranie opisał dokładnie budynek, który Aġca wskazał jako miejsce spotkania. Aġca wiedział, do kogo idzie. Włosi nie wyjaśnili tej sprawy.

Czy są dowody nacisków sowieckich na rząd włoski?

Są dowody nacisku przedstawicieli rządu włoskiego na swoich sędziów, na włoskich śledczych. Jednak nie ma bezpośrednich dowodów udziału Rosjan. W każdym razie sędzia Rosario Priore, który prowadził śledztwo, zeznając o tym w latach dziewięćdziesiątych przed komisją włoskiego senatu, powiedział, że w 1982 roku, kiedy został wydany nakaz aresztowania Siergieja Antonowa, śledczy otrzymali od rządu włoskiego taką wiadomość: posunęliście się o krok za daleko. Władzom włoskim nie zależało na powiązaniu Bułgarów i Rosjan z tą sprawą.

Czy papież zdawał sobie sprawę z tego, kto brał udział w zamachu na jego życie?

Dla Ojca Świętego ważniejsza była metafizyczna strona tej sprawy. Kiedy Jan Paweł II dowiedział się, że zamach przeprowadzono 13 maja o 17.19, co do godziny w rocznicę objawienia fatimskiego (13 maja 1917 roku), zrozumiał, że został cudownie ocalony. Papież uważał, że został uratowany przez interwencję Boga. Powiedział nawet, że „czyjaś ręka strzelała, ale inna ręka prowadziła kulę”. Te słowa są mottem naszej książki. Wiemy, że słynna rozmowa Aġcy z papieżem w więzieniu również dotyczyła spraw duchowych. Ojciec Święty podarował jedną z kul do korony figury Matki Boskiej Fatimskiej – ta kula nigdy nie została zbadana przez włoskich śledczych, nie wiemy nawet, z jakiej broni została wystrzelona. Jest to przykład na to, jak działał włoski wymiar sprawiedliwości, bo przecież od początku wiedziano, że ta kula istnieje. Ojciec Święty był przekonany, że zamach był jednym z momentów, kiedy miały się zmienić losy świata. W swojej książce *Pamięć i tożsamość* napisał, że zamach był jedną z ostatnich konwulsji ideologii przemocy XX wieku. W XX wieku były dwa totalitaryzmy, dwie ideologie przemocy: niemiecki nazizm i sowiecki komunizm. Nazistów nie można oskarżyć o organizację zamachu na życie Jana Pawła II. Pozostaje sowiecki komunizm. ❄

Operacja „Papież”

Po zamachu na Jana Pawła II służby komunistyczne fałszowały dokumenty i wysyłały pogróżki do włoskich śledczych, by skierować sprawę na ślepy tor – mówi prokurator **Michał Skwara**, współautor książki *Agca nie był sam*, w rozmowie z **Jakubem Gołębiewskim**

Czy z zeznań i dokumentów zgromadzonych w czasie śledztwa IPN dowiadujemy o wydarzeniach, które można uznać za działania komunistycznych służb w ramach operacji „Papież” (Operation Papst)?

W tej operacji chodziło o zacieranie śladów po zamachu na papieża Jana Pawła II. Wiemy, że zaangażowane w ten proceder były służby bułgarskie, wschodnioniemieckie i sowieckie. Dowodem na to jest informacja, która pochodzi z dokumentów pozyskanych na potrzeby naszego śledztwa z Bułgarii. Działania bezpieki bułgarskiej były inspirowane i kontrolowane przez Rosjan. W toku śledztwa pozyskaliśmy także zbiór dokumentów, z których wynika, że Siergiej Antonow, Bułgar współoskarżony wraz z Alim Ağcą w drugim procesie rzymskim o udział w zamachu na papieża, był tajnym współpracownikiem wywiadu bułgarskiego. Mamy numer rejestracyjny i pseudonim Antonowa jako tajnego współpracownika.

Do jakich jeszcze nowych dokumentów udało się dotrzeć dzięki prowadzonemu śledztwu?

W toku śledztwa IPN pozyskaliśmy głównie dokumenty z archiwum Stasi, które pokazują aktywność służb wschodnioniemieckich. Otrzymaliśmy materiały świadczące o agenturalności Siergieja Antonowa, dokumenty dotyczące operacji „Papież” oraz dokumenty przedstawicieli wywiadu bułgarskiego w Moskwie z kwietnia 1981 roku. Materiały te wskazują m.in. na to, że powołano specjalny zespół prawników, który miał przeciwdziałać oskarżeniom kierowanym przeciwko Bułgarom w trakcie śledztwa włoskiego. W tych dokumentach mamy też informacje na temat Bułgara Jordana Ormankowa, który został dopuszczony do czynności śledczych z Alim Ağcą. Jest pokazana jego prawdziwa rola jako funkcjonariusza bułgarskiej bezpieki. Informacje o nim znajdujemy również w dokumentach niemieckich – w marcu 1983 roku spotykał się on z przedstawicielami wywiadu wschodnioniemieckiego i wschodnioniemieckiej służby śledczej w Berlinie. To, że dopuszczono Ormankowa do Ağcy, że prowadzący włoskie śledztwo sędzia Ilario Martella się na to zgodził, jest zaskakujące. Ormankow występuje we włoskim procesie jako organ procesowy, tzn. zapewniono mu dostęp do materiałów śledztwa. Z drugiej strony jest to pułkownik bezpieki bułgarskiej, który działa w porozumieniu z wywiadami bułgarskim i wschodnioniemieckim oraz ze wschodnioniemiecką policją polityczną. Z pozyskanych przez nas dokumentów bułgarskich wynika również, że alibi trzech najważniejszych Bułgarów, których objęło włoskie postępowanie – Todora Ajwazowa, Żelju Wasiliewa i Siergieja Antonowa – dotyczące udziału



w przygotowaniach do zamachu jest nie do utrzymania. Wszyscy byli pracownikami ambasady Bułgarii w Rzymie i mogli się spotykać z Ağcą w podanym przez niego miejscu i czasie.

Do jakich nowych świadków udało się dotrzeć w czasie postępowania? Które zeznania uznałby Pan za najważniejsze?

Trudno mówić o nowych świadkach, dlatego że nawet pplk. Stasi Güntera Bohnsacka, szefa operacji „Papież”, który jest kluczowym świadkiem w tej sprawie, przesłuchiwały wcześniej organy włoskie. Jednak, po pierwsze, przesłuchanie włoskie nie było tak wnikliwe jak nasze, po drugie, gdy wnioski wynikające z przesłuchania były dla Włochów kłopotliwe, czyli wskazywały na udział Bułgarów w sprawie lub były nieprzekonujące, nie badali dalej. Zeznania Bohnsacka dopełniają obraz, który wylania się z dokumentów niemieckich, a te, same w sobie, mają dużą siłę. Wiemy, że kontakty między wywiadem bułgarskim a wschodnioniemieckim, dotyczące operacji „Papież”, odbywały się na najwyższym szczeblu. Jednak informacje i raporty docierały nie tylko do wywiadów, lecz także do kierownictwa wschodnioniemieckiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i bułgarskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jest to potwierdzone z całą pewnością. Operacja „Papież” była koordynowana i kierowana z najwyższego szczebla; zostało zawarte porozumienie na szczeblu ministrów Bułgarii i NRD i na szczeblu szefów obu wywiadów. Bohnsack zeznał także o uruchamianiu agentury kontrwywiadu wschodnioniemieckiego – chodziło tu o pogroźki, które były kierowane pod adresem włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Włosi odebrali kilkadziesiąt telefonów z pogroźkami i wiele podobnych listów, które były wysyłane z Niemiec. To bezprecedensowe zaangażowanie Stasi w takiej skali pozwala nam inaczej spojrzeć na zamach. Dlaczego komunistyczne służby prowadziły te działania? Czy tylko dlatego, że na ławie oskarżonych znalazł się jeden Bułgar, Siergiej Antonow? Moim zdaniem, Bułgarzy brali udział w przygotowaniu i przeprowadzeniu tego zamachu.

Czy to jest dowód na wpływ służb państw komunistycznych na włoskie śledztwo?

Dezinformacja sama w sobie nie jest przestępstwem. Mamy jednak dowody fałszowania dokumentów – korespondencji Ağcy z Alparslanem Türkeşem i premiera Bawarii Franza Josefa

Straußa z Türkeşem – tak, aby wykazać powiązania sprawcy zamachu z pravicowym ekstremizmem. Türkeş był przywódcą nacjonalistów tureckich. Wiemy, że za tym fałszerstwem stoją Stasi i służby bułgarskie, a fałszerstwo jest już przestępstwem. Tak samo przestępstwem jest wysyłanie gróźb do włoskich śledczych za pośrednictwem placówek dyplomatycznych czy ministerstw. Wobec tego to nie jest tylko akcja dezinformacyjna i propagandowa, lecz jest to także działanie związku przestępczego – komunistycznego wywiadu NRD i Bułgarii. Te zeznania to dowód pośredni, że Bułgarzy stali za zamachem. Dowód bezpośredni jest taki, że wyjaśnienia Ağcy dotyczące przebiegu zdarzeń, o współpracy z Ajwazowem, Wasiliewem i Antonowem, o współpracy z Turkami, znajdują potwierdzenie. Jeżeli wyjaśnienia Ağcy i Antonowa się wzajemnie wykluczają, a potem na podstawie drobiazgowego śledztwa okazuje się, że Antonow kłamał, to musimy przyjąć, że Ağca mówił prawdę. Jego podróże, sprawa przygotowań do zamachu, potwierdzają się w toku śledztwa. W dokumentach niemieckich widzimy ogromną akcję dezinformacyjną destabilizującą postępowanie we Włoszech i to wszystko, razem z wyjaśnieniami Ağcy, układa się w logiczną całość.

Czy wyjaśnienia Ağcy są wiarygodne?

W uzasadnieniu umorzenia śledztwa IPN odniosłem się do tego problemu szczegółowo. Ağca był przesłuchiwany przez Włochów, Turków i Bułgarów. Do Włoch specjalnie przyjeżdżali przedstawiciele tureckiego wymiaru sprawiedliwości, żeby go przesłuchać. W dokumentach Stasi jest napisane *expressis verbis*, że trzeba dyskredytować Ağcę, przedstawiać go jako niewiarygodnego. To była dla nich najważniejsza rzecz. Bez Ağcy nie byłoby postępów śledztwa. Dlaczego Turcy, mafia turecka, tak się angażowali w sprawę zamachu? Bo byli pod kontrolą Bułgarów, komunistycznego wywiadu bułgarskiego, który kontrolował przemyt na granicy bułgarsko-tureckiej i miał powiązania z tureckim światem przestępczym.

Czy w polskim śledztwie korzystano z pomocy z Włoch, Niemiec, Bułgarii, Rosji?

W czasie śledztwa włoskiego poproszono Rosjan o pomoc i informacje na temat zamachu na papieża. Rosjanie odpowiedzieli, że nie mają żadnych informacji. Pomoc, polegającą na przekazaniu dokumentów, uzyskaliśmy z Włoch, Niemiec i – co szczególnie cenne – z Bułgarii. Bardzo ważne były dokumenty Stasi, w których widać to zaangażowanie dezinformacyjne, i od tego zaczęliśmy nasze śledztwo. Później pozyskaliśmy bardzo obszerny, bezcenny materiał z Włoch, czyli wyjaśnienia Ağcy, które sami opracowaliśmy.

Jak można dziś ocenić śledztwa prowadzone przez włoski wymiar sprawiedliwości?

Trudno ocenić mi śledztwo włoskie. Na etapie postępowania przygotowawczego sędziemu Martellemu można zarzucić przede wszystkim to, że dopuścił Bułgarów do tej sprawy. Nie ustrzegł

Michał Skwara (ur. 1970) – prokurator w Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, wcześniej w prokuraturze chorzowskiej i katowickiej, prowadził śledztwo IPN w sprawie zamachu na życie Jana Pawła II, współautor książki „Papież musiał zginąć”. Wyjaśnienia Ali Ağcy (2011)





► W czerwcu 2000 roku prezydent Włoch, Carlo Azeglio Ciampi, ułaskawił Alego Ağcę, nakazał też jego ekstradycję do Ankarę

się błędów. Poza dopuszczeniem Bułgarów do czynności śledczych z udziałem Ağcy (może nie znał realiów komunizmu, może to go usprawiedliwia, ale to jest błąd) – zaniechał wątku Władimira Kuzyczkina albo nie przywiązał do niego należytej wagi. Przez to utraciliśmy możliwość sprawdzenia kontaktów Ağcy z KGB. Jednak do pracy śledczej Włochów nie można mieć zastrzeżeń: obalenie alibi Siergieja Antonowa, Żelii Wasiliewa i Todora Ajwazowa to była trudna praca, którą Włosi wykonali bardzo dobrze. Zaskakuje mnie natomiast wyrok sądu włoskiego w tej sprawie. Antonow, Wasiliew i Ajwazow zostali uniewinnieni z powodu braków dowodów winy – to jest taka konstrukcja prawna, że zgromadzone dowody nie pozwalają na skazanie. Trzeba przyznać, że Włosi nie mieli jednak dostępu np. do dokumentów Stasi, do których ja mam dostęp, ani do dokumentów bułgarskich. Ponadto włoski wymiar sprawiedliwości działał pod silną presją polityczną.

Czy w czasie śledztwa natrafił Pan na dowody udziału służb PRL w akcji dezinformacji prowadzonej po zamachu na Jana Pawła II?

Z dokumentów, które czytałem, nie wynikało, by przedstawiciele polskiego wywiadu wojskowego lub cywilnego czy

Departamentu IV MSW mieli cokolwiek wspólnego z zamachem. Trzeba natomiast pamiętać, że wiedza polskiego wywiadu była dostępna dla sojuszników z demoludów. To nie było tak, że nasz wywiad był szczelny. Z dokumentów Stasi wynika choćby to, że polskie MSW – gen. Czesław Kiszczyk czy inne osoby z kierownictwa resortu – było informowane o pewnych działaniach Stasi w tej sprawie. W dokumentach pojawiło się sformułowanie o „oddaleniu oszczerczej propagandy wobec bratniej Bułgarii”. Można więc zadać pytanie: w jakim stopniu informacje polskiego wywiadu mogły się przydać w operacji „Papież” – i to jest pytanie bardzo ogólne, na to nie ma odpowiedzi. Nie ma natomiast dokumentów operacyjnych, które wskazywałyby na współdziałanie służb PRL w tej sprawie, powiem więcej: takich śladów być nie może. Pozyskaliśmy dokument Stasi o posiedzeniu komisji obrony parlamentu Włoch, na którym przedstawiono wiedzę śledczych włoskich o zadaniach służb specjalnych w krajach komunistycznych w związku z zamachem. W raporcie tym o polskim wywiadzie nie było ani słowa. Z dokumentów można wyczytać między wierszami, że w Polsce działała wtedy Solidarność i z tego powodu służby PRL stały się niepewnym sojusznikiem. ❄

Marszałek Polski, szpieg sowiecki

Jarosław Pałka

Michał Żymierski miał piękną kartę w walce o niepodległość Polski, zapowiadał się także na znaczącą postać w wojsku II Rzeczypospolitej. Niedługo potem jednak jego kariera się załamała, zdradził państwo polskie i stał się oddanym współpracownikiem wywiadu sowieckiego.

Zymierski, a właściwie Łyżwiński, bo tak brzmiało jego rodowe nazwisko (zmienione po morderstwie, którego dopuścił się jego starszy brat, Jan), jeszcze przed I wojną światową zaangażował się w działalność Polskich Drużyn Strzeleckich. Po wybuchu wojny służył w Legionach Polskich, blisko współpracując z Józefem Piłsudskim. W 1915 roku stanął na czele Polskiej Organizacji Wojskowej, dowodził jednym z pułków w I Brygadzie Legionów. W 1918 roku odegrał główną rolę w czasie buntu II Brygady pod Rarańczą. Wreszcie w trakcie wojny polsko-bolszewickiej dowodził 2. Dywizją Piechoty Legionów. Także w armii II Rzeczypospolitej jego kariera rozwijała się pomyślnie. Ukończył prestiżową paryską École Supérieure de Guerre, niedługo potem przyszła nominacja na generała brygady i objęcie stanowiska zastępcy szefa Administracji Armii. Jednak w związku z pełnieniem tej ostatniej funkcji zaczęły się wobec Żymierskiego pojawiać coraz czytelniejsze zarzuty o nadużycia finansowe.

Decydujący moment w jego karierze przypadł na rok 1927, gdy sąd skazał go na pięć lat więzienia i wyrzucono go z armii. Udowodniono mu świadome dopro-

Fot. NAC



wadzenie do dużych strat, które poniósł skarb państwa przy realizacji kontraktu na produkcję i zakup masek gazowych dla wojska, a także przyjęcie łapówek. Żymierskiemu na pewno nie pomogło opowiedzenie się rok wcześniej w trakcie zamachu majowego przeciwko Piłsudskiemu. Trudno jednak mówić o tym, że proces i śledztwo miały charakter polityczny (choć oczywiście były wykorzystywane do celów politycznych) – skazał go niezawisły polski sąd, a w ciągu kolejnych lat nie pojawiły się nowe dowody, które mogłyby podważyć te rozstrzygnięcia.

Cenny nabytek

Wyrok był dla Żymierskiego na pewno wielkim ciosem psychicznym i moralnym. Oznaczał też degradację towarzyską i społeczną. Ukarany generał zapewne uznał, że został skrzywdzony przez Piłsudskiego, swojego dowódcę z Legionów; być może doszedł do wniosku, że nie musi już być lojalny wobec państwa polskiego. Pod koniec pobytu w więzieniu, najpierw na warszawskim Mokotowie, a potem w Cieszynie, nawiązał kontakt z członkami Komunistycznej Partii Polski. Żymierski nie został zwykłym członkiem KPP – z powodu pełnionych wcześniej ważnych funkcji w wojsku, a także niedawnych jeszcze szerokich kontaktów wśród przedstawicieli władzy, był bardzo cennym nabytkiem dla komunistów, nie tylko – jak się wkrótce okaże – polskich.

Żymierski odsiedział pełny wyrok. Niedługo po wyjściu z więzienia dostał propozycję wyjazdu do Gdańska. Tutaj spotkali się z nim pracownicy sowieckich służb wywiadowczych. W Wolnym Mieście oświadczono mu, że przed wstąpieniem do KPP musi odbyć staż i podjąć współpracę z wywiadem sowieckim. Żymierski się zgodził. Chęć odegrania się na dawnych przełożonych nie była zapewne jego jedynym motywem. Zdegradowany generał, który zawsze zwracał uwagę na materialną stronę swojej egzystencji, znalazł się w trudnej sytuacji ekonomicznej. Znacznie później Józef Światło, wiceszef Departamentu X Ministerstwa Bezpie-

czeństwa Publicznego, który w latach pięćdziesiątych nadzorował śledztwo przeciwko Żymierskiemu, prowadzone w związku z walką w łonie partii i wojsku z tzw. odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym, po swojej ucieczce na Zachód w audycjach Radia Wolna Europa mówił wręcz o chciwości tego ostatniego: „Na pieniądze był łasy. Choć nie brał ich chętnie, jak mówił, woli drobne podarunki, w postaci drogich pereł i brylantów, bo takie drobnostki wzmacniają przyjaźń”.

Zaraz po powrocie do Polski Żymierski wystarał się w Warszawie o paszport i jesienią 1931 roku wyjechał do Francji. W drodze, w Berlinie, ponownie spotkał się z oficerami sowieckiego wywiadu. Zgodził się na współpracę, przeszedł niezbędne przeszkolenie oraz sporządził raport o sytuacji polityczno-wojskowej w kraju. W latach pięćdziesiątych zeznawał: „W tym okresie ja opisałem szeroko stosunki panujące w Polsce, w szczególności w armii i rządzie, charakteryzując Piłsudskiego i najbliższe jego otoczenie”. Pod koniec pobytu Żymierskiego w Berlinie pojawił się Franciszek Makowski „Jerzy”, który był kierownikiem sekcji polskiej sowieckiego Głównego Zarządu Wywiadowczego (GRU). W 1936 roku, po Makowskim, kontakty ze zdegradowanym generałem przejął niejaki Zawadzki.

Współpraca Żymierskiego z Sowietami była owocna, namówił do niej także dwóch swoich braci – starszego Jana i młodszego Stanisława. Byli oni jego łącznikami z funkcjonariuszami wywiadu. Stanisław w trakcie procesu w latach pięćdziesiątych zeznawał: „Od tej pory do września 1932 roku spotykałem się z »Jerzym« [Franciszkiem Makowskim] na terenie Paryża około dziesięć razy [tak w oryginale]. Spotkania te za każdym razem odbywały się w innym punkcie, np. w metro, w parku itd. Na każdym spotkaniu umawialiśmy się na następne. Podczas wszystkich tych spotkań »Jerzy« instruował mnie, jak wypełniać swoje obowiązki w ramach współpracy z wywiadem radzieckim i jak postępować, aby zachować pełną konspirację”.

Na początku 1933 roku Żymierski otrzymał z Moskwy polecenie powrotu ▶



Fot. WCEO

► Michał Żymierski (drugi z lewej) z braćmi: Józefem, Janem i Stanisławem; lata trzydzieste

do kraju. W Warszawie, podobnie jak wcześniej w Paryżu, spotykał się z członkami opozycji antypiłsudczykowskiej, a także z niektórymi swoimi dawnymi przyjaciółmi z ruchu niepodległościowego i Legionów. Do stolicy Polski powrócił także Stanisław Żymierski, który wciąż był łącznikiem między bratem a Makowieckim. Stanisław zeznawał po latach: „Mniej więcej co dwa miesiące otrzymywałem od niego materiały, które przekazywałem »Jerzemu« pod wskazany adres w Gdańsku-Wrzeszczu. O każdym z tych spotkań kilka dni wcześniej zawiadamiał mnie Michał Żymierski. Spotkania te zawsze odbywały się w niedzielę, wobec tego w sobotę otrzymywałem od Żymierskiego Michała materiały, z tym że niektóre ważniejsze informacje przekazywał mi ustnie i w tym samym dniu wyjeżdżałem pociągiem do Gdańska. Tam zawsze o godz. 9-tej rano w kawiarni przy dużym placu (nazwy nie pamiętam) spotykałem się z »Jerzym«, który – jak sam mi mówił – na spotkania te przybywał z Berlina, najczęściej samolotem”.

Stanisław Żymierski zazwyczaj natychmiast po spotkaniu wracał pociągiem do Warszawy. Koszty podróży zwracał mu starszy brat. Ponadto na polecenie tego ostatniego Stanisław wysyłał do Moskwy paczki z książkami, w których były zaszyfrowane materiały interesujące wywiad.

Michałowi Żymierskiemu nie udało się w Warszawie wystarać o jakieś wyższe stanowisko w administracji rządowej, czym zapewne byli zainteresowani Sowieci, wobec tego w Moskwie stwierdzono, że będzie on bardziej potrzebny w stolicy Francji. Żymierski wyjechał do Paryża w 1934 roku. Przyczyną opuszczenia Warszawy miało być także to, że zaczął się nim interesować Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego (tzw. dwójka), czyli wywiad i kontrwywiad.

Podwójny agent?

Trudno określić, jakie szczegóły znajdowały się w meldunkach Michała Żymierskiego. On sam nic na ten temat nie mówił. Stanisław Żymierski ogólnie stwierdzał, że meldunki dotyczyły spraw polityczno-wojskowych. W jednym przypadku były generał miał przekazać informacje o budowie polskich okrętów podwodnych, o których dowiedział się od swego dawnego przyjaciela, wówczas dyrektora Banku Polskiego. Wydaje się, że do podstawowych zadań Żymierskiego należało przekazywanie informacji na temat polskiego środowiska emigracyjnego w Paryżu. Szybko się zbliżył do czołowych jego postaci

– dziennikarzy, ludzi kultury i polityki. W większości byli to zagorzali antypiłsudczycy, postrzegający zapewne Żymierskiego jako niewinną ofiarę politycznych działań ówczesnych rządów w Warszawie. Oczywiście wykorzystywał on tę sytuację i skwapliwie przekazywał swoim mocodawcom w Moskwie informacje o nastrojach wśród emigracji politycznej. W stolicy Francji często też pojawiał się były premier, gen. Władysław Sikorski, który wyrastał na najważniejszego opozycjonistę, a także inni politycy – Karol Popiel i Izidor Modelski, dawni znajomi Żymierskiego z działalności niepodległościowej i z wojska II Rzeczypospolitej. Stanisław Żymierski, zeznając w latach pięćdziesiątych i myląc zapewne daty, mówił, że Michał Żymierski uczestniczył w rozmowach o utworzeniu Frontu Morges, politycznego porozumienia działaczy stronnictw przeciwnych władzy w Warszawie: „W tym właśnie czasie (1932 rok) organizowano tak zwany Front Morges [Front Morges powstał w 1936 roku]. [...] Naturalnie nikt z tych osób absolutnie nic nie wiedział o Michała Żymierskiego i mojej współpracy z wywiadem radzieckim. Natomiast wywiad radziecki w osobie »Jerzego« był przez Michała Żymierskiego informowany o Froncie Morges i ludziach, którzy go tworzą”.



Czy polska „dwójka” wiedziała coś na temat pracy Żymierskiego dla Sowietów? Wydaje się, że tak. Już w 1932 roku z Warszawy do placówki wywiadowczej w Paryżu przesłano następujący komunikat: „Według uzyskanych informacji, b. gen. Żymierski podczas odsiadania kary rzekomo przystąpił do Komunistycznej Partii Polski i obecnie pozostaje na jej usługach na terenie Francji. Proszę o rozpracowanie tej sprawy”. Niestety, nie mamy dokumentów, które odpowiedziałyby nam na pytanie, czy udało się ją rozpracować w 1932 roku, wiemy jednak, że w połowie lat trzydziestych z Żymierskim kontaktowali się współpracownicy Oddziału II, literat Edward Ligocki oraz Wacław Cmela. Ten ostatni oficjalnie pełnił funkcję sekretarza w opiece społecznej dla polskiej emigracji i komendanta „Strzelca” w Paryżu, przede wszystkim jednak był agentem „dwójki”. W 1935 roku Cmela informował placówkę wywiadowczą, że „od pięciu tygodni jest w ciągłym kontakcie z b. generałem Michałem Żymierskim, u którego również bywa w domu przynajmniej raz w tygodniu”.

W związku z przekazywanymi przez Żymierskiego informacjami na temat polskiej emigracji i opozycji w Paryżu szef polskiej placówki wywiadowczej w attachacie, kpt. Mieczysław Kurczewski, pi-

▶ Dowód osobisty Michała Żymierskiego z okresu pobytu w École Supérieure de Guerre w Paryżu, 1922 rok



Fot. WCEO

▶ Pułkownik Żymierski w swoim gabinecie jako zastępca szefa Administracji Armii, Warszawa, 1924 rok

sał: „Od siebie dodaję, że mimo przejść i kary, jaką odniósł Żymierski, nie przeszedł się on czuć Polakiem. Jestem przekonany, iż na żadne konszachty z nikim nie pójdzie” – i jednocześnie umieścił go wśród „informerów ideowych”, czyli niepobierających wynagrodzenia. Także za namową attaché wojskowego przedłużono zdegradowanemu generałowi prawo pobytu w stolicy Francji. Czyżby władze były zainteresowane tym, aby Żymierski pozostawał w Paryżu, ponieważ stanowił dla polskiego wywiadu cenne źródło informacji? W takim razie dla kogo pracował Żymierski – dla Sowietów czy Polaków? W swoich zeznaniach w latach pięćdziesiątych mówił, że kontaktował się z polskim attaché wojskowym w Paryżu oraz pracownikami polskiego wywiadu we Francji na wyraźne polecenie Makowskiego. I to jest chyba wyjaśnienie najbliższe prawdy. Mimo wszystko jednak Żymierski z racji kontaktów z polską emigracją był interesujący również dla agentów „dwójki”. Być może także polscy agenci, wiedząc, że ma on jakieś kontakty z wywiadem sowieckim, przekazywali mu tzw. materiały inspiacyjne, które miały dezinformować agentów wrogiego państwa.

We Francji Żymierski próbował też handlu bronią. Na tym tle w 1938 roku doszło do ostrego konfliktu między nim a Cmela. Mieli razem przeprowadzić transakcję handlową, dotyczącą dostawy broni dla republikańskiej Hiszpanii. Ostatecznie do niej nie doszło, a obaj zarzucali sobie wzajemnie oszustwa finansowe. Cmela pisał wówczas do Warszawy, że Żymierski utrzymuje niejasne kontakty z agentami wywiadu niemieckiego i francuskiego, w raporcie było także nieco pomówień, przede wszystkim jednak dodawał, że „akcje Żymierskiego można spokojnie okre-



Fot. Archiwum Jerzego Poksińskiego, AOK



▶ Kenkarta Żymierskiego wystawiona na nazwisko Władysław Zwoliński, 23 sierpnia 1943 roku

Fot. AIPN

ślić jako akcje prowokatora, będącego ściśle związanym z Komunistyczną Partią Polski”. Czy te kategoryczne stwierdzenia wynikały tylko z rozczarowania nieudaną transakcją handlową? To mało prawdopodobne. Wydaje się, że polska „dwójka” miała informacje o działalności Żymierskiego dla komunistów, w domyśle: także dla Sowieców. Zapewne nie znała szczegółów jego zaangażowania, wiedziała jednak na tyle dużo, że uważała go za osobę niewiarygodną, wobec której należało zachować daleko idącą ostrożność.

W drugiej połowie 1937 roku Sowieci zerwali kontakt z Żymierskim, jednak nie z powodu wątpliwości co do jego pracy dla Moskwy. Zarówno Makowski, jak i Zawadzki, a więc oficerowie wywiadu prowadzący byłego polskiego generała, padli ofiarą stalinowskich czystek, w których wyniku zlikwidowano znaczną część oficerów prowadzących za granicą wywiad agenturalny. Ale, jak się okazało, to nie był koniec współpracy Żymierskiego z Sowiecami.

Powrót za chlebem

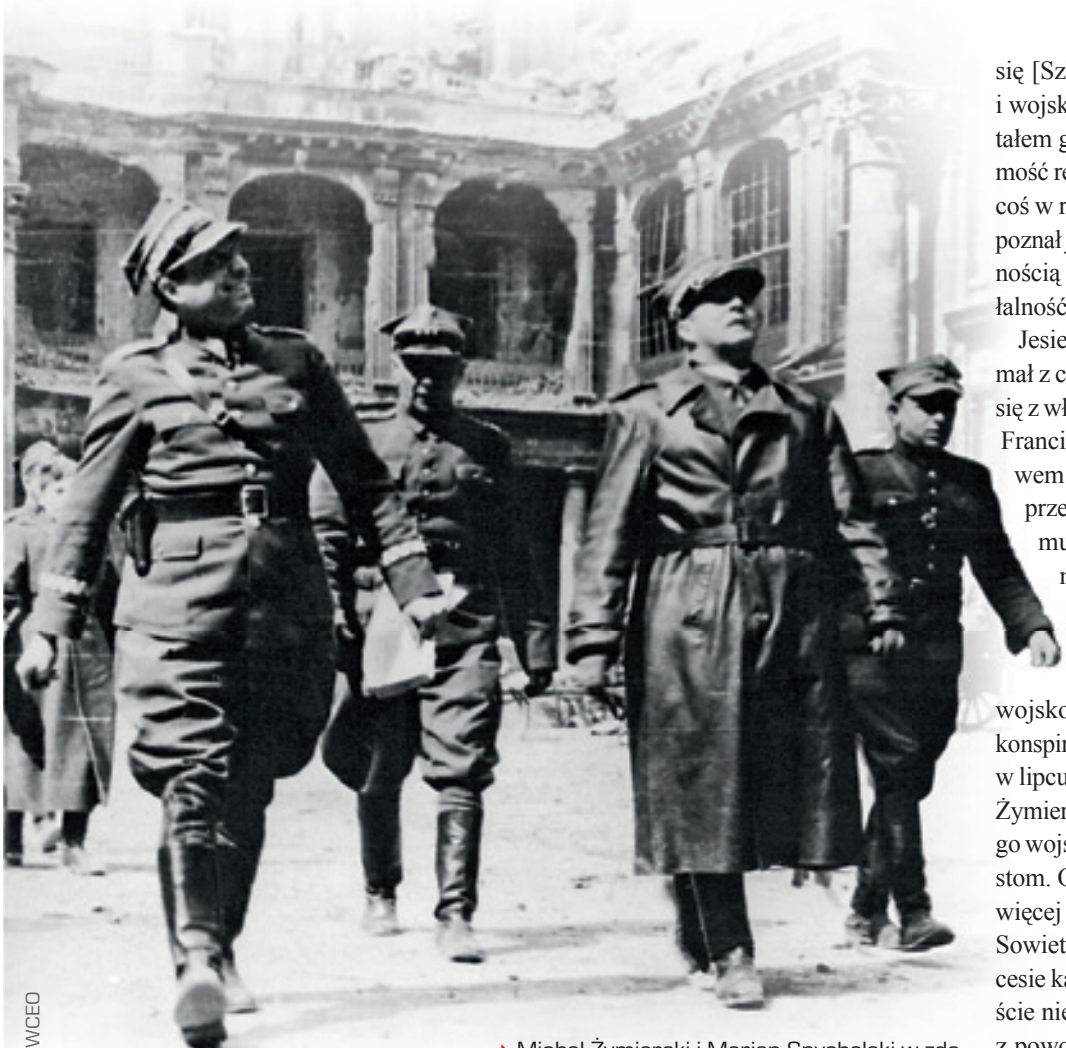
Żymierski znalazł się w trudnej sytuacji finansowej i wraz z rodziną postanowił powrócić do Warszawy. W stolicy zastał go wybuch wojny. W czasie okupacji prowadził intensywną działalność, starał się utrzymywać kontakty z członkami wielu organizacji podziemnych, reprezentującymi niemal każdą orientację polityczną. Wszystkie jego aktywności miały ze sobą związek. Wielu polityków antysanacyjnych mogło uznawać Żymierskiego za postać interesującą. On sam przedstawiał siebie jako ofiarę Piłsudskiego, a proces z lat dwudziestych jako formę represji za opowiedzenie się w 1926 roku po stronie rządowej. Na przełomie lat 1939 i 1940 prawdopodobnie gen. Sikorski podjął starania o ściągnięcie go do Paryża, gdzie funkcjonował rząd polski. To się jednak nie udało. Sam Żymierski próbował się włączyć w działalność polskiego podziemia, najpierw był członkiem mniej znaczących organizacji, takich jak Związek Podoficerów Rezerwy, kontaktował się także z przedstawicielami Miecza i Pługa. Starał się też wstąpić do Związku Walki Zbrojnej, poprzednika Armii Krajowej, jednak wobec sprzeciwu – prawdopodob-

nie Tadeusza Pełczyńskiego i Stefana Roweckiego „Grotą” – nie został przyjęty do struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Dzięki materiałom zgromadzonym w śledztwie, prowadzonym w latach pięćdziesiątych, w tym dokumentom wywiadowczych AK przechwyconym przez komunistów, wiemy, że Żymierski w pierwszych latach okupacji utrzymywał także regularne kontakty z agentem niemieckiego wywiadu, być może spotykał się również z oficerami niemieckiej tajnej policji. Trudno jednoznacznie określić charakter tych relacji – być może został do tego zmuszony, może stały za tym jakieś sprawy finansowe, a może sądził, że dzięki nim będzie w przyszłości, po nawiązaniu ponownej współpracy z Sowiecami, cenniejszy dla Moskwy.

I faktycznie, o Żymierskim nie zapomniano w sowieckiej stolicy. Wiosną 1942 roku do Warszawy dotarli z Moskwy dwaj agenci – Józef Małecki „Sęk” i Adolf Matysiewicz. Ich głównym zadaniem było nawiązanie, po niemal pięciu latach, kontaktu ze starym i sprawdzonym współpracownikiem – Żymierskim. Tak też się stało. Wówczas jednak nie udało się ustanowić stałych kontaktów z centralą. Z powodu serii

► Generał Michał Żymierski „Rola” na inspekcji wśród partyzantów z obwodu lubelskiego AL, Lasy Janowskie, czerwiec 1944 roku





Fot. WCEO

► Michał Żymierski i Marian Spychalski w zdo-
bytym Berlinie, 3 maja 1945 roku

aresztowań w Polskiej Partii Robotniczej Małeckie musiał pozostać w głębokiej konspiracji, a Matysiewicz uciekł z Warszawy. Powrócił w kwietniu 1943 roku i od tego momentu datuje się ponowna ciągła współpraca Żymierskiego z Moskwą. Jego oficerem prowadzącym był płk Tichon Szkoła-Szklarenko, pracownik I Zarządu (wywiadu zagranicznego) NKWD/NKGB. Żymierski otrzymał do dyspozycji radiostację, którą obsługiwał Matysiewicz. Umieszczono ją najpierw w Międzylesiu, potem w Michalinie, wreszcie w Józefowie. Nie wiemy, jakie konkretnie informacje Żymierski przekazywał do centrali. Matysiewicz – w latach pięćdziesiątych także aresztowany w związku z walką z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym” w armii i w wojsku – zeznawał, że były to materiały ogólnowojskowe, a raz na „wy-

rażne żądanie Moskwy” raport na temat gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”. We wspomnieniach pisał potem, że nadał wiadomości „o sytuacji w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, o nastrojach ludności, stanowisku społeczeństwa wobec Niemców, o rozmiarach terroru, rozstrzeliwaniach, warunkach ekonomicznych, ugrupowaniach i partiach politycznych, o ich kierunkach ideowych i wielu podobnych sprawach”. Na pewno wiele z tych informacji pochodziło od Żymierskiego. Oznacza to, że do jego zadań należało rozpracowywanie polskiej konspiracji niepodległościowej. Jeden z agentów wywiadu sowieckiego, Artur Ritter-Jastrzębski, podobnie jak Żymierski przekazujący w czasie okupacji informacje z Warszawy, latem 1944 roku spotkał się ze Szklarenką w Otwocku. Wspominał: „Doskonale orientował

się [Szklarenko] w sytuacji politycznej i wojskowej w Warszawie. Kiedy zapytałem go, skąd ma tak bezbłędną znajomość realiów warszawskich, usłyszałem coś w rodzaju komplementu, że właśnie poznał ją z naszych meldunków”. Z pewnością pomogła Szklarence także działalność Żymierskiego.

Jesienią 1943 roku Żymierski otrzymał z centrali polecenie skontaktowania się z władzami PPR – Pawłem Finderem, Franciszkiem Józwiakiem i Władysławem Gomułką. To wywiad sowiecki przekazał Żymierskiego polskim komunistom. Zgodnie z wytycznymi były generał miał też wstąpić do ich podziemnej organizacji bojowej – Gwardii Ludowej. Najpierw został tam doradcą wojskowym, potem objął dowództwo konspiracyjnej Armii Ludowej. Wreszcie w lipcu 1944 roku Stalin zdecydował, że Żymierski stanie na czele całego polskiego wojska podporządkowanego komunistom. Okazało się, że może zostać kimś więcej niż tylko jednym z agentów. Dla Sowietów to, że został skazany w procesie karnym przed wojną, było oczywiście nieistotne. Wydawało się nawet, że z powodu przywiązania przez niego wielkiej wagi do korzyści materialnych, łatwiej będzie go szantażować.

Według słów Żymierskiego, które zanotował jeden z agentów Głównego Zarządu Informacji WP w latach pięćdziesiątych, Stalin podczas ich pierwszej rozmowy na Kremlu, w lipcu 1944 roku, miał powiedzieć: „Wy będziecie [dowódcą ludowego Wojska Polskiego], mamy do was zaufanie. To znaczy – kontynuował Żymierski – miał o mnie dokładne dane, to przecież zaczęło się od 1931 roku”. W ten sposób wieloletnia współpraca z wywiadem sowieckim otworzyła zdegradowanemu generałowi II Rzeczypospolitej drogę do objęcia najwyższego stanowiska w ludowym Wojsku Polskim i otrzymania nominacji na marszałka. ■

dr Jarosław Pałka – historyk, pracownik Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią w Warszawie, współautor (wraz z Jerzym Poksińskim) książki *Michał Żymierski 1890-1989* (2015), uhonorowanej nagrodą KLIO



Olbrzym niedorastający kartom do pięć

Mariusz Solecki



Osiemdziesiąta czwarta minuta *Katynia* Andrzeja Wajdy: młody akowiec z pasją zrywa plakat *Olbrzym i zapluty karzeł reakcji*, na który się natknął w królewskim Krakowie, dokąd trafił, chcąc kontynuować naukę, skuszony obietnicą tzw. amnestii z sierpnia 1945 roku. Chłopak, walczący z Niemcami w leśnym oddziale Armii Krajowej, poczuł się do żywego dotknięty wymową grafiki stworzonej przez Włodzimierza Zakrzewskiego. Wspomniany plakat stanowił ukoronowanie kampanii, którą przeciwko Żołnierzom Wyklętym prowadził w latach 1944–1945 artysta wykonujący dyrektywy Wydziału Propagandy Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego ludowego Wojska Polskiego, szef działającej przy nim Pracowni Plakatów Propagandowych.



► Plakat Włodzimierza Zakrzewskiego w jednym z pomieszczeń Zakładów Mechanicznych im. Marcelego Nowotki; na zdjęciu premier Józef Cyrankiewicz podczas uroczystości z okazji dwudziestopięciolecia wyzwolenia stolicy; Warszawa, 1970 rok

insurgentów: „Wobec [...] braku współdziałania ze strony dowództwa AK z dowództwem I. Frontu Białoruskiego Armii Radzieckiej nie osiągnięto zamierzonego celu”.

Niepodważalne wiadomości o Włodzimierzu Zakrzewskim są następujące: przyszedł na świat w 1916 roku w Petersburgu (wówczas Piotrogradzie). Jakiś czas później jego rodzice osiedlili się na terytorium odrodzonej Polski. Nastoletni Włodek uczęszczał do szkoły w Bielsku Podlaskim, tu też związał się z bolszewikami. W 1934 roku za udowodnioną sądownie aktywność w Komunistycznym Związku Młodzieży Zachodniej Białorusi został skazany na trzy lata więzienia. Wyrok odsiedział, wykorzystując pobyt w celi na utwierdzenie się w rewolucyjnych, tępionych w II RP poglądach.

Równolegle do fascynacji komunistycznych rozwijały się jego zamiłowania artystyczne. Przed agresją niemiecko-sowiecką na państwo polskie podjął naukę w Miejskiej Szkole Sztuk Zdobniczych i Malarstwa w Warszawie pod kierunkiem Edwarda Butrymowicza. Na skutek zawirowań wojennych znalazł się nie w formującej się armii polskiej na Zachodzie, lecz w Związku Sowieckim, gdzie szybko doceniono jego talent. Krzysztof Pol zaprzecza, jakoby Zakrzewski studiował w moskiewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Owszem, polski komunista zgłosił się na tę uczelnię, ale się nie dostał z powodu wysokich kompetencji warsztatowych, którymi wykazał się na egzaminie wstępnym. Komisja rekrutacyjna wspomnianej ASP, zamiast przyjąć artystę w poczet studentów, skierowała go do pracy w Tielegrafnoje Agientstwo Sowietskogo Sojuza (w skrócie: TASS) – Telegraficznej Agencji Związku Sowieckiego, gdzie znalazł zatrudnienie w komórce specjalizującej się w wykonywaniu plakatów szablonowych. Niebawem zasłynął jako autor plakatów robionych na potrzeby Armii Czerwonej, jak np. *Kociol stalingradzki* czy *Łuk kurski*. Wykazywał się także pedagogicznie, pełniąc funkcję instruktora w centralnym ośrodku indoktrynacji komunistycznej „Artek” nad Morzem Czarnym.

Fot. Marian Sokolowski/PAP

Z portali aukcyjnych i galerii internetowych o zmarłym w 1992 roku Włodzimierzu Zakrzewskim dowiemy się niewiele ponad to, że był pejzażystą, uczącym się malarstwa w Warszawie i jakoby w moskiewskiej ASP. Szkoda, że tylko tyle. Wiadomość, że był twórcą plakatów politycznych, z pewnością podbiłaby cenę wystawianych na sprzedaż prac artysty.

Komunista pejzażysta

W Polsce najlepiej zorientowaną osobą w zawiłościach biografii Włodzimierza Zakrzewskiego jest Waldemar Ba-

raniewski, autor studium *Sztuka bezpośredniego oddziaływania* (w: *Pierwsze półwiecze polskiego plakatu 1900–1950*, 2009), jednak i ten badacz nie był w stanie napisać pełnego biogramu plakacisty: „Nasza wiedza o jego drodze życiowej jest mocno niekompletna, wiele wątków urywa się i gubi, trudno powiązać je ze sobą”. Podstawowe informacje o interesującym go malarzu uzyskał Baraniewski od jego syna, czerpał także dane z książki Krzysztofa Pola *Pracownia plakatu frontowego* (1980) – pozycji mało wiarygodnej, gdyż jej autor np. winą za upadek Powstania Warszawskiego obarczył



Przeciwko AK i NSZ

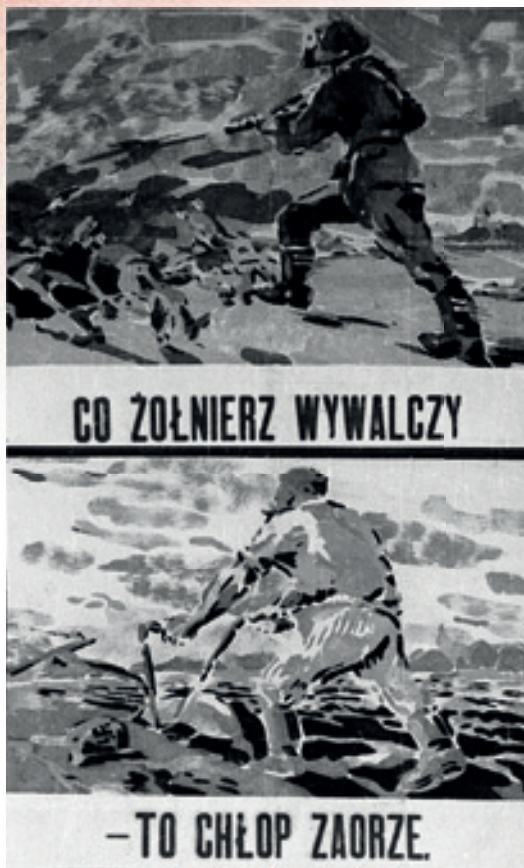
Mimo niemałych dokonań na rzecz Sowietów właściwa kariera Włodzimierza Zakrzewskiego zaczęła się w Polsce „lubelskiej”.

Latem 1944 roku artysta nawiązał w Moskwie kontakt z kolaborantami ze Związku Patriotów Polskich, ci zaś oddelegowali go do krzepnącego w Lublinie Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego ludowego Wojska Polskiego. Moszcząca się nad Bystrzycą władza na gwałt potrzebowała sprawdzonych politruków – Zakrzewski został szefem Pracowni Plakatów Propagandowych i jej najbardziej bojowym cynglem.

Plakat inauguracyjny jej działalność zaprojektował kierownik. Baraniewski pisze: „Pierwszym dziełem Zakrzewskiego, wykonanym w ramach Pracowni Plakatów Propagandowych, był plakat antyakowski z tekstem: »Olbrzym i karzełek. Oto jak przywódcy A-Ka pomagają bić Prusaka«. Plakat [...] przedstawiał [...] rosnącego żołnierza WP, miążdżącego kolbą karabinu hydrę-ośmiornicę o wielu ramionach, którego powstrzymuje w tym – ciągnąc za nogę – rachityczny karzełek o długim nosie, z opaską AK na ramieniu. [...] plakat wykonany został w minimalnym – próbnym – nakładzie 43 egzemplarzy, a prace nad nim rozpoczęto 28 września 1944 roku”.

Z powodu niewielkiego, testowego nakładu plakat nie zapisał się w pamięci potomnych. Okazał się jednak pozycją niezwykle istotną, gdyż, po pierwsze, kolportując go, samozwańcy sondowali, na ile mogą sobie pozwolić wobec Polaków; po drugie, uświadamiał społeczeństwu, kogo bardziej niż Niemców obawiają się prosowieccy komuniści, po trzecie – stanowił uverture do kolejnych obrazoburczych produkcji, swoistą wprawkę, przymiarkę do potwarzy doskonałej pod tytułem *Olbrzym i zapluty karzeł reakcji*.

Egzemplarz premierowego dzieła Pracowni Plakatów Propagandowych zachował się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Ze względów



Fot: PAP/Jerzy Baranowski

pedagogicznych warto wydobyć go na światło dzienne Internetu.

Nie tylko przez AK czuli się zagrożeni uzurpatorzy w dobie Polski „lubelskiej”. Ich zorientowanej na interes Moskwy robocie przeciwstawiły się także formacje związane z endecją. Pracownia Plakatów Propagandowych wypowiedziała więc wojnę również narodowcom, wymierzając w nich kompozycję *Czego to się Adolf śmieje? Bo EN-ES-ZET zamęt sieje*. Znamy okoliczności powstania tej nieszczęsnej pracy: „Po wypadkach napadów band eneszetowskich na punkty rejestracji poborowych pracownia otrzymała zamówienie na plakat o tej tematyce” – pisze Pol, który był dzieckiem swoich czasów, publikującym w oficjalnym, kontrolowanym przez partię obiegu, dlatego – oprócz pomówień o bandytyzm – żadnych konkretnych na temat narodowców wyklętych nie znajdziemy na kartach jego książki. Dziś wyraźnie widzimy coś, co z premedytacją ignorowali Pol i jemu podobni: torpedowanie zaciągu do „wojska Wasi-

lewskiej” przez podziemie wierne rządowi na uchodźstwie było aktem patriotyzmu. Sowieckie marionetki z PKWN nie miały żadnych praw do ogłaszania mobilizacji i wprowadzania sankcji za uchylanie się od poboru. Ale latem 1944 roku ustanawiał i egzekwował dekrety ten, za kim stały dywizje Stalina.

Plakat czyniący z eneszetowców pomagierów Hitlera opracował graficznie nie kto inny jak sam Włodzimierz Zakrzewski. Slogan, mający uchodzić za dowcipny, wymyślił zaś Mieczysław Swacha. Wykonano 339 egzemplarzy tego ohydneho dzieła w formacie 86,5 x 42,5 cm i oklejono nimi tereny dobrużskiej Polski, opalone przez Armię Czerwoną.

Antyeneszetowski plakat Zakrzewskiego nie zdobył takiej popularności jak inne propagandówki graficzne szkalujące żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, np. *Tęp bandytów z NSZ*.

Mimo wszystko chyba nie uderzał w sedno i był mało klarowny w przekazie. Mająca grać rolę eneszetowca poczwara bez twarzy, w butach z ostrogami, z pistoletem w prawicy i z plikiem ulotek w lewicy, klepana po plecach lub popychana do działania przez wodza III Rzeszy, mało komu mogła kojarzyć się z chłopcami twardymi jak stal, zwalczającymi już od 1942 roku oba antypolskie systemy: nazizm i bolszewizm.

Apogeum nagonki

Pod koniec stycznia 1945 roku Pracownia Plakatów Propagandowych została przeniesiona z Lublina do Łodzi. Nastąpił też skok technologiczny: pozyskane maszyny drukarskie zakończyły erę ręcznie powielanego plakatu szablonowego. Litograficzna matryca pozwoliła artystom politruków na rozpowszechnianie ich pomysłów w tysiącach egzemplarzy. To właśnie w Łodzi (już w lutym 1945 roku) miał wkrótce powstać najbardziej rozpoznawalny i najhaniebniejszy plakat Włodzimierza Za-

krzewskiego *Olbrzym i zapluty karzeł reakcji*.

Litografia stanowi udoskonaloną wersję omówionego wyżej, premierowego plakatu szablonowego Pracowni Plakatów Propagandowych *Olbrzym i karzełek. Oto jak przywódcy A-Ka pomagają bić Prusaka*. W swoim drugim podejściu do rozprawy z AK Zakrzewski poszedł już na całość. W jego ujęciu akowiec to poczwara pałająca się między nogami herosa prącego do boju z mosinem. Ów heros to przedstawiciel armii Berlinga, o czym świadczy widoczna na rogatywce *kurica* zamiast dumnego orła w koronie. Na podstawie ustaleń Pola można pokusić się o hipotezę, czyje rysy nosi berlingowiec. W książce *Pracownia plakatu frontowego* czytamy, że do litografii *Bądź jak Zawisza* pozwolili w Łodzi Zakrzewskiemu „dwaj żołnierze, którzy zaczęli z nim swój »szlak plakatowy« jeszcze w Lublinie: plut. Stanisław Iliński i plut. Mateusz Rozbicki”. Twarze postaci z litografii antyakowskiej i odwołującej się do etosu rycerskiego wydają się do siebie podobne, jakby stał za nimi ten sam model, uwieczniony także na plakacie *Co żołnierz wywalczy, to chłop zaorze*.

Olbrzym z plakatu reprezentuje wartości takie jak postęp, przyszłość, bojowość, determinacja. Z litografii nie wynika, by był rozsądnikiem komunizmu. Liliputowi propagandysta hojnie przyporządkował same antywartości: wsteczność (reakcja), przeszłość (bezpowrotność miniona), bierność, gadatliwość („zapluty”). Zamiast kamienia młyńskiego uwiesił mu u szyi planszę z napisem „AK”.

Zakrzewski sugerował, że olbrzym z łatwością rozdecpe karła, który z racji swojej szpetoty na nic lepszego nie zasługiwał. Nie wnikał jednak w tak fundamentalne niuanse, jak ten, że żołnierz IWP jest olbrzymem nie sam z siebie, lecz tylko dlatego, że za jego plecami stoi potęga wojsk sowieckich. Potraktowanie Armii Krajowej przez plakaciste, powszechnie odbierane jako potwarz, zniewaga, niewiarygodne kłamstwo, to już absolutne wyżyny pisania historii na nowo, stworzenie czegoś całkowicie nie-

prawdziwego, ale doskonałego propagandowo, wychodzącego naprzeciw oczekiwaniom polskojęzycznych bolszewików. „Należy zmienić metodę zwalczania AK, którą należy odtąd uważać za ruch oporu i antydemokratyczny [...] w obecnej fazie walka ta powinna być bezwzględna” – czytamy w instrukcji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego dla wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa z 10 lutego 1945 roku.

W kwietniu tegoż roku Zakrzewski planował zmodyfikować slogan ze swojego najbardziej rozpoznawalnego plakatu. Nosił się z zamiarem zastąpienia wyrazu „olbrzym” słowem „bohater”, ale wyżej postawieni politycy z Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego IWP postawili zdecydowane *veto* tej inicjatywie.

Wstydlive laury

Podobno Zakrzewski wstydził się swojej przeszłości i swoich antypolskich wycieczek z początku kariery artystycznej. Zanim jednak zaczęła ogarniać go konfuzja, brał od swoich mocodawców, co popadło. A uzurpatorzy mieli gest, nie żalowali srebrników za wierną służbę: plakacista został odznaczony Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem X-lecia Polski Ludowej. Rychło z porucznika awansował na majora (z metryczki wydanej w 1946 roku propagandówki *Lu-*

dzie Pierwszej Armii wyczytamy, że jej opracowanie graficzne, obwoluta, okładka i niektóre rysunki to dzieła mjr. Zakrzewskiego), a od 1950 roku piastował stanowisko profesora ASP w Warszawie. Nie koniec na tym: autor najbardziej haniebnego plakatu propagandowego doby PRL, szkalującego Armię Krajową, dostąpił zaszczytu wejścia do literatury pięknej: tak jak inny „olbrzym” komunistycznego wojska – Hans Kloss („Jot-23 marcję. Sprawa tych przeciwpancernych pocisków piekielnie ważna, ale niech będzie podwójnie ostrożny. Teraz właśnie, kiedy dni dzielą nas od końca wojny...”) – trafił do powieści Janusza Przymanowskiego *Cztery pancerni i pies*: „Był tam zielony żołnierz porucznika Włodzimierza Zakrzewskiego, wołający *Na Berlin*”.

Propagandyści PRL bez umiaru pompowali fałsz, dwoili się i troili, by zakłócić rzeczywistość. Daremnie. Kreowane przez nich „olbrzymy” nie miały twardej, faktograficznej przesłanki, by dorosnąć „karłom” do pięt. 📌

Mariusz Solecki – nauczyciel języka polskiego w Społecznym Gimnazjum i Liceum im. Wojciecha Korfańskiego w Katowicach, krytyk literacki, autor książki *Literackie portrety Żołnierzy Wyklętych. Esej o literaturze polskiej lat 1948–2010* (2013)

▶ Włodzimierz Zakrzewski podczas pracy w plenerze, lata siedemdziesiąte

Fot: Lech Chanevich/EAST NEWS



Dziś to Słońsk – niewielka miejscowość położona na Ziemi Lubuskiej w pobliżu granicy polsko-niemieckiej. Mało kto wie, że od 1933 roku funkcjonowały tam najpierw jeden z pierwszych obozów koncentracyjnych, a następnie ciężkie więzienie karne w Rzeszy. Osadzano w nim m.in. działaczy europejskich ruchów oporu, sprowadzanych w ramach realizacji dekretu *Nacht und Nebel* (Noc i mgła). Jednak prawdziwy dramat Sonnenburga rozegrał się w nocy z 30 na 31 stycznia 1945 roku.

Historia więzienia w Sonnenburgu sięga XIX wieku. Obiekt, rozbudowywany w ciągu kilku dekad, pełnił funkcję pruskiego ciężkiego więzienia karnego. Chociaż mogło być w nim przetrzymywanych prawie tysiąc osadzonych, to panujące tam warunki bytowe należały do wyjątkowo trudnych. Już wówczas, oprócz więźniów kryminalnych, do Sonnenburga trafiali więźniowie polityczni, w tym polscy działacze niepodległościowi. Po procesie berlińskim (czy też moabickim) z 1847 roku w Sonnenburgu byli więzieni m.in. Ludwik Mierosławski (skazany na karę śmierci) oraz filozof Karol Libelt (powstaniec listopadowy, odznaczony krzyżem Orderu Virtuti Militari). W tym brandenburskim więzieniu wyrok odbywał również syn Henryka Dąbrowskiego – Bronisław.

Rozprawa z lewicą

W okresie Republiki Weimarskiej więzienie było miejscem osadzenia wielu działaczy ruchów lewicowych, głównie socjaldemokratów z SPD i komunistów z KPD. W Sonnenburgu kilkanaście miesięcy spędził znany niemiecki komunista Max Hoelz.

Więzienie – funkcjonujące w małym, pozbawionym przemysłu miasteczku – dawało zatrudnienie i utrzymanie okolicznej ludności. Jednak kryzys ekonomiczny lat

Czy ktoś słyszał

Magdalena Dźwigał



► Zdjęcie grupowe więźniów Sonnenburga, lato 1933 roku; w górnym rzędzie od lewej stoją: strażnik (członek SA), Fritz Rosenkranz (działacz KPD), Carl von Ossietzky, Ernst Oberdörster (poseł KPD), Wilhelm Schröder (robotnik z Berlina), Nilés (reżyser w teatrze Junge Volksbühne), Fritz Groh, Richard Schmetter, NN; siedzą: działacze SPD i związkowcy z Zagłębia Ruhry

dwudziestych XX wieku dotarł również tu. Brak funduszy na niezbędne remonty sprawił, że skandaliczne warunki sanitarne panujące w obiekcie zmusiły władze do jego zamknięcia, co nastąpiło w 1931 roku. Decyzja ta wywołała protesty. Z prośbą o interwencję zwrócono się nawet do ówczesnego gaulaitera Brandenburgii, posła NSDAP w landtagu pruskim, Wilhelma Kubego. Ten miał obiecać, że gdy tylko jego partia odniesie zwycięstwo wyborcze, działalność więzienia zostanie przywrócona.

Mieszkańcy Sonnenburga poszli do wyborów do Reichstagu 5 marca 1933 roku, podczas których NSDAP otrzymała prawie 44 proc. głosów, a w okręgu wyborczym Frankfurt (nad Odrą), do którego należał Sonnenburg, ponad 55 proc. 30 stycznia 1933 roku Adolf Hitler objął stanowisko kanclerza Niemiec. W atmosferze terroru NSDAP i jej paramilitarne bojówki kontynuowały prześladowania przeciwników politycznych. Pretekstem do nasilenia represji stał się pożar Reichstagu

o Sonnenburgu?



Fot. ze zbiorów Fritzja Langego (Berliner VVN-BdA)

w nocy z 27 na 28 lutego. Prezydent Paul von Hindenburg błyskawicznie wydał nadzwyczajny dekret *Verordnung zum Schutz von Volk und Staat* (O ochronie narodu i państwa), znacząco ograniczający wolności obywatelskie oraz legalizujący terror. Aresztowania objęły początkowo Berlin, ale szybko ich zasięg rozprzestrzenił się na całą Brandenburgię i Rzeszę. Po wyborach wygranych przez NSDAP, wzmożła się fala aresztowań. Wśród zatrzymanych znaleźli się przede wszystkim komuniści i socjaldemokraci, ale również inni krytycy ideologii nazistowskiej i Żydzi. Brakowało miejsc do osadzania i izolowania zatrzymanych. 22 marca 1933 roku, na mocy decyzji szefa SS Heinricha Himmlera, utworzo-

no pierwszy obóz koncentracyjny w Dachau. Wkrótce powstawały kolejne obozy i areszty prewencyjne. 20 marca nieczynne, zdewastowane więzienie sonnenburskie przeszło pod zarząd Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Prus, kierowanego przez Hermanna Göringa. W tym dniu zapadła prawdopodobnie również decyzja o założeniu tam pierwszego państwowego obozu koncentracyjnego w Prusach.

Na początku kwietnia do obozu w Sonnenburgu trafiły transporty z pierwszymi więźniami – w sumie ok. 250 osób. Zarząd administracyjny jednostki powierzono prezydium policji berlińskiej, komendanturę sprawowali zaś funkcjonariusze wydziału ds. specjalnych poruczeń, wspomagani

przez stołeczne oddziały SA. Pierwszym komendantem został Gerhard Paessler.

Liczba osób przetrzymywanych w obozie sonnenburskim w ciągu kilku miesięcy przekroczyła 1200. Byli to w większości działacze lewicowi z Berlina i okolic, a w późniejszym czasie również działacze KPD ze Szczecina i Śląska Opolskiego. W sonneburskich celach znaleźli się też prominentni działacze komunistyczni i antynazistowscy „aresztowani prewencyjnie” tuż po pożarze Reichstagu. Byli wśród nich m.in. literat i pacyfista Carl von Ossietzky, który głośno sprzeciwiał się ideologii nazistowskiej i bezprawiu NSDAP, oraz anarchista i publicysta Erich Mühsam. Ossietzky w roku 1936 za swoją pacyfistyczną, antyfaszystowską działalność otrzymał Pokojową Nagrodą Nobla. W ówczesnej sytuacji międzynarodowej decyzja Norweskiego Komitetu Noblowskiego wywołała sporo kontrowersji. Szwedzka para królewska pierwszy raz odmówiła uczestnictwa w ceremonii wręczenia tej nagrody. Zresztą Ossietzky – przebywający już wówczas w szpitalu pod nadzorem gestapo – nie uzyskał pozwolenia na wyjazd z kraju, sam Hitler zaś zabronił na przyszłość wszystkim Niemcom przyjmowania odznaczeń noblowskich. Przykładem wyrównywania osobistych porachunków ▶



▶ Carl von Ossietzky, Sonnenburg, 30 czerwca 1933 roku; rysunek Adolfa Noetzela

Fot. ze zbiorów Ursuli Haupt-Noetzel (Berliner VVN-BdA)

z oponentami politycznymi było uwięzienie młodego adwokata Hansa Littena, który prowadził liczne sprawy przeciwko bojówkom SA, dowodząc przy tym, że NSDAP działa poza granicami prawa. W 1931 roku ośmielił się wezwać jako świadka i ośmieszyć podczas rozprawy samego Adolfa Hitlera. Ta zniewaga nie została mu zapomniana. W kwietniu 1933 roku również on znalazł się w jednym z pierwszych transportów do Sonnenburga. Był maltretowany i kilkakrotnie przenoszony do różnych obozów. W 1938 roku popełnił samobójstwo w Dachau.

Właśnie tacy ludzie byli w Sonnenburgu więźniami „specjalnego znaczenia” – bestialsko traktowanymi przez personel i kierownictwo obozu. Wstrząsające relacje i wspomnienia byłych więźniów robią przynębiające wrażenie. W zdewastowanym, zagrzybionym obozie dochodziło do maltretowania osadzonych tam ludzi. W piwnicach urządzone pokoje przesłuchań, w których torturowano więźniów.

Dzięki ich rodzinom oraz informacjom przekazywanym przez nielicznych uciekinierów świat dowiadywał się o sytuacji panującej w Sonnenburgu. Do miasteczka przybywały nawet delegacje zagranicznych dziennikarzy – jednak zazwyczaj mistyfikacja zarządzana przez komendanta obozu pozwalała ukryć rzeczywiste warunki tam panujące. Nawet dokonana w kwietniu 1933 roku zmiana obsady i komendanta obozu nie wpłynęła na poprawę położenia więźniów. Było wręcz gorzej – zafundowano im wielogodzinne, wycieńczające i brutalne „ćwiczenia” pruskiej musztry i gimnastyki. Sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu w sierpniu 1933 roku, kiedy to kierownictwo nad obozem przejęło SS.

Z wagnerowskim rozmachem

W kwietniu 1934 roku na mocy odgórnych decyzji zamknięto obóz koncentracyjny w Sonnenburgu – już wcześniej zwolniono większość więźniów w ramach tzw. amnestii świątecznej, pozostałych zaś przewieziono do innych obozów. Zakład znów oddano Ministerstwu Sprawiedliwości, przez co wszedł do hitlerowskiego systemu więziennictwa jako ciężkie samodzielne uwięzienie karne. Do 1939

roku osadzano w nim przede wszystkim więźniów uznawanych w ówczesnej nomenklaturze za kryminalnych. Sytuację zmienił rok 1939, kiedy trafili tam Polacy, w tym wielu uwięzionych w ramach akcji odwetowej za tzw. bydgoską krwawą niedzielę. O Polakach osadzonych wówczas w Sonnenburgu wciąż jednak zbyt mało wiemy i warto poświęcić tej tematyce odpowiednie badania. Jednak po wydaniu 4 grudnia 1941 roku rozporządzenia o prawie karnym dla Polaków i Żydów, liczba polskich więźniów zmalała do pojedynczych przypadków. Od tej pory byli już bowiem kierowani nie do więzień, lecz do obozów karnych.

W 1942 roku uwięzienie w Sonnenburgu zmieniło swoje oblicze. Stało się zakładem o przeznaczeniu specjalnym, zaczęły tam bowiem trafiać osoby zatrzymywane na podstawie dekretu *Nacht und Nebel* (w skrócie NN). W jednej ze scen Wagnerowskiej opery *Złoto Remu* główny bohater zakłada magiczny hełm i znika, śpiewając: „Nocy i mgły, znikam”. Podobnie „znikać” bez śladu mieli – według wytycznych z 7 grudnia 1941 roku – przede wszystkim działacze ruchu oporu we Francji, Holandii, Belgii i Norwegii. Przewidywano potajemne przewożenie do Rzeszy obywateli państw okupowanych, o których było

wiadomo, że prowadzą działalność antynazistowską, aczkolwiek brak niezbitych dowodów nie pozwalał na przeprowadzenie procesu z założonym z góry wyrokiem śmierci. Istotą operacji było utrzymanie deportacji w ścisłej tajemnicy. Rodzinom porywanych jedynie w wyjątkowych przypadkach udzielano informacji o zatrzymaniu, a dalsze losy ich bliskich miały być utajnione, łącznie z wiadomością o śmierci więźniów i miejscu ich pochówku. Przemysław Mnichowski, badacz zbrodni z okresu II wojny światowej, pisał: „Dekret »Nacht und Nebel« był wykonywany z całą niemiecką precyzją. Ludzie znikali bez śladu z domów, z miejsc pracy, z ulic i nikt nie wiedział, co się z nimi stało”. Na terenie Rzeszy więźniowie ci byli oddawani pod sądy specjalne, m.in. w Kilonii dla deportowanych Francuzów i Norwegów w Dortmundzie dla więźniów z Belgii i Holandii oraz w Berlinie dla obywateli pozostałych krajów objętych akcją. Od października 1942 roku sprawy szczególnej wagi rozpatrywał tzw. Trybunał Ludowy w Berlinie, a w 1944 roku przejęło je gestapo. Procesy były jednak zwykłą formalnością, a ich przebieg farsą.

Pierwsi więźniowie akcji *Nacht und Nebel* trafili do Sonnenburga we wrześniu 1942 roku. W latach 1942–1944 łącznie



przetransportowano tam ok. 1,5 tys. skazanych na karę śmierci lub dożywotniego więzienia, w tym 500–800 członków ruchu oporu z północnej Francji, 200–300 deportowanych z Belgii, ok. 200 z Holandii, ponad 250 z Norwegii oraz mniejszą liczbę z Jugosławii i ZSRR. W więzieniu znaleźli się również obywatele anektowanego Wielkiego Księstwa Luksemburga odmawiający służby wojskowej oraz Niemcy skazani za działanie na szkodę Wehrmachtu.

Umieszczeni we wschodnim skrzydle kompleksu więźniowie akcji NN byli odseparowani od pozostałych osadzonych. Dramatyczne warunki panujące w Sonnenburgu powodowały dużą śmiertelność – znacznie większą niż w innych ośrodkach tego typu. Na drzwiach ich cel umieszczano kartki z napisem: „Żadnych listów, żadnych książek, bez kościoła”. Niewątpliwie deportowani działacze europejskich ruchów oporu byli narażeni na szczególne szykany ze strony personelu więziennego – bito ich i poniżano. Łamano – przez oblewanie zimną wodą lub wrzątkiem, przydzielano głodowe racje żywnościowe. Zmarłych grzebano na więziennym cmentarzu.

W listopadzie 1944 roku więźniów NN stopniowo przenoszono do obo-

zów koncentracyjnych Sachsenhausen i Groß-Rosen. Mimo to pozostawała tam spora liczba Luksemburczyków oraz niemieckich więźniów kryminalnych i politycznych. Do Sonnenburga zaczęto tymczasem kierować więźniów z Europy Wschodniej. Jednak na skutek szybkiego rozwoju wydarzeń na froncie wschodnim proces ten wyhamował. W styczniu 1945 roku w Sonnenburgu przetrzymywano jeszcze ponad 900 więźniów. Był to czas, kiedy chcąc zatrzeć ślady zbrodni, popełniano kolejne masowe mordy, dziś określane mianem zbrodni końcowego etapu.

Masakra styczniowa

Późnym popołudniem 30 stycznia z Frankfurtu nad Odrą do więzienia w Sonnenburgu przybył Hauptsturmführer-SS Wilhelm Nickel w asyście oddziału specjalnego SS. Przejął od komendanta Theodora Knopsa kierownictwo nad jednostką – powołując się na specjalne pełnomocnictwa szefa gestapo we Frankfurcie, Heinza Richtera. Z miejsca rozpoczął przygotowania do wykonania tzw. *Räumungsbefehl*, czyli rozkazu fizycznej likwidacji więźniów. Prawdopodobnie wyselekcjonowano 825 więźniów przeznaczonych do eksterminacji. Zostali wyprowadzeni na więzienny dziedziniec i rozstrzelani z broni maszy-

nowej. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku godzin. Zamordowano wówczas Luksemburczyków, Francuzów, Holendrów, Norwegów, Belgów, Niemców, Polaków, Jugosłowian, Czechów, Ukraińców i Hiszpanów. Masakry udało się uniknąć 150 więźniom, których poprowadzono na zachód wraz z ewakuowanym personelem więziennym i ich rodzinami. Cudem ocalali również ciężko ranni Belg Léon Esseler, Ukrainiec Andrej Kowalenko oraz Jugosłowianin Vjekoslav Leček i Vladimir Savič. Polski adwokat Józef Wójcik i Niemiec Willi Wibbing zdołali ukryć się tuż przed masakrą.

Ewakuujący się Niemcy zamknęli bramę więzienia, a klucz wyrzucili w głęboki śnieg. Dwa dni później, 2 lutego, bramę wysadzili żołnierze radzieccy. Zastali przerażający widok – 819 ciał. Dopiero wówczas z ukrycia wyszli ocaleni. Rozmiar masakry udokumentowała radziecka ekipa filmowa.

Dziś nie ma śladu po tym ogromnym kompleksie więziennym. Zniszczony w 1945 roku, prawdopodobnie w latach pięćdziesiątych został rozebrany, a budulec wywieziono do Warszawy. Pozostały jedynie fragment muru, przy którym dokonano mordu, i wciąż żywa pamięć o tym wydarzeniu. Do dziś nie rozliczono zbrodni popełnionych w Sonnenburgu. Co prawda, wydarzenia z 30–31 stycznia 1945 roku były składnikiem jednego z tzw. norymberskich procesów następczych – znanego jako proces prawników (zapadły w nim m.in. wyroki dożywotniego więzienia) – ale na ławie oskarżonych nie zasiadł nikt z bezpośrednich wykonawców zbrodni. Pozostałe postępowania – czy to przed sądami RFN, czy w Polsce – z uwagi na brak wsparcia prawnego ze strony władz niemieckich nigdy nie doprowadziły do ukarania winnych. 🇺🇸

Korzystałam z opracowań: Przemysław Mnichowski, *Obóz koncentracyjny i więzienie w Sonnenburgu (Słońsku) 1933–1945*, Warszawa 1982; *Obóz koncentracyjny i ciężkie więzienie karne Sonnenburg*, red. H. Coppi, K. Majchrzak, Berlin 2015 oraz dokumentów archiwalnych zgromadzonych w IPN.

Magdalena Dźwigal – archiwistka, historyczka, pracowniczka Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie

► Ocaleni z masakry SS rozmawiają z żołnierzami radzieckimi; od lewej stoją: Andrej Kowalenko, Léon Esseler, Vladimir Savič; zdjęcie z nagrań radzieckiej ekipy filmowej, więzienie Sonnenburg, 2 lutego 1945 roku



Fot. R. Mazelew/ze zbiorów APMA-B

Auschwitz i Birkenau po wojnie

Jacek Lachendro

Już dwa lata po II wojnie światowej na terenie byłego obozu Auschwitz otwarto muzeum. Jego powstanie to w dużej mierze zasługa dawnych więźniów.

W drugiej połowie 1944 roku, w obliczu sukcesów Armii Czerwonej, władze niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz prowadziły działania zmierzające do usunięcia śladów popełnionych zbrodni. Palono dokumenty, usuwano prochy ludzkie z dołów spaleniowych, wywożono zagrabione mienie, demontowano instalacje i przygotowywano do wysadzenia komory gazowe i krematoria. Jednak z powodu pośpiechu wynikającego z błyskawicznej ofensywy Sowieców Niemcy nie zdążyli zatrzeć wszystkich śladów zbrodni i wycieńczenia mienia.

Od 17 do 21 stycznia 1945 roku esesmani przeprowadzili ewakuację kompleksu obozowego Auschwitz, wyprowadzając ok. 58 tys. więźniów i zmuszając większość z nich do przejścia – w trudnych warunkach zimowych – kilkudziesięciu kilometrów do Wodzisławia Śląskiego i Gliwic. Stamtąd więźniowie byli przewożeni pociągami do innych obozów koncentracyjnych. Już po „ewakuacji”, na krótko przed nadejściem żołnierzy sowieckich, esesmani wysadzili w powietrze budynki komór gazowych i krematoriów oraz podpalili magazyny tzw. Kanady w Birkenau. Nie zniszczyli jednak całości zagrabionego mienia; jego część (tak-

że część dokumentów) ocalała w różnych obiektach, głównie obozu macierzystego.

Po „ewakuacji” w kompleksie obozowym Auschwitz pozostało ok. 9 tys. więźniów, w zdecydowanej większości chorych i wycieńczonych fizycznie. Około siedmiuset spośród nich zostało zamordowanych przez esesmanów w Birkenau i kilku podobozach, część zmarła, niektórym udało się zbiec. W rezultacie oswobodzenia doczekało ok. 7,5 tys. więźniów.

Szpital polowy

KL Auschwitz został wyzwolony przez żołnierzy Armii Czerwonej 27 stycznia 1945 roku. Większość ocalałych wymagała szybkiej pomocy medycznej, dlatego sowieckie władze wojskowe w ciągu kilku dni zorganizowały dwa szpitale polowe. W pierwszych dniach lutego szpital utworzyli również ochotnicy Polskiego Czerwonego Krzyża, którzy początko-



▶ Blok 19 obozu Auschwitz: z lewej zdjęcie z okresu tuż po wyzwoleniu (luty 1945 roku), z prawej – siedemdziesiąt lat później

wo wspólnie z sowieckim personelem medycznym zajmowali się pacjentami, a w lecie przejęli nad nimi całkowitą opiekę. Szpitale funkcjonowały w blokach obozu macierzystego, dokąd przewieziono chorych z Birkenau i Monowitz. Na ich potrzeby wykorzystano część mienia poobozowego – koce, odzież, leki, wyposażenie izb więziarskich, m.in. trójpiętrowe prycze, które przecinano, by uzyskać jednopoziomowe łóżka. Łącznie leczeniem objęto ok. 4,5 tys. ocalałych, z których większość udało się przywrócić do zdrowia. Jednak, mimo troskliwej opieki, co najmniej pięciuset zmarło. Szpital PCK funkcjonował do jesieni 1945 roku.

Ocaleni, którzy znajdowali się we względnie dobrej kondycji fizycznej, opuszczali były obóz. Wielu z nich wyruszyło samodzielnie w drogę w pierwszych dniach po wyzwoleniu, inni – po zakończonej kuracji – wyjeżdżali w transportach organizowanych przez żołnierzy sowieckich i personel PCK. Na drogę otrzymywali zaświadczenia o uwięzieniu w Auschwitz, a zwykle także odzież pochodzącą z magazynów poobozowych, suchy prowiant i niewielką sumę pieniędzy.

Na terenie byłych obozów – macierzystego i Birkenau – znajdowało się ponad sześćset zwłok więźniów zmarłych lub

zabitych krótko przed wyzwoleniem. Początkowo były one gromadzone w zaimprovizowanej kostnicy w bloku 11 obozu macierzystego i kilku dołach wykopanych w Birkenau. 28 lutego zostały uroczyście pochowane w masowych grobach w pobliżu dawnego Auschwitz I. Grzebano tam również ciała pacjentów zmarłych we wspomnianych szpitalach. Później to miejsce zostało przekształcone w niewielki cmentarz, który wciąż można odwiedzać.

Pracownicy szpitala PCK byli pierwszymi osobami, które zbierały informacje o byłych więźniach, zarówno w trakcie rozmów z ocalałymi, jak i na podstawie dokumentów znajdujących w różnych miejscach byłego obozu. Mając te dane, wysłali tysiące listów do osób w różnych krajach, w których informowali o losie ich bliskich. Z czasem te prace zostały przejęte przez biura PCK w Krakowie i Warszawie, a w 1954 roku – przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu (obecnie Biuro Informacji o Byłych Więźniach).

Komisje ustalają fakty

W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu na terenie obozu macierzystego i Birkenau dochodzenie prowadziła Prokuratura I Frontu Ukraińskiego (jednostki tego frontu wyzwoliły Auschwitz), nad-

zorowana przez Nadzwyczajną Państwową Komisję Związku Sowieckiego do Badania Zbrodni Niemiecko-Faszystowskich Agresorów. Pracownicy prokuratury oraz eksperci komisji zlustrowali m.in. liczne obiekty poobozowe, a także zbadali tereny krematoriów oraz dołów spaleniowych w pobliżu krematorium V, gdzie odkryli ludzkie prochy. Jako materialne dowody zbrodni zabezpieczyli znaczne ilości mienia zagrabionego Żydom, a także ok. 7 ton włosów ludzkich. Zgromadzili również wiele dokumentów poobozowych, które następnie zostały wysłane do Związku Sowieckiego. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych część z nich, w postaci oryginałów lub kopii, została przekazana do archiwum muzeum w Oświęcimiu. W maju 1945 roku komisja opublikowała komunikat, w którym wśród wielu ustaleń podała liczbę 4 mln ofiar, a także wymieniła kraje, z których pochodzili deportowani, nie uwzględniając jednak ich narodowości. Nie wspomniała zatem o Żydach ani o tym, że stanowili oni największą grupę ofiar. Podana wówczas liczba oraz sposób prezentowania więźniów według krajów pochodzenia, a nie narodowości, utrwaliły się później w historiografii i publicystyce w Polsce rządzonej przez komunistów. Miały również istotny wpływ na treść wystaw i publikacji muzeum w Oświęcimiu. Dopiero przemiany polityczne w Polsce pod koniec lat ▶



Fot. ze zbiorów APMA-B

Obóz koncentracyjny (Konzentrationslager – KL) Auschwitz

został założony przez niemieckie władze okupacyjne wiosną 1940 roku na obrzeżach Oświęcimia (niem. Auschwitz) – na terenach włączonych kilka miesięcy wcześniej bezpośrednio do Rzeszy. Początkowo był przeznaczony dla Polaków, później również więźniów innych narodowości, wśród których od wiosny 1942 roku przeważali Żydzi. Z czasem KL Auschwitz stał się największym niemieckim obozem koncentracyjnym, obejmującym trzy główne części – obóz macierzysty (Auschwitz I), Birkenau (Auschwitz II) i Monowitz (Auschwitz III) – oraz niemal pięćdziesiąt podobozów. Latem 1944 roku w całym kompleksie znajdowało się przeszło 105 tys. zarejestrowanych więźniów oraz około 30 tys. Żydów nieobjętych ewidencją obozową. Od 1942 roku Auschwitz, a potem przede wszystkim Birkenau, pełniły również funkcję ośrodka zagłady Żydów. Ogółem do KL Auschwitz przywieziono ok. 1,3 mln ludzi, spośród których blisko 1,1 mln stanowili Żydzi, 140–150 tys. Polacy, ok. 23 tys. Romowie, co najmniej 15 tys. jeńcy sowieccy oraz ok. 25 tys. osoby innych narodowości. Zginęło tam około miliona Żydów, 70–75 tys. Polaków, ok. 21 tys. Romów, ponad 14 tys. jeńców sowieckich i kilkanaście tysięcy pozostałych więźniów. KL Auschwitz był również miejscem grabieży mienia deportowanych Żydów. Przekonani, że udają się do nowego miejsca osiedlenia, zabierali ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Jednak po przyjeździe bagaż musieli zostawić na rampie, a odzież i podręczny ekwipunek przed wejściem do komory gazowej. Zwłokom zagazowanych obcinano włosy, wrywano złote zęby, ściągano biżuterię. Przejęte mienie przewożono do magazynów, tzw. Kanady, skąd w większości trafiało do różnych grup ludności niemieckiej oraz organizacji i instytucji nazistowskich.

▶ Członkowie sowieckiej komisji śledczej dokonują oględzin szubienicy na dziedzińcu przed blokiem 11; kadr z *Kroniki Wyzwolenia* nakręconej przez sowieckich operatorów krótko po wyzwoleniu obozu

osiemdziesiątych umożliwiły podjęcie badań naukowych nad tymi zagadnieniami.

Od kwietnia 1945 roku dochodzenie na terenie byłego obozu prowadziła polska Komisja do Badania Zbrodni Niemiecko-Faszystowskich w Oświęcimiu, a następnie oddział krakowski Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (GKBZNwP). Członkowie komisji zebrali

wiele dokumentów, sporządzili dokumentację fotograficzną części mienia, w tym zdemontowanych elementów wyposażenia oraz instalacji komór gazowych i krematoriów, których esesmani nie zdołali wywieźć. Zabezpieczyli również próbki włosów ofiar oraz niektóre elementy instalacji wentylacyjnej komór gazowych, które następnie przesłali do krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych. Przeprowadzone tam badania ujawniły obecność cyjanowodoru i pochodnych związków, które stanowiły składniki cyklonu B, preparatu stosowanego do zabijania ludzi w komorach gazowych. Zebrane materiały zostały później wykorzystane w procesach m.in. byłego komendanta Rudolfa Höbba oraz czterdziestu członków załogi (artykuł Joanny Lubeckiej o procesie Höbba opublikowaliśmy w „Pamięci.pl” nr 1/2015).

Po wyzwoleniu tereny byłego KL Auschwitz znalazły się pod kontrolą władz sowieckich. Wiosną 1945 roku utworzyły one dwa przejściowe obozy dla niemieckich jeńców wojennych. Pierwszy z nich mieścił się początkowo w zachodniej części byłego obozu macierzystego, od czerwca zaś objął cały jego obszar.



Fot. Z. Klawender/ze zbiorów APMA-B

▶ Były obóz Auschwitz I; brama prowadząca do obozu bez napisu *Arbeit macht frei*; obok zdjęcie z wiosny 2015 roku z kopią historycznego napisu - skradziony w 2009 roku oryginał udało się odzyskać i poddano konserwacji

Fot. Maciej Fokas

Drugi został ulokowany w sektorach BI oraz BIIa (do września 1945 roku) dawnego Birkenau. W obozie w Oświęcimiu byli osadzeni tylko jeńcy niemieccy, a w Brzezince oprócz nich władze sowieckie przetrzymywały również cywilów z Górnego Śląska i Opolszczyzny, aresztowanych na zapleczu frontu. Choć w tej grupie znajdowało się wielu Polaków, wszyscy byli traktowani przez stronę sowiecką jako Niemcy. Z czasem większość z nich została zwolniona, część jednak wywieziono wraz z jeńcami do łagrów w Związku Sowieckim. Obóz w byłym Auschwitz I istniał do jesieni 1945 roku, a w dawnym Birkenau do lutego następnego roku.

Tańce i szabier

W tym czasie wiele obiektów dawnego KL Auschwitz uległo dewastacji. Żołnierze sowieccy adaptowali je na potrzeby obozów jenieckich, zmieniając przy tym ich wygląd lub przeznaczenie. Przykładowo wiosną 1945 roku na dachu budynku, w którym znajdowały się komora gazowa i krematorium I, urządzili plac taneczny. Dodatkowo jeńcy, przebywa-

jąc w blokach czy barakach, przyczynili się do częściowego zniszczenia lub uszkodzenia ich wyposażenia, a także ścian, podłóg, stolarki budowlanej. Sowieci zdemontowali również niektóre baraki oraz urządzenia pralni, rzeźni, kuchni dla esesmanów, stacji transformatorów i kotłowni fabryki „Union” (obiekty na terenie byłego Auschwitz I i w jego pobliżu). Ponadto niektórzy żołnierze sowieccy rozgrzebywali ziemię i prochy ludzkie w byłym obozie Birkenau, poszukując złota oraz innych kosztowności pozostałych po ofiarach zagłady. Zachowała się fotografia żołnierzy sowieckich płuczących prochy w jednym ze stawków na terenie Birkenau.

Władze sowieckie przejęły też część majątku ruchomego. Zabrały dokumenty, także te, które pracownicy GKBZNwP spakowali i przygotowali do transportu do Krakowa (następnego dnia przyszli po nie i okazało się, że wzięli je żołnierze sowieccy). Następnie znaczna ilość tego mienia, uznanego za zdobycz wojenną, została wysłana do Związku Sowieckiego. Jedyne dzięki przypadkowi ocalał napis *Arbeit macht frei*, zdjęty znad bramy

i przygotowany do transportu. Zauważył go Eugeniusz Nosal, pracownik Zarządu Miejskiego w Oświęcimiu, mający prawo wstępu na teren kontrolowany przez władze sowieckie, i po przekupieniu strażnika zabrał z wagonu. Napis został przywrócony na pierwotne miejsce w trakcie prac nad utworzeniem muzeum.

Władze sowieckie część ruchomości sprzedały administracji polskiej, m.in. materiały budowlane kupił Zarząd Miejski w Oświęcimiu. Również wojewoda krakowski pozyskał dużą ilość majątku ruchomego, w tym liczne materiały budowlane, wysłane następnie do różnych miejsc, głównie w Małopolsce, gdzie posłużyły do odbudowy zniszczeń wojennych.

Na przełomie lat 1945 i 1946 władze sowieckie stopniowo przekazywały tereny poobozowe stronie polskiej. Początkowo znalazły się one w gestii Oddziału Wojewódzkiego Tymczasowego Zarządu Państwowego (TZP), który przeprowadził inwentaryzację znajdujących się tam nieruchomości. W lutym 1946 roku Główny Urząd TZP przekazał baraki w dawnym Birkenau do dyspozycji Ministerstwa Odbudowy. Obiekty na terenie byłego Auschwitz I już wcześniej znalazły się pod nadzorem Ministerstwa Obrony Narodowej.

Ministerstwo Odbudowy zdecydowało o rozbiórce baraków i wysyłce drewnianych elementów do różnych miejscowości w Polsce, których mieszkańcy ponieśli straty w czasie działań wojennych. W połowie 1946 roku, kiedy zapadły decyzje o utworzeniu muzeum, władze centralne postanowiły zachować czterdzieści baraków drewnianych jako eksponaty. Jednak w rezultacie prowadzonych prac zostało zdemontowanych i wywiezionych łącznie około dwustu baraków.

W marcu 1946 roku Wojewódzki Zarząd TZP przekazał obowiązki Okręgowemu Urzędowi Likwidacyjnemu (OUL) w Krakowie. Na tereny byłego obozu została delegowana grupa pracowników, której zadaniem było zabezpieczenie i magazynowanie znajdującego się tam jeszcze mienia oraz jego sprzedaż, gdy zachodziło niebezpieczeństwo zniszczenia lub gdy koszty przechowy-



wania przewyższały jego wartość. W rezultacie wiele przedmiotów trafiło do różnych organizacji oraz instytucji.

Już wkrótce po zakończeniu walk wysiedleni mieszkańcy wsi położonych w pobliżu Oświęcimia wracali do swoich gospodarstw. Ponieważ znaczna część domostw została zniszczona przez Niemców, powracający zamieszkali w budynkach kilku dawnych podobozów albo w prymitywnych obiektach wznoszonych z materiałów poobozowych. Część z nich starała się również zrekompensować sobie straty poniesione w trakcie wysiedleń, zabierając z terenów byłego obozu różnego rodzaju materiały, wyposażenie czy przedmioty. Niestety – jak m.in. donosiła ówczesna prasa – były również osoby z bliższych i dalszych okolic obozu, które rozkopywały ziemię i ludzkie prochy, szukając złota i kosztowności.

Ochrona i rekonstrukcja

W tych okolicznościach zostały zainicjowane prace, których celem było zabezpieczenie terenów byłego obozu przed dalszą dewastacją oraz utworzenie muzeum. Pierwsze propozycje w tej kwestii wysuwali członkowie polskich komisji dochodzeniowych, jednak ich realizacja nie była możliwa, dopóki funkcjonowały tam sowieckie obozy dla jeńców niemieckich. Kolejne propozycje, przedstawiane pod koniec 1945 roku, pochodziły od byłych więźniów. Istotną okazała się inicjatywa Alfreda Fiderkiewicza, który 31 grudnia 1945 roku na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej postulował stworzenie na terenach byłego obozu miejsca upamiętniającego polskie i międzynarodowe męczeństwo. W rezultacie zostały podjęte prace nad projektem ustawy o utworzeniu muzeum, a Ministerstwo Kultury i Sztuki zdecydowało o powołaniu tzw. stałej ochrony obozu oświęcimskiego i rozpoczęciu organizacji muzeum. Powstał czteroosobowy zarząd, złożony z byłych więźniów Auschwitz, który w połowie kwietnia 1946 roku rozpoczął prace na terenach poobo-

zowych. Liczba pracowników budowanej instytucji, rekrutowanych głównie z byłych więźniów, systematycznie rosła i wiosną 1947 roku osiągnęła 55. Większość z nich stanowili wartownicy, którzy pilnowali obiektów i chronili tereny w Brzezince przed osobami profanującymi ludzkie prochy. Dzięki determinacji wartowników, współpracujących z lokalną milicją, udało się znacznie ograniczyć ów proceder.

W trakcie prac nad organizacją muzeum przygotowano kilka jego projektów. Według pierwszych planów miało obejmować tzw. strefę interesów obozowych, o powierzchni ok. 40 km kw., skąd Niemcy wysiedlili mieszkańców ośmiu miejscowości. Jednak te propozycje spotkały się z protestami miejscowej ludności, chcącej wrócić do swych gospodarstw. Poza tym, można przypuszczać, przejęcie tak rozległego obszaru przerosłoby możliwości organizacyjne i finansowe muzeum, a konieczność wypłaty odszkodowań mieszkańcom stanowiłaby znaczne obciążenie dla budżetu państwa. W rezultacie kolejne projekty nie były już tak maksymalistyczne i ostatecznie muzeum objęło tylko część dawnego obozu.

Zadaniem personelu, oprócz ochrony terenów poobozowych, było przygotowanie wystaw. Początkowo miały one znajdować się głównie w byłym Birkenau, w końcu jednak zostały umieszczone w blokach dawnego Auschwitz I. Przypuszczalnie na zmianę koncepcji miały wpływ z jednej strony postępujący demontaż większości baraków w Brzezince, a z drugiej to, że w murowanych budynkach w Oświęcimiu, utrzymanych we względnie dobrym stanie, były lepsze warunki do przygotowania stałej wystawy.

Projektowana ekspozycja miała prezentować los więźniów w obozie, a także zagładę Żydów i osób innych narodowości. Na jej potrzeby kierownictwo muzeum pozyskało znaczne ilości mienia zgrabionego pomordowanym Żydom (odzież, obuwie, szaty modlitewne, przedmioty kuchenne, walizki itp.), które znajdowało się w magazynach OUL. Z kolei część muzeum w Brzezince planowano przekształcić w swego rodzaju park-cmentarz, mający

obejmować większość byłego obozu, ruiny krematoriów i pozostałości dołów spalenskowych, a także mauzoleum wzniesione na ruinach krematorium III.

Innymi zadaniami personelu były przygotowanie trasy zwiedzania i opieka nad zwiedzającymi, których liczba wyniosła 100 tys. w 1946 roku i 170 tys. rok później. Do momentu otwarcia muzeum można było zobaczyć w obozie macierzystym bramę z napisem *Arbeit macht frei*, blok 11 i zrekonstruowaną tzw. ścianę śmierci oraz krematorium I, w Birkenau zaś baraki w byłym obozie kobiecym, ruiny krematoriów i miejsca, w których palono zwłoki. Później trasa zwiedzania została uzupełniona o kilka rekonstrukcji pieców i komina krematorium I oraz częściowo tzw. cel do stania w podziemiach bloku 11. Rekonstrukcji było jednak niewiele, gdyż – jak uważał dyrektor, Tadeusz Wąsowicz – tereny i obiekty poobozowe powinny pozostać w stanie możliwie najbliższym temu z czasu funkcjonowania obozu. Dzięki tak przyjętemu rozwiązaniu większość miejsc i budynków byłego KL Auschwitz do dziś zachowała autentyzm.

Ustawa o muzeum

Uroczystość oficjalnego otwarcia muzeum odbyła się 14 czerwca 1947 roku, czyli w siódmą rocznicę przywiezienia pierwszego transportu polskich więźniów politycznych, a ustawa formalnie powołująca je do istnienia została przyjęta przez sejm 2 lipca tegoż roku. W skład nowo utworzonej instytucji weszła większość terenów Auschwitz I oraz Birkenau, co znalazło odzwierciedlenie w oficjalnej nazwie – Państwowe Muzeum Oświęcim-Brzezinka, od 1999 roku – Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau. Uroczyste otwarcie muzeum oraz przyjęcie ustawy stanowiły zwieńczenie prac podjętych przez byłych więźniów kilkanaście miesięcy wcześniej. To oni wnieśli największy wkład w ostateczny kształt tej instytucji. ■

dr Jacek Lachendro – historyk, zastępca kierownika Centrum Badań Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, autor m.in. książki *Zburzyć i zaorać...? Idea założenia Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w świetle prasy polskiej 1945-1948* (2007)



► Plenarne posiedzenie Rady Naczelnej i Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej; Warszawa, 1949 rok



SOCJALIZM TO SPOKOJNA

PRZYSZŁOŚĆ NASZYCH

DZIECI

Fot. PAP/CAF

Kartka z dziejów stalinizmu w szkole

Maciej Dawczyk

Żywoć podręcznika Gryzeldy Missalowej i Janiny Schoenbrenner jako źródła wiedzy historycznej dla uczniów czwartej klasy szkoły podstawowej był krótki. Zapisał się on jednak jako wzorcowy przykład podporządkowania szkolnictwa i historiografii interesom władz komunistycznych.

Powojenna indoktrynacja komunistyczna szybciej dotknęła szkolnictwo niż profesjonalną historiografię i okazała się trwalsza. O ile w świecie nauki po 1956 roku naciski ideologiczne zdecydowanie osłabły, o tyle podręczniki używane w szkołach aż do końca lat osiemdziesiątych, choć bardziej wygładzone pod względem treści, w dalszym ciągu służyły propagandzie. Wrocławski VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich z 1948 roku był niezbyt udaną próbą narzucenia polskiej nauce materialistycznej historiozofii. Władze były jeszcze zajęte eliminacją niedobitków opozycji i zjednoczeniem ruchu robotniczego i dopiero się przymierzały do zawłaszczenia kultury i nauki.

Prawdziwa ofensywa zaczęła się wraz ze słynnym referatem marksistowskiej historyk Żanny Kormanowej, wygłoszonym na I Kongresie Nauki Polskiej w lipcu 1951 roku w Warszawie, oraz I Metodologiczną Konferencją Historyków Polskich w Otwocku na przełomie grudnia 1951 i stycznia 1952 roku. Potępiono wtedy oficjalnie „burżuazyjną historiografię”, rozpoczęto usuwanie niewygodnych profesorów, a także przebudowę strukturalną nauki (niebawem utworzono Polską Akademię Nauk, a w niej Instytut Historii). Odtąd nauka została zrównana z ideologią, a dezaproba ta dla marksistowskiej wizji dziejów była traktowana jako negacja władzy komunistycznej. Zmiany przyniósł dopiero rok 1956 wraz z XX Zjazdem Komunistycznej

Partii Związku Radzieckiego i początkiem destalinizacji oraz przemianami polskiego Października.

Ludowy patriotyzm, praca kolektywna

Mimo indoktrynacji nauczycieli podczas kursów pedagogicznych czy wprowadzania do szkół pogadarek dotyczących przyjaźni między narodami słowiańskimi, w latach 1945–1948 komunistom nie udało się wymusić większych zmian w programach nauczania. Ministrem oświaty w koalicyjnym Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej był ludowiec Czesław Wycech, a w szkołach w dalszym ciągu korzystano z podręczników przedwojennych. Polskie Stronnictwo Ludowe opowiadało się za apartyjnością szkoły, komuniści byli zajęci umacnianiem władzy na ważniejszych polach niż edukacja, a ewentualne stworzenie nowych podręczników wymagało czasu. Kiedy jednak po sfałszowanych wyborach do sejmu ze stycznia 1947 roku tekę ministra objął komunist Stanisław Skrzeszewski, wła- ►

dze zaczęły przygotowywać ofensywę ideologiczną w szkolnictwie. Kulminacją stanowił kongres zjednoczenia Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej w grudniu 1948 roku, podczas którego domagano się zgodnych z duchem marksizmu zmian w programach szkolnych.

Wytyczne te z impetem zaczęto realizować w roku szkolnym 1948/1949, w którym wprowadzono nowy, tymczasowy program nauczania. Podkreślano w nim, że szkoła ma obowiązek wyrobić w uczniu poczucie braterstwa z innymi „pokojowo usposobionymi narodami”, przywiązanie do idei „postępu i sprawiedliwości społecznej”, a także niechęć do „wstecznictwa i wyzysku”. Cały czas trwały prace nad doskonalszym programem, a jego autorzy musieli się kierować *Wytycznymi dla pracy nad programami nauczania* z listopada 1948 roku, przygotowanymi przez Ministerstwo Oświaty i utrzymanymi w duchu przyjaźni z ZSRR i niechęci do Zachodu. Na ich podstawie powstał *Program nauki w 11-letniej szkole ogólnokształcącej*, wprowadzony w roku szkolnym 1949/1950. Zgodnie z nimi nauczanie historii miało kształtować młodego człowieka „w duchu światopoglądu naukowego i zgodnego z materializmem historycznym i dialektycznym”. Inaczej mówiąc, uczeń miał uznać materialny charakter świata za pewnik, co wykluczało ideę Boga, a na gruncie historii za podstawę procesów nią kierujących – uznać stosunki gospodarcze. Młody człowiek powinien przesiąk-

nąć również „ludowym patriotyzmem” i nabyć umiejętności „pracy kolektywnej”.

Szczegółowy program nauczania historii obowiązujący od roku szkolnego 1949/1950 stworzyli Janina Schoenbrenner, Maria Turlejska, Weronika Gostyńska i Gustaw Markowski. Według wytycznych tego programu w czwartej klasie szkoły podstawowej miały się odbywać cztery lekcje historii tygodniowo. Nauczane treści zostały podzielone zgodnie z założeniami historiozofii marksistowskiej na następujące etapy: wspólnoty pierwotnej, tworzenia się stosunków feudalnych, feudalizmu, formowania się kapitalizmu, imperializmu i kształtowania się socjalizmu. Obowiązkowym podręcznikiem miała być *Historia Polski* Gryzeldy Missalowej i Janiny Schoenbrenner.

Gryzelda Missalowa i Janina Schoenbrenner

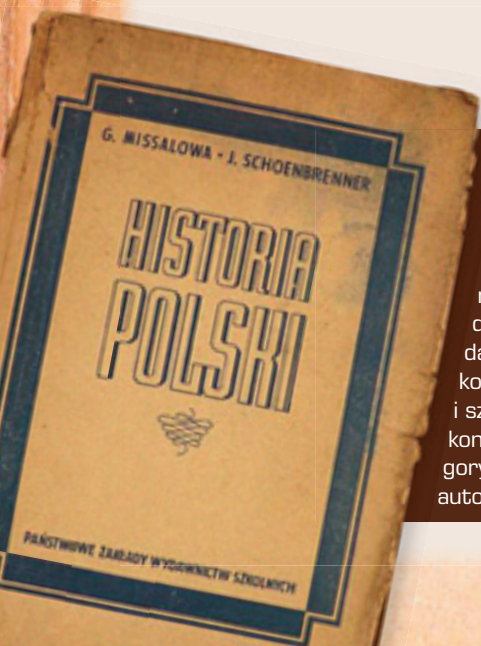
to postaci kontrowersyjne. Pierwsza w latach powojennych zrobiła dużą karierę naukową, zostając profesorem i dziekanem na Uniwersytecie Łódzkim i zostawiając po sobie pokaźny dorobek, mocno nasycony marksizmem. Druga obroniła doktorat, ale skupiła się głównie na działalności dydaktycznej. Obie z równą gorliwością wprowadzały komunistyczną ideologię do polskiej historiografii i szkolnictwa. Ta działalność poskutkowała – niewykonanym ostatecznie – wyrokiem śmierci, który dogorywające podziemie niepodległościowe wydało na autorki podręcznika *Historia Polski*.

Powstańcza walka klas, zdrajca Piłsudski

Już w sierpniu 1949 roku na mocy uchwały Sekretariatu KC PZPR powstał zespół odpowiedzialny za przygotowanie zestawu podręczników do szkoły jedenaścioletniej. Na jego czele stanęła Żanna Kormanowa, która zasłużenie stała się symbolem patologii historiografii podanej rygorom stalinizmu. Przedwojenna nauczycielka związana z Komunistyczną Partią Polski, po wojnie zrobiła błyskawiczną karierę, szybko stając się profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i główną orędowniczką ideologizacji nauki historycznej. Wydany w 1950 roku pod jej redakcją podręcznik Gryzeldy Missalowej i Janiny Schoenbrenner stanowił pierwszą w polskiej historiografii marksistowską syntezę całości historii ojczystej. Jego powstawaniu towarzyszyła atmosfera ogromnej presji ideologicznej, ponoć odręczne poprawki wprowadzał sam Jakub Berman, odpowiedzialny za bezpieczeństwo członka Biura Politycznego KC PZPR, a autorki wyrażały wątpliwości, czy są w stanie podjąć powierzonemu im zadaniu. Podręcznik jednak spełnił założenia programowe, choć z drugiej strony wytykano mu pewne niedociągnięcia, zarówno ideologiczne, jak i dydaktyczne. Chodziło m.in. o rzekomo zbyt łagodną krytykę Kościoła, niejasne przedstawienie następstwa pięciu marksistowskich formacji społeczno-ekonomicznych (od wspólnoty pierwotnej do socjalizmu) czy zbyt trudny język.

Historia Polski została podzielona przez autorki na 98 lekcji, których treść obejmowała okres od początków osadnictwa słowiańskiego na ziemiach polskich aż po 1948 rok. W obrębie poszczególnych tematów autorki nie wyróżniały sekcji ani myśli przewodnich. Do użytku szkolnego podręcznik wszedł w roku szkolnym 1951/1952 i pozostawał w nim przez trzy lata.

Książka prezentowała wizję historii, jakiej polska szkoła wcześniej nie znała. Bardzo duży nacisk położono na kwestię antagonizmów polsko-niemieckich, przedstawiając działania Polski jako reakcję obronną. Autorki nie pisały jednak



w r. 1947 r. sejm uchwałił konstytucję z r. 1947 r. sejm uchwałił 19 lutego 1947 r. sejm uchwałił że prawa będzie uchwałiał sejm, że rządy z Radą Państwa i rządem, że sędzię będą niezależni

pamięć.pl



o walce ludów, posługując się raczej określeniami typu „cesarz niemiecki” czy „niemieccy feudałowie”, i winą za ekspansjonistyczne dążenia niemieckie obarczały warstwę panującą. O samym narodzie niemieckim, mimo świeżej traumy wojennej, nie można było pisać nic złego ze względu na relacje PRL z NRD – pierwszym niemieckim państwem socjalistycznym.

Zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich przedstawiono jeszcze inaczej. Krytyka polskiej ekspansji na wschód i wybielanie poczynań wschodniego sąsiada były bowiem obowiązkowym elementem rodzimej odmiany historiografii marksistowskiej. Negatywnie oceniono aktywną politykę wschodnią prowadzoną przez kolejnych władców, począwszy od Kazimierza Wielkiego. Według auterek podręcznika, unia lubelska „uniemożliwiła przekształcenie wielonarodowej Rzeczypospolitej szlacheckiej w silne państwo narodowe”. Zabór lewobrzeżnej Ukrainy przez Moskwę w konsekwencji powstania Chmielnickiego usprawiedliwiano „religią, zbliżoną mową, pochodzeniem”, które łączyły Rosjan z Ukraińcami. Eksponowano rzekome braterstwo narodów polskiego i rosyjskiego, w kontekście zabiorów szafując hasłami typu „wrogiem Polski był carat, ale nigdy – lud rosyjski”.

Zgodnie z dogmatem nakazującym podkreślanie roli epok „postępowych”, sporo miejsca przeznaczono na omówienie znaczenia renesansu dla kultury i nauki polskiej. W ten sam sposób ukazano oświecenie. Szeroko opisano reformy Sejmu Czteroletniego, doceniając postępową rolę Konstytucji 3 Maja, zarzucając jej przy tym jednak, że nie zniosła podziałów stanowych i utrwaliła feudalizm.

Polska tradycja powstańcza została potraktowana w kategorii walki klas. Wyeksponowano rzekomo ludowy charakter Powstania Listopadowego, stwierdzając przy tym, że wyższe warstwy społeczeństwa były gotowe je stłumić dzięki układom z carem. Dużo miejsca poświęcono znaczącej jakoby roli chłopów, która w rzeczywistości była znikoma. Klęskę Powstania Styczniowego przypisywano temu, że nie zamieniło się w wojnę ludową, a to dlatego,



że rząd powstańczy został opanowany przez stronnictwo białych.

Dzieje Polski w XIX wieku zostały ukazane przez pryzmat, często niezbyt znaczących, ruchów rewolucyjnych i socjalistycznych. W przypadku ruchów przedmarksistowskich w dość kuriozalny sposób potraktowano polistopadowe ugrupowanie socjalistyczne – Gromady Ludu Polskiego – stwierdzając, że „Lud Polski” „w mglistych marzeniach przeczuwał Polskę socjalistyczną, którą my budujemy”. Emisariuszowi Edwardowi Dembowskiemu, ze względu na radykalne poglądy i szlacheckie pochodzenie zwanemu powszechnie „czerwonym kasztelanem”, poświęcono panegiryczny biogram. Bardzo dużo miejsca przyznano udziałowi Polaków w Komunie Paryskiej czy Ludwikowi Waryńskiemu (również panegiryczny biogram) i jego partii Proletariat. Pozytywnie oceniono rolę Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, choć ta partia była nastawiona antyniepodległościowo, ale za to skłonna do współpracy z Rosjanami. Negatywnie przedstawiono z kolei kierowaną przez Józefa Piłsudskiego Polską Partię Socjalistyczną, stawiającą przede wszystkim na interes narodowy.

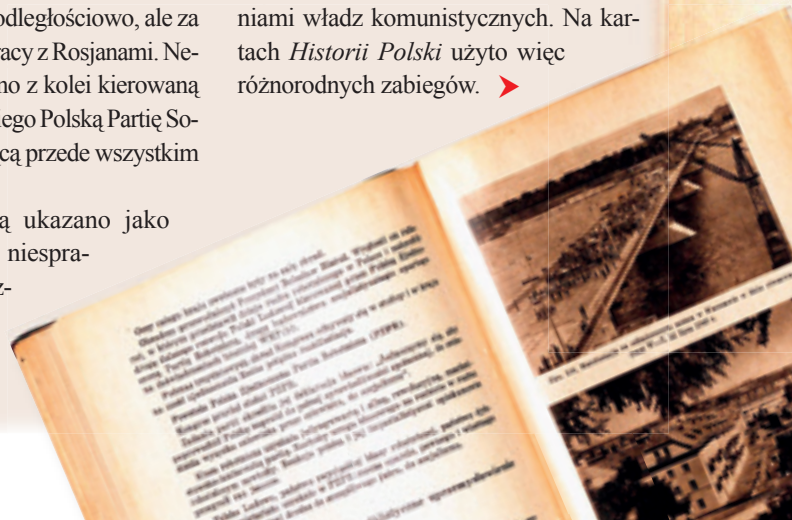
II Rzeczpospolitą ukazano jako państwo wyzysku i niesprawiedliwości społecznej. Wojna polsko-bolszewicka została określona

mianem „agresji imperialistycznej Polski na Rosję”. Piłsudskiego nazwano „czołowym przywódcą prawicy” i „zdrajcą klasy robotniczej” – był on postacią najsurowiej ocenioną spośród wszystkich przedstawionych w podręczniku.

Agresję ZSRR z 17 września 1939 roku uznano za usprawiedliwione wkroczenie na ziemię i tak już dla Polski stracone, by zabezpieczyć je przed wojskami Hitlera, i wyzwole nie miejscowej ludności spod ucisku narodowościowego. Lekceważąco odnoszono się do rządu na wychodźstwie, za to nadmiernie eksponowano działalność – będącej w rzeczywistości sowiecką marionetką – Polskiej Partii Robotniczej. Powstanie Warszawskie potraktowano jako „reakcyjną” próbę niedopuszczenia do powstania Polski Ludowej i zdradę narodową.

Fragmenty dotyczące krótkiego okresu po 1945 roku to najbardziej zideologizowana część podręcznika. Właściwie zatracca on tutaj cechy narracji historycznej, stając się jedynie panegirykiem na cześć władzy „ludowej”. Autorki, by unaocznic czytelnikowi rzekome korzyści płynące z rządów komunistów, cytują obszernie relacje przodowników pracy. Podkreślają też znaczenie przyłączenia do Polski ziem zachodnich i rozwoju przemysłu. Z impetem potępiają „zbrodniczą” działalność podziemia antykomunistycznego.

Przedstawienie historii ojczystej w zgodzie z zasadami historiozofii marksistowskiej nie było jednak najważniejszym zadaniem podręcznika. Dzieło to miało zaszcześcić w młodych ludziach poglądy i schematy myślowe zgodne z oczekiwaniami władz komunistycznych. Na kartach *Historii Polski* użyto więc różnorodnych zabiegów. ➤



Chyba najbardziej rzuca się w oczy dobór ilustracji i ich duża liczba: 248. Prezentują wyłącznie osiągnięcia gospodarcze i kulturalne „klas wytwarzających”, przykłady „ucisku ludu pracującego” przez różnego rodzaju feudałów i kapitalistów oraz oblicza wszelakich przywódców i rewolucjonistów odpowiadających stalinowskiej linii ideologicznej.

Próżno szukać wizerunków polskich królów, można za to znaleźć ilustracje prezentujące takie postaci, jak choćby Ludwik Waryński, Róża Luksemburg, Bolesław Bierut, Konstanty Rokossowski czy Józef Stalin. Zabieg ten miał jasny cel – uczniowie mieli zapamiętać, kto w historii i dzisiejszym świecie odgrywa decydującą rolę i dla kogo należy mieć szacunek. Znamienne, że w podręczniku nie umieszczono fotografii postaci przedstawianych negatywnie: Józefa Piłsudskiego, innych polityków przedwojennych czy polskich magnatów. Ponurym świadectwem epoki jest to, że jedyną postacią, która doczekała się w owym podręczniku, dotyczącym bądź co bądź historii Polski, dwóch podobizn, był... Józef Stalin.

Fabryki i lasy ludu pracującego

Język, którym napisano podręcznik, był bardzo sugestywny i subiektywny. Autorki szafowały nacechowanymi negatywnie przymiotnikami „imperialistyczny” i „faszystowski”, tym samym nastawiając czytelnika nieprzychylnie do opisywanych nim faktów, osób i zdarzeń. Na przykład II RP została nazwana „imperialistycznym państwem polskim”, a działania KPP z lat trzydziestych określono jako „walkę z faszystowskimi rządami sanacyjnymi”. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że zarówno nauczyciele, jak i uczniowie uważali ten nasycony skomplikowanymi określeniami styl za zbyt trudny dla czwartoklasistów, o czym świadczą recenzje pisane przez pedagogów, mających kłopoty z wykorzystaniem podręcznika na lekcjach.

Kolejnym ważnym zabiegiem było sugestywne tytułowanie przez autorki kolejnych tematów. Uczeń po zaznajomieniu się z lekcją 34. – *Niesprawiedliwa wojna z Moskwą* (chodziło o wojnę z lat 1609–1612, podczas której wojska Rze-

czypospolitej przejściowo zajęły Kreml) – tak naprawdę nie wiedział, dlaczego ta wojna była niesprawiedliwa, ponieważ nie zostało to wyjaśnione. W świadomości utrwalał się jednak zawarty w tytule przekaz – wszelkie działania niechętnie wschodniemu sąsiadowi Polski są niesłuszne, a polska obecność na Kresach jest nieuzasadniona. Również inne lekcje dotyczące relacji polsko-rosyjskich lub polsko-niemieckich były często tytułowane w podobny sposób.

Tematy dotyczące Polski po 1945 roku są upstrzone przymiotnikami i określeniami mającymi w komunistycznej nowomowie bardzo pozytywny wydźwięk (np. lekcja 97.: *Oświata i kultura w Polsce Ludowej – dobrem mas pracujących*). Narzucając gotowe interpretacje, starano się uniemożliwić uczniom samodzielne wyciąganie wniosków. Praktyki tego typu dobrze obrazuje też temat lekcji 93.: *Rewolucyjne zmiany w gospodarce – reforma rolna, unarodowienie przemysłu* (przymiotnik „rewolucyjny” został tutaj użyty w znaczeniu „postępowy, pozytywny”) czy lekcji 98.: *Polityka zagraniczna Polski Ludowej w walce o pokój* (państwo „demokracji ludowej” wedle propagandy nie mogło przecież prowadzić polityki agresywnej i zaborczej).

W *Historii Polski* występują też charakterystyczne, wyrwane z kontekstu i często oddzielone większą interlinią fragmenty, zawierające sformułowania o „przewodniej roli partii” i rzekomych dobrodziejstwach obowiązującego ustroju. Najbardziej znamienny jest fragment wstępu, ogólnie poświęconego raczej kwestiom metodologicznym: „Wiemy, że lud polski jest nareszcie prawdziwym gospodarzem kraju. Do niego należą kopalnie i huty, fabryki i banki, porty na Bałtyku i koleje. Do niego należą pola i łąki, lasy, rzeki i góry”.

Zabiegiem bardzo zręcznym z punktu widzenia propagandy było również zamieszczenie w podręczniku obszernych fragmentów wierszy i pieśni rewolucyjnych i socjalistycznych, np. *Gdy naród do boju* albo *Mazura kajaniarskiego*. Być może autorki liczyły na to, że nauczyciele będą wymagać od uczniów znajomości sztafardowych utworów.

Niedoskonały, ale skuteczny

Podręcznik doceniono za przedstawione w nim treści propagandowe i wychowawcze, choć niestety (a może na szczęście) jego nieprzystępna formuła utrudniała chłonięcie pożądaných przez władze poglądów. Mimo bogactwa zastosowanych środków indoktrynacyjnych, był uważany za niedostosowany do możliwości intelektualnych uczniów. Narzekano na przeładowanie szczegółami, jednostajną czcionkę, niemożność wykorzystania go w samodzielnej pracy uczniowskiej i, co może dziwić, małą liczbę ilustracji.

Głównie ze względu na niedoskonałości dydaktyczne podręcznik Missalowej i Schoenbrenner został dość szybko wycofany z użytku szkolnego. Mimo wspomnianych mankamentów *Historia Polski* była jednak skutecznym narzędziem indoktrynacji. Młodzi ludzie, kształtowani przez to i podobne dzieła, w późniejszych latach, nawet jeśli umieli się zdobyć na kontestację zliberalizowanego przecież systemu, długo nie potrafili wyjść poza postulaty naprawy wypaczeń socjalizmu. Brak otwartości na poszukiwanie rzeczywistych alternatyw dla komunizmu niewątpliwie był spowodowany po części właśnie intensywną indoktrynacją we wczesnych latach szkoły podstawowej.

Historia Polski szybko skończyła swą niechlubną karierę podstawowego podręcznika. Niestety, wiele zawartych w niej interpretacji i dogmatów pokutuje w szkolnym nauczaniu historii do dziś. Dotyczy to głównie wcześniejszych epok, w których ideologiczne nadużycia były trudniejsze do wychwycenia. W konsekwencji wciąż raczej negatywnie traktuje się chociażby okres tzw. srebrnego wieku, bardzo ważny i dość pomyślny w historii Polski. Z drugiej strony w dalszym ciągu stanowczo zbyt pozytywnie ocenia się czasy stanisławowskie. Dzisiaj zachwyt nad rozkwitem kultury (stanowczo zresztą przecenianym) wprawia w konsternację w zestawieniu z rozkładem wewnętrznym Rzeczypospolitej szlacheckiej. ❀

„Górski, Górski, miły bracie, daj swobodę nam w senacie...”

Andrzej Czyżewski

21 stycznia 1981 roku studenci Uniwersytetu Łódzkiego rozpoczęli strajk okupacyjny. Na kolejne bez mała cztery tygodnie Łódź stała się centrum protestu, którego szczęśliwy finał przemodelował panoramę życia akademickiego w kraju.

Nikt nie spodziewał się hiszpańskiej inkwizycji” – powtarzają jak mantrę bohaterowie jednego z najbardziej znanych skeczów Monty Pythona. W pewnym stopniu podobnie było z lutowo-stycziowym strajkiem studenckim w Łodzi. W realiach społeczno-politycznych przełomu 1980 i 1981 roku wiele znaków na niebie i ziemi wskazywało, że wybuch studenckiego niezadowolenia musi nastąpić. Pytanie brzmiało, kiedy i gdzie nastąpi to, co nieuchronne.

Klimat epoki

Od dwóch miesięcy w pełni legalnie działała już Solidarność, protest w sprawie rejestracji swojego związku zainaugurowali rolnicy, za chwilę nieposłuszeństwo władzy miało wypowiedzieć niemal całe województwo bielskie. Rządzący co rusz musieli gasić wybuchy niezadowolenia ogarniającego kolejne grupy społeczne.

Na uczelniach w całym kraju, począwszy od inauguracji roku akademickiego, panowała napięta atmosfera. Cyklicznie wybuchały protesty, m.in. w Poznaniu, Warsza-

► Rozmowy Komisji Międzyresortowej pod przewodnictwem Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, prof. Janusza Górskiego, i Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej; Łódź, 16 lutego 1981 roku

wie czy Łodzi. W połowie października 1980 roku reprezentantom ośrodków akademickich z całej Polski udało się powołać Ogólnopolski Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów – organizacji, która miała się stać przeciwwagą dla ►



Strajk
studentów Łodzi
żądamy
samorządności uczelni!

► Plakat Wojciecha Hempla z 1981 roku

proreżimowego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Niezależne Zrzeszenie Studentów działało, rozwijało sieć kontaktów i budowało swoje zaplecze, ale cały czas nielegalnie. Za każdym razem, gdy atmosfera na uczelniach gęstniała, władze ówczesnego Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki umiejętnie rozładowywały napięcie, studziły „rozpalone głowy” i, stwarzając pozory ustępstw, zapewniały sobie spokój na kolejne tygodnie. Rządzący mogli mieć poczucie, że przyjęta przez nich strategia się sprawdza. Do chwili wybuchu strajku w Łodzi podstawowy postulat strony studenckiej, czyli rejestracja NZS, nie został zrealizowany i niewiele wskazywało na to, aby sytuacja miała się zmienić w niedalekiej przyszłości.

Mimo wszystko rozwój wypadków na łódzkich uczelniach dla wielu – nawet wytrawnych – obserwatorów ówczesnych wydarzeń okazał się dużym zaskoczeniem.

Rezerwa

Łódź była bardzo młodym ośrodkiem akademickim, z uczelniami powstałymi dopiero po zakończeniu II wojny światowej – dzięki naukowcom, którzy (w większości) przybyli do miasta na skutek wojennej zawieruchy. Miasto powszechnie traktowano jako symbol „nowego”, które nastąpiło w Polsce po 1945 roku. Łódź – jak głosiła niezmiennie propaganda komunistyczna – była „miastem czerwonym”, największym skupiskiem klasy pracującej o bogatych tradycjach „postępowego ruchu robotnicze-

go”, bastionem nowej władzy i jej wiernym sojusznikiem. To, czy tak było w rzeczywistości, nie miało wówczas najmniejszego znaczenia. Władze ukrywały przed społeczeństwem chociażby wstydliwą dla siebie prawdę o licznych strajkach, które inicjowali łódzcy robotnicy i robotnice, coraz bardziej zmęczeni fatalnymi warunkami pracy i życia w mocno niedoinwestowanym mieście. Z oczywistych powodów nie nagłaśniano również tego, że w latach siedemdziesiątych w Łodzi jawnie działały środowiska opozycyjne, zarówno te związane z Komitetem Obrony Robotników jak i z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wydaje się, że u progu przemian wywołanych narodzinami Solidarności Łódź pod względem „nieprawomyślności” nie odbiegała od średniej krajowej. Z pewnością jednak nie była uważana za bastion opozycji. Ta właśnie okoliczność z punktu widzenia ludzi współtworzących Ogólnopolski Komitet Założycielski NZS czy zaliczanych do grona wpływowych doradców Krajowej Komisji Porozumiewawczej Solidarności mogła mieć podstawowe znaczenie dla sukcesu całej akcji. Bez wsparcia tych środowisk ewentualny strajk studencki nie miał szans powodzenia.

Jakby tego było mało, łódzcy studenci od początku protestu przyjęli rozwiązania, które mogły wzmacniać poczucie rezerwy u potencjalnie sprzyjających im obserwatorów, nieznanających lokalnych realiów. W Łodzi bowiem strajk organizowali zarówno członkowie NZS, jak i SZSP, czego

jawnym symbolem był Studencki Komitet Jedności, w ramach którego m.in. przygotowywano listę postulatów. Oczywiście było to, że to studenci związani z NZS odgrywali w całym przedsięwzięciu pierwszoplanową rolę. To właśnie oni zainicjowali protest, do którego z czasem przyłączyła się grupa działaczy SZSP. Niemniej część przedstawicieli reżimowego „zsyphu” mocno się zaangażowała w organizację strajku, a następnie przebieg negocjacji. Osoby z zewnątrz mogły mieć zatem poczucie, że akcja protestacyjna w Łodzi to sprawa podejrzana. Część krytyków wypracowanej w Łodzi formuły działania miała wręcz wrażenie, że strajk był jawną prowokacją ze strony władz, zmierzającą do skompromitowania niezależnego ruchu studenckiego w Polsce. Historia łódzkiego protestu to również historia przełamywania wzajemnych podejrzeń, występujących po tej samej stronie barykady.

Pierwsze koty za płoty

Wybuch strajku okupacyjnego w murach Uniwersytetu Łódzkiego poprzedziły dwa tygodnie gorączkowych negocjacji prowadzonych z władzami uczelni. W początkowej fazie konfliktu pierwszoplanową rolę odgrywali studenci Wydziału Prawa, ale podjęte przez nich działania na rzecz przemian na uczelni skończyły się niepowodzeniem. Dziekanom – wspartym autorytetem rektora, prof. Romualda Skowrońskiego – udało się bowiem doprowadzić do zakończenia protestu przyszłych prawników kosztem minimalnych zobowiązań na rzecz strony studenckiej. Paradoksalnie jednak pierwsze przegrane starcie stało się załączkiem późniejszego sukcesu. Chociażby dlatego, że studenci naocześnie się przekonali, jak ważne jest wsparcie udzielone przez niezależnych od władz ekspertów, jak pożądanymi cechami negocjatorów są umiejętność szybkiego reagowania i nieustępliwość w formułowaniu postulatów i, *last but not least*, jak istotna jest solidarność protestujących z poszczególnymi wydziałami i kierunkami. Innymi słowy, zbuntowani studenci zrozumieli, że do negocjacji z władzami trzeba się solidnie przygotować, tak aby już na samym wstępie nie być na przegranej pozycji.

Zakończenie protestu na Wydziale Prawa nie oznaczało, że sytuacja na uniwersytecie została całkowicie opanowana. Centrum fermentu przeniosło się na Wydział Filologiczny, a do wykuwania postulatów i strategii negocjacyjnej przyłączyli się studenci różnych kierunków. Protest nielicznych stawał się coraz bardziej sprawą ogółu.

Przeciąganie liny

W nowej sytuacji władzom uczelni zdecydowanie trudniej przychodziła realizacja strategii obliczonej na perswazję, odwołanie jasnych deklaracji i poważniejszych zobowiązań. Szybko się okazało, że sprawy nie sposób rozwiązać własnymi siłami, a dotychczasowe środki zaradcze są dalece niewystarczające. Kolejna runda negocjacji – prowadzona w scenerii budzącego respekt gmachu Wydziału Filologicznego – szybko się zakończyła impasem. Władze rektorskie deklarowały chęć kompromisu, chwilami wręcz wspierały argumentację strony studenckiej, ale z drugiej strony coraz częściej sugerowały, że adresatem większości postulatów jest szef ministerstwa nauki, czyli prof. Janusz Górski. Jemu z kolei specjalnie się nie spieszyło do osobistego zaangażowania w problem, który przez długi czas uważał za sprawę lokalną i chyba

w gruncie rzeczy mało poważną. Wydaje się, że w tej fazie konfliktu minister – który jeszcze nie tak dawno sam piastował funkcję rektora uniwersytetu w Łodzi – przede wszystkim wywierał presję na swoich następców w łódzkim rektoracie, aby sami uporali się z problemem. Wiele wskazuje na to, że szef polskiego szkolnictwa wyższego przez długi czas uważał, iż cały problem uda mu się rozwiązać zza biurka w Warszawie. W tym przypadku jednak przyjęta taktyka srodze go zawiodła.

Minister nie chce, ale musi

Strajkujący w Łodzi zrozumieli, że jeżeli chcą autentycznych zmian, muszą doprowadzić do negocjacji na szczeblu rządowym. 11 stycznia oficjalnie zawiesili jałowe rozmowy z władzami uczelnianymi, następnie ogłosili wprowadzenie pogotowia strajkowego. Rozpoczął się kolejny – pełen nerwów i napięcia – okres przygotowań i wstępnych rozmów sondujących. Obie strony zwierzały szyki. Studenci uniwersytetu intensyfikowali prace nad kodyfikacją postulatów oraz rozwijali kontakty ze swoimi koleżankami i kolegami na innych uczelniach. Minister natomiast konsekwentnie starał się sprawę załatwić na drodze bilateralnych rozmów

gabinetowych, bez udziału publiczności. Był wytrawnym graczem, świetnie obeznanym z realiami życia akademickiego w Polsce, i wiedział doskonale, że taka właśnie otoczka rozmów daje mu dużą przewagę. Ostatecznie prof. Górski musiał – w sytuacji przyłączania się kolejnych uczelni do strajku – przyjąć formułę negocjacji zaproponowaną przez studentów, ale na pierwszy ogień postanowił wysłać do Łodzi swojego zastępcę. 21 stycznia w gmachu Wydziału Filologicznego rozpoczęła się wstępna runda rozmów studentów z komisją wystawioną przez ministerstwo. Misja wiceministra Stanisława Czajki zakończyła się jeszcze tego samego dnia. Studenci szybko wyculili, że po pierwsze, Czajka przyjechał do Łodzi dyktować, a nie negocjować warunki, a po drugie, w sytuacjach spornych nie jest władny podejmować żadnych konkretnych decyzji. W ówczesnym klimacie same deklaracje już nie wystarczały. Studenci żądali konkretów, a te mógł zagwarantować jedynie szef resortu. W tej sytuacji proklamowano strajk okupacyjny i wprost zażądano przyjazdu do Łodzi min. Górskiego. Były rektor, chcąc nie chcąc, musiał na to żądanie przystać. W przeciwnym razie straciłby zupełnie wpływ na dalszy rozwój wypadków, a to groziło już przykrymi konsekwencjami. Tym bardziej że do studentów uniwersytetu zaczęli się przyłączać stopniowo uczący się w pozostałych

► Strajk okupacyjny studentów na Uniwersytecie Łódzkim



uczelniami miasta. Kiedy minister zawiadł do Łodzi (29 stycznia), miał już do czynienia z międzyuczelnianym komitetem strajkowym, grupującym przedstawicieli m.in. Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej. Wkrótce strajkowała cała akademicka Łódź.

O co walczyliśmy?

Rozpiętość żądań studenckich była bardzo duża, ale w ówczesnych realiach zwyczajnie nie mogło być inaczej. Protest był bowiem wypadkową kilku wzajemnie napędzających się impulsów.

W pierwszej kolejności studenci wyrażali swoją niezgodę na rzeczywistość zastaną w murach uczelni. Nie bez przyczyny listę ich postulatów otwierały żądania dotyczące realizacji idei wolności życia akademickiego. Hasła wolnościowe symbolizowało m.in. żądanie autonomii programowej dla każdej uczelni, wsparte postulatem demokratyzacji procesu decyzyjnego, która zakładała współuczestnictwo w pracach ciał kolegialnych szkół wyższych na równych prawach profesorów, młodej kadry oraz studentów. Podmiotowość tych ostatnich miała zostać potwierdzona przez zgodę władz na rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Protestujący oponowali przeciwko nachełnej indoktrynacji politycznej, której doświadczały m.in. na zajęciach z podstaw nauk politycznych czy podczas przeszkolenia wojskowego. Ich sprzeciw budziły również jawne ograniczenia w dostępie do zachodniej literatury naukowej oraz tej wydawanej na emigracji. Do rangi symbolu urastała sprawa obowiązkowej nauki języka rosyjskiego, którą powszechnie odbierano jako przejaw opresji. Równolegle postulowano zwolnienie prac naukowych z wymogu przejścia przez sito cenzury i rozwijanie kontaktów naukowych z Zachodem.

Duży pakiet żądań obejmował sprawy socjalne. Studenci chcieli bowiem wyrażnego zwiększenia nakładów na szkolnictwo. Pod tym pojęciem rozumieli zarówno doinwestowanie infrastruktury uczelni – co w Łodzi, gdzie wiele zajęć odbywało się w starych i nieremontowanych kamienicach, przemawiało do wyobraźni pro-

testujących – jak i zwiększenie nakładów na stypendia naukowe i socjalne. Te ostatnie, w sytuacji postępującej recesji gospodarczej, miały dla młodych ludzi, którzy w większości musieli sami się utrzymać, niebagatelne znaczenie.

Wśród postulatów pojawiały się także hasła wprost nawiązujące do sytuacji politycznej w kraju. Studenci apelowali zatem o zwolnienie więźniów politycznych i zaprzestanie represji wobec działaczy opozycji. Żądali przy tym gwarancji niezawisłości dla władzy sądowniczej oraz pociągnięcia do odpowiedzialności winnych masakry robotników na Wybrzeżu w 1970 roku. Nie zapomniano także o wydarzeniach Marca '68. Studenci zażądali przywrócenia do pracy ludzi, którzy na skutek nagonki antysemitkiej i antyinteligentkiej stracili wówczas posady na uniwersytecie. Niezwykle nośny okazał się także postulat ograniczenia swobody działania funkcjonariuszy MO i SB na uczelniach.

Dysproporcja sił

Kiedy pod koniec stycznia min. Górski pojawił się w Łodzi, nikt nie umiał przewidzieć, czym zakończą się negocjacje. Strona rządowa mogła się spodziewać, że czeka ją nietława przeprawa. Z kolei studenci byli w pełni świadomi potencjału oddziaływania aparatu władzy, a zarazem presji, pod jaką się znaleźli. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że sytuacja, w której nie ma zająć, nie może trwać wiecznie.

W oficjalnych mediach dominował przekaz sprzyjający stronie rządowej, dlatego studenci uruchomili alternatywny obieg informacji. Na poszczególnych uczelniach i wydziałach jak grzyby po deszczu powstawały kolejne tytuły prasowe, w których na bieżąco relacjonowano postępy w rozmowach. Biuro prasowe strajku na bieżąco wydawało *Komunikaty*, podsumowujące przebieg negocjacji. Zadbano także o odpowiednie nagłośnienie obrad, a ich przebieg transmitowano do pomieszczeń, w których się gromadzili studenci. Relacje z obrad rejestrowano na kasetach, a następnie odsłuchiwało je i komentowano do późnej nocy. Szacuje się, że w strajku wzięła udział połowa z 20 tys. łódzkich zaków, do których w ostatniej fazie konfliktu przyłączyli się

studujący w większości ośrodków akademickich w kraju. Strajkujący wytworzyli własną symbolikę i specyficzny kod komunikacyjny, przy których pomocy z jednej strony obśmiewali strategię i argumentację władz, a z drugiej budowali poczucie wspólnoty. W Łodzi powstała odmiana kultury strajkowej, w której niebagatelną rolę odgrywały humor i ironia. Chyba wszyscy uczestnicy strajku znali tekst *Ballady strajkowej* autorstwa Olka Grotowskiego, jednego ze strajkowych bardów, z refrenem „Górski, Górski, miły bracie, daj swobodę nam w senacie”.

Sinusoida

Negocjacje z Komisją Międzyresortową, której szefował min. Górski, trwały prawie trzy tygodnie. Obfitowały w wiele trudnych momentów i punktów zwrotnych. Taktyka władz pozostawała niezmienna: dążymy do zamknięcia sprawy, ale przy jak najmniejszych stratach własnych. Studenci, wspierani przez ekspertów, musieli chwilami weryfikować swoje maksymalistyczne podejście do kwestii spornych, ale cały czas nie tracili z horyzontu spraw najważniejszych. Przy tym – co równie ważne – nie dali się drugiej stronie zastraszyć ani wyprowadzić w pole. W tym sensie dla strajkujących negocjacje były swoistym przewrotem kopernikańskim. Wszyscy na własne oczy lub uszy, z dnia na dzień przekonywali się, że minister nie w każdej sytuacji jest wszechwładny. Druga strona straciła monopol na rozstrzygający głos w sporze. Członkowie Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej niejednokrotnie udowodniali refleks i odwagę, np. kiedy minister niedwuznacznie sugerował, że on już zdobył wyższe wykształcenie, ale martwi się, czy przypadkiem przeciągający się strajk nie zaszkodzi w tej kwestii jego adwersarzom. Ci z kolei bez żadnych kompleksów i oporów zbijali argumentację strony rządowej, często z wielką swadą i poczuciem humoru, co wywoływało aplauz słuchaczy. Reprezentanci strony studenckiej, w tym Wojciech Walczak, Marek Perliński, Piotr Kociołek, Marcin Sobieszczański i Maciej Maciejewski, budowali obraz bohatera zbiorowego, jakim bez wątpienia była MKP.

Wsparcia akcji protestacyjnej udzieliły lokalne i ogólnopolskie ogniwa Solidarności. To był naturalny sojusz, choć na początku nie tak oczywisty. Działacze związkowi mieli w owym czasie na głowie inne, z ich punktu widzenia poważniejsze, problemy, ale szybko uznali, że studentom należy się silne wsparcie. Oznaczało ono pomoc m.in. w budowaniu zaplecza poligraficznego strajku czy systemu aprowizacji. Przede wszystkim jednak wyrażało się w silnym wsparciu politycznym całej akcji protestacyjnej, co w oczywisty sposób wzmacniało kartę przetargową strony studenckiej. Solidarność stawała się gwarantem wypracowywanego porozumienia, kilkakrotnie pomagała wychodzić z impasu, który pojawiał się w rozmowach, a nade wszystko w odpowiednich momentach wzmacniała presję na Komisję Międzyresortową, szczególnie w kwestii, która dla obydwu stron była kluczowa – rejestracji NZS. W tym przypadku – jako że sprawa dotyczyła całej Polski – rozmowy toczyły się wielotorowo, przy udziale szefostwa OKZ NZS.

Szczęśliwy finał

Minister Górski do ostatniej chwili starał się nie dopuścić do definitywnego załatwienia tej sprawy. Wiedział, że ewentualna zgoda na powstanie pierwszej w pełni niezależnej od władz organizacji studenckiej na trwałe zmieni układ sił w środowisku uczelnianym. Oczywiście – w sposób niekorzystny dla obozu rządzącego. Miał również świadomość tego, że o ile w przypadku rejestracji Solidarności trudno było jednoznacznie wskazać winnego takiego stanu rzeczy – bo decyzję w tej sprawie, formalnie przynajmniej, podejmował sąd – o tyle w przypadku NZS całe odium spadało wyłącznie na ministra. Rejestracja organizacji studenckiej następowała bowiem na drodze rozporządzenia, pod którym musiał się znaleźć podpis szefa resortu.

Ostatecznie 17 lutego prof. Górski, nie mając wyjścia, odpuścił. Trudno mu było obstawać przy swoim, skoro na pilne zakończenie sporu nalegała także nowa ekipa rządowa – w osobach przede wszystkim premiera Wojciecha Jaruzelskiego oraz odpowiedzialnego m.in. za sprawy nauki wicepremiera Mieczysława Rakowskiego. Górski wymusił jedynie na przedstawicie-

lach OKZ NZS wprowadzenie do statutu nowej organizacji odwołania do konstytucji PRL. Następnego dnia w gmachu Wydziału Filologicznego doszło do uroczystego parafowania porozumienia. Studenci triumfowali, a Górskiemu nie pozostało nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

Podpisane w Łodzi porozumienie było oczywiście kompromisem. Studenci zdawali sobie sprawę z tego, że wielu postulatów nie udało im się zrealizować, ale w tamtym czasie nie miało to większego znaczenia. Najważniejsza była rejestracja Niezależnego Zrzeszenia Studentów, która sankcjonowała nowy układ sił na uczelniach. Od tej chwili nie można było udawać, że studenci nie włączyli się w nurt rewolucji Solidarności. Powstała nowa siła, z którą trzeba było się liczyć. 🇺🇸

Korzystałem m.in. z następujących prac: Roman Kowalczyk, *Studenci '81*, Warszawa 2000; *Strajk studentów łódzkich '81 w świetle analiz socjologicznych*, red. J. Lutyński, Łódź 2010; *NSZZ Solidarność 1980–1989*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra; *Łódzki strajk studencki styczeń–luty 1981. Spojrzenie po latach*, red. K. Lesiakowski, Łódź – Warszawa 2014.

Andrzej Czyżewski – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi





Fot. PAP / Witold Górka

Strajkowa bibuła

Jan Olszek

W sierpniu 1980 roku władze PRL wprowadziły blokadę informacyjną. Dużą rolę w jej przełamaniu odegrał wydawany w stoczni gdańskiej „Strajkowy Biuletyn Informacyjny »Solidarność«”. Jego tytuł przyczynił się do błyskawicznej kariery słowa „Solidarność”.

Oficjalne media milczały na temat strajków na Wybrzeżu, które wybuchły w połowie sierpnia 1980 roku, z centralnym ośrodkiem w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Rządzący starali się też, żeby uczestnicy tych protestów wiedzieli jak najmniej o reakcjach na nie w innych częściach kraju. W tej sytuacji dla protestują-

cych podstawowe znaczenie miało stworzenie niezależnego systemu informacji, co mogło pozwolić mieszkańcom innych miast na dołączenie do protestów.

Dużą rolę odgrywało warszawskie mieszkaniowe opozycjonisty Jacka Kuronia, w którym również po jego aresztowaniu – co spotkało w sierpniu 1980 roku dużą część członków i współpracowników Ko-

► Strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina; mężczyzna rozdaje „Strajkowy Biuletyn Informacyjny »Solidarność«”; sierpień 1980 roku

mitetu Samoobrony Społecznej „KOR” – zbierano informacje oraz telefonicznie przekazywano je na Zachód. Dzięki temu bieżące wiadomości mogły docierać do Polaków przez audycje Radia Wolna Europa.

Przepływ informacji ułatwiała także bibuła, szeroko kolportowana w strajkujących zakładach pracy. W Trójmieście było jej bardzo dużo, bo ulotki i pisma drukowano w wysokich nakładach. Docierała nie tylko do strajkujących w zakładach, lecz także do gromadzących się wokół nich ludzi. Już 15 sierpnia, czyli dzień po wybuchu strajku w Stoczni Gdańskiej, Służba Bezpieczeństwa raportowała o kolportowaniu przed stocznią „Robotnika”, wyda-

wanego przez grupę współpracowników KSS „KOR” z Heleną Łuczywo i Janem Lityńskim na czele. Z czasem ulotek i niezależnej prasy w ogarniętych strajkiem miastach Wybrzeża było coraz więcej.

Rola opozycji

Strajkującym stoczniovcóm na bieżąco dostarczali bibułę przede wszystkim ludzie z Wolnych Związków Zawodowych i Ruchu Młodej Polski. Organizacje te, wywodzące się z dwóch głównych nurtów opozycji – czyli, w największym uproszczeniu, bardziej lewicowego KSS „KOR” oraz bardziej prawicowego ROPCiO – współpracowały ze sobą wówczas zgodnie. Świadczy o tym chociażby to, że młodopolacy drukowali i kolportowali wśród strajkujących w trójmiejskich zakładach „Robotnika Wybrzeża”, czyli pismo trójmiejskich WZZ, początkowo wzorowane na wspomnianym „Robotniku”.

Działacze RMP odegrali w Sierpniu '80 bardzo dużą rolę. Jako – w większości – mieszkańcy Trójmiasta mieli kontakty z działaczami WZZ Wybrzeża i niektórymi robotnikami. Błyskawicznie zaangażowali się w pomoc w organizowaniu protestów, m.in. właśnie w rozpowszechnianie niezależnej informacji. W kolportowanych materiałach własnych inaczej rozkładali akcenty niż ludzie ze środowiska korowskiego. Przede wszystkim podkreślali polityczne znaczenie protestu. Młodopolacy wydali oświadczenie popierające protestujących robotników. W formie ulotki wydrukował je Mirosław Rybicki. Autorem tekstu był Aleksander Hall, lider środowiska RMP i główny twórca jego koncepcji politycznych. „Władza rządząca Polską usiłuje przekonać społeczeństwo, że trudności gospodarcze mają charakter obiektywny, że jedyną drogą wyjścia z obecnego kryzysu jest rzetelna praca. Usiłują uczynić społeczeństwo współodpowiedzialnym za obecną sytuację w kraju. Nie możemy zgodzić się z taką oceną. Komuniści sprawują władzę w Polsce od 35 lat. Wzięli ją bez społecznego mandatu i nigdy nie starali się go uzyskać. Oni wymyślili i realizowali politykę społeczną i gospodarczą. Oni podejmowali decyzje. PZPR nigdy nie wykazała się zrozumieniem polskiego interesu

narodowego i polityczną mądrością. Musi je wykazać społeczeństwo polskie, strajkujący i opozycja polityczna” – pisał Hall.

Wówczas zresztą wszystkie nurty opozycji starały się wspierać protesty robotnicze, zarówno te w Trójmieście, jak i w innych miastach Polski, w których najważniejsze zakłady pracy przyłączały się do strajku. Na przykład redakcja „Biuletynu Dolnośląskiego”, kierowana przez Kornela Morawieckiego (późniejszego lidera Solidarności Walczącej), przygotowała numer specjalny pisma, co było jednym z czynników, które wpłynęły na to, że wrocławskie i dolnośląskie zakłady pracy pierwsze masowo wyraziły poparcie dla strajków na Wybrzeżu.

Korowcy na strajku

Na terenie Stoczni Gdańskiej, tak jak w innych dużych zakładach, znajdowała się drukarnia, którą strajkujący mogli wykorzystać. Przez pierwsze dni strajku nie próbowano się jednak do niej dostać. Przeciwny temu był główny organizator protestu, Bogdan Borusewicz, który obawiał się, że może to posłużyć rządzącym jako pretekst do pacyfikacji strajku. Bibuła docierała więc do stoczni z zewnątrz. Przełom w tworzeniu strajkowej poligrafii w Stoczni Gdańskiej nastąpił w dużej mierze dzięki położeniu geograficznemu Trójmiasta. Latem, jak co roku, polskie wybrzeże przyciągało turystów z innych części kraju i, niekiedy, z zagranicy. Wśród wczasowiczów przebywających na jednym z kempingów nieopodal Gdańska była grupa Szwedów, którzy przyjechali do Polski nie tylko po to, żeby odpoczywać. Przywieźli ze sobą... powielacz spirytusowy oraz inne materiały drukarskie, które mieli przekazać Niezależnej Oficynie Wydawniczej (nazywanej po

prostu NOW-a), czyli największemu niezależnemu wydawnictwu drukującemu książki i czasopisma poza cenzurą. Żeby je odebrać, nie wiedząc jeszcze o proteście w Stoczni Gdańskiej, 15 sierpnia pojechali tam członkowie kierownictwa tej oficyny – Ewa Milewicz i Konrad Bieliński. Po odebraniu przesyłki udali się do niedalekich Dębek, gdzie Mirosław Chojecki spędzał urlop z rodziną. Kiedy dzięki Radiu Wolna Europa dowiedzieli się o strajku w Stoczni Gdańskiej, postanowili do niej dotrzeć, żeby zobaczyć, co się dzieje. Powielacz zostawili na kempingu i udali się do Gdańska.

Korowcy bez trudu weszli na teren stoczni. Strajkującym zadeklarowali swoje wsparcie, co było szczególnie ważne, gdyż znaleźli się tam w momencie, kiedy w zakładzie została jedynie niewielka część załogi. Niektórzy stoczniovcy mieli okazję pierwszy raz na żywo spotkać opozycjonistów – i odwrotnie. „Zajechaliśmy tam ok. 16.00–17.00, moment po tym, jak wydawało się, że strajk będzie zakończony, a w opuszczonej stoczni zostało kilkadziesiąt dość przerażonych osób. [...] Alinka Pienkowska powiedziała, że kompletnie nie wie, co teraz zrobić. Wymyśliła, że skoro mają megafon i jakieś podwyższenie, to urządzają spotkanie z kierownictwem NOW-ów. W ten sposób ja i Mirek Chojecki przez dwie godziny niejako zabawialiśmy robotników. Opowiadaliśmy o Oficynie, ale chcieliśmy się też dowiedzieć, co ci ludzie wiedzą o nas. Okazało się, że bardzo mało – a w końcu ci, którzy zostali, ▶



► Konrad Bieliński (z lewej)
ze współpracownikiem NOW-ej,
Andrzejem Zielińskim



Fot. PAP/Tomasz Abramowicz

to nie byli zupełnie przypadkowi robotnicy. Niektórzy słyszeli z Wolnej Europy, a jeżeli widzieli jakieś wydruki – to »Robotnika Wybrzeża«. Większość wiedziała o NOW-ej i opozycji z »Trybuny Ludu« – wspominał po latach Konrad Bieliński.

Wkrótce stoczniowcy mieli okazję poznać się znacznie lepiej z twórcami korwowskiej poligrafii. Bieliński i Milewicz przywieźli do stoczni powielacz pozyskany od skandynawskich turystów. W tej chwili był on potrzebny bardziej właśnie tam, gdzie drukowano strajkowe ulotki. Niezależna literatura mogła poczekać. Korowcy zaangażowali się w organizowanie tamtejszej poligrafii. Chojecki z prozaicznych powodów – żeby zająć się dziećmi – musiał codziennie wracać do Dębek, ale co noc udawał się do stoczni i pomagał organizować strajkową poligrafię.

Z powodu wprowadzonej blokady informacyjnej najważniejsze było szybkie przekazanie bieżących informacji – m.in. treści słynnych 21 postulatów – liderom warszawskiej opozycji mającym kontakt z Zachodem. Milewicz wraz z Bielińskim w tym celu pojechali do stolicy. Nie zabawili tam jednak długo. „W Warszawie nie poszedłem do domu, bojąc się, że mnie zamkną, zabrałem jedynie wszystko, co było na składzie – numery »Robotnika« i »Krytyki«, ramki, wałki, farbę – i razem z Ewą wróciliśmy do Gdańska” – wspominał Bieliński.

Wówczas nie było oczywiste, jak na pojawianie się korowców zareagują stocz-

niowcy. Część robotników mogła się obawiać kontaktów z opozycjonistami, którzy byli demonizowani przez oficjalne media. „To jednak głupio wjechać, jaki nietaktowny wydaje się nasz pojazd za bramą stoczni – oni strajkują, a my tak nachalnie wpraszamy się z bibułą i KOR-em. Ale jesteśmy, mamy. Niechętnie podejźdżamy pod bramę” – wspominała swoje obawy w słynnym później reportażu *Ja, happening, Stocznia* Ewa Milewicz. Szybko jednak zostały one rozwiane. „Konrad wyjmuje ryzy »Robotników«, daje jeden egzemplarz robotnikowi w kufajce i po chwili tłum, ręce wyciągnięte do góry. – I mnie, i mnie, a może ma pani choć jeden” – pisała Milewicz. Takie reakcje robotników na działaczy opozycyjnych nie były przypadkowe. Strajkujący wyrażali niechęć wobec prasy oficjalnej, a pisma opozycyjne uznawali za wiarygodne. Mimo że, jak opowiadał Bieliński, stoczniowcy niewiele wiedzieli o opozycji, to mieli do jej przedstawicieli zaufanie.

Żeby niezależne publikacje mogły być powielane w odpowiednich ilościach, konieczne było nauczenie stoczniowców technik drukarskich. „Zaczęliśmy od szkolenia strajkujących – wspominał Bieliński. – Było wśród nich sporo pracowników biurowych, umiających pisać na maszynie, którzy jednak w życiu nie widzieli matrycy. W pierwszym etapie zorganizowaliśmy dwuosobowe grupy, które te matryce produkowały i ręcznie drukowały różne oświadczenia i ulotki”.

Większość z nich zawierała tekst 21 postulatów, które kolejajarze rozprawdzali po całym kraju. Polityka dezinformacyjna władz ukrywających skalę strajków sprawiała, że Polakom (nawet tym mieszkającym blisko Trójmiasta, a co dopiero w innych regionach) trudno było się dowiadywać o bieżących wydarzeniach. Świadectwem tego jest korespondencja kierowana do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Autor jednego z zachowanych listów pisał: „Wciąż za mało informacji. Radiowóz Stoczni powinien co godzinę nadawać aktualne komunikaty. Czy nie widzicie głosu informacji? Ulotki wasze są rozdrapywane. Na każdej ulotce należy napisać »przeczytaj i podaj sąsiadowi«”.

Organizatorzy strajkowej poligrafii starali się jak najszerzej informować o przebiegu protestów i negocjacji z władzami, ale ich możliwości siłą rzeczy były ograniczone.

Dopiero po kilku dniach protestującym udostępniono zakładową drukarnię. Wpuszczenie do niej organizatorów niezależnej poligrafii nie oznaczało jeszcze końca kłopotów. Bieliński zapamiętał rozmowę z zecerem, którego poprosił o przygotowanie ulotki. „Panie, ja nie mam czcionki, to wszystko jest od lat ułożone na stałe – odpowiedział. – Rozbijamy – powiedziałem. – Panie, to jest ileś lat pracy! Na szczęście miał jednak trochę itałiku i jedna bardzo ładna ulotka wyszła w ten sposób”.

Szybko się okazało, że na terenie stoczni funkcjonuje jeszcze druga drukarnia, ze znacznie lepszym sprzętem, do której dyrekcja nie zgodziła się wydać kluczy. „Na moją odpowiedzialność (nie byłem pracownikiem stoczni, dyrektorzy i kierownicy nic mi nie mogli zrobić) rozwaliliśmy drzwi. Oprócz offsetów stała tam też ogromna maszyna kserograficzna do produkcji offsetowych matryc, dosyć skomplikowana. Sprzątaczką mi trochę pomagała, bo pamiętała, co robili pracownicy” – wspominał Bieliński. To on był głównym organizatorem strajkowej poligrafii, Chojecki bowiem w pewnym momencie – tak jak wówczas wielu korowców – został zatrzymany i trafił do aresztu. Dzięki zdobyciu tej drugiej drukarni było możliwe zrobienie czegoś

znacznie ambitniejszego niż druk ulotek – stworzenia biuletynu strajkowego z prawdziwego zdarzenia.

Piękne słowo „Solidarność”

W latach osiemdziesiątych słowo „Solidarność” zrobiło ogromną karierę. Do dzisiaj jest ono na całym świecie kojarzone z ogromnym związkiem zawodowym i równoległym do niego ruchem społecznym. Do 1980 roku było ono jednak rzadko używane w sferze publicznej. Spośród środowisk opozycyjnych na swój szylt wzięli je związani z opozycją młodzi ludzie tworzący Studenckie Komitety Solidarności, lecz poza tym nie było to słowo, które w tym czasie opozycja demokratyczna umieszczałaby – gdyby je miała – na sztandarach.

Właśnie ono jednak najlepiej oddawało to, co się działo w stoczni, gdzie strajko-

wano w imieniu innych, oraz w pozostałych miastach, które wyrażały solidarność ze stoczną. Bieliński wspominał: „Słowo »Solidarność« było po prostu kluczem. Wszystkie strajki wówczas nazywały się »solidarnościowe ze strajkiem w Stoczni«”. Dlatego słowo to znalazło się w tytule pisma wydawanego w czasie protestów, ▶

▶ Prowizoryczna drukarnia w Stoczni Gdańskiej im. Lenina; w czasie strajku wydano w niej m.in. 13 numerów „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego »Solidarność«”

Fot. PAP/Erazm Ciolek



czyli „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego »Solidarność«”. Na pomysł użycia tego wyrazu w nazwie pisma wpadł Krzysztof Wyszowski – czołowy działacz trójmiejskich WZZ.

Pierwszy numer biuletynu ukazał się 23 sierpnia. Czytelne pismo, z charakterystycznym logo i wyraźnym składem, z pewnością robiło wrażenie na odbiorcach. Wśród strajkujących panował prawdziwy głód informacji. „Solidarność” ukazywała się nawet dwa razy dziennie i była rozchwytywana. „Jeżeli gdzieś na terenie stoczni dostrzegłam zbity i wrzeszczący tłum, wiedziałam: albo rozdają medaliki i święte obrazki od miejscowego biskupa, albo człowiek Konrada dowiózł wózkem akumulatorowy kolejny numer »Solidarności« ze stoczniowej drukarni” – pisała Ewa Milewicz. Redakcję tworzyli Konrad Bieliński, Ewa Milewicz, Mariusz Wilk i Krzysztof Wyszowski, który odgrywał szczególnie dużą rolę w rozpowszechnianiu pisma. Jego nakład był zresztą bardzo wysoki – wynosił początkowo kilkanaście, a potem średnio ok. 40 tys. egzemplarzy. Sygnowała je Wolna Drukarnia Stoczni Gdańskiej. Część egzemplarzy trafiała do ludzi znajdujących się pod stoczną, a część do kolejarzy, którzy rozwozili pismo po całej Polsce.

Na łamach biuletynu strajkowego drukowano przede wszystkim teksty informacyjne i różnego rodzaju dokumenty: postulaty, projekty statutów, listy poparcia dla protestów robotniczych. Szcze-

gólne znaczenie dla morale strajkujących miało opublikowanie oświadczenia Jana Pawła II, skierowanego do prymasa Stefana Wyszyńskiego, z poparciem postulatów strajkujących. „Piszę tych kilka słów, aby zapewnić Waszą Eminencję, że w ciągu ostatnich trudnych dni jestem szczególnie blisko, modlitwą i sercem uczestnicząc w tych doświadczeniach, przez jakie przechodzi raz jeszcze moja Ojczyzna i moi Rodacy. Wiadomości na te tematy nie schodzą z pierwszych stron prasy i z programów telewizji i radia. Modłę się, aby Episkopat Polski ze swym Prymasem na czele, zapatrzonej w Tę, która dana jest ku obronie naszego Narodu, mógł również i tym razem dopomóc temu Narodowi w ciężkim zmaganiu się o chleb powszedni, o sprawiedliwość społeczną i zabezpieczenie jego nienaruszalnych praw do własnego życia i rozwoju. Przekazuję tych kilka zdań podyktowanych potrzebą wewnętrzną. Jestem z Wami u stóp Jasno-górskiej Pani przez troskę, modlitwę i błogostawieństwo” – napisał papież. Dzięki temu uczestnicy strajków mogli się przekonać, że ich bunt popiera osoba ciesząca się w społeczeństwie ogromnym autorytetem. Wpisywało się to zresztą w religijne nastroje wśród strajkujących.

Biuletyn „Solidarność” był też narzędziem służącym do obrony robotników przed atakami i manipulacjami władz. Władze PRL starały się nakłonić uczestników strajków do zaprzestania protestów, wskazując na rzekome szkody, jakie ich postępowanie przynosi krajowi i społecznościom lokalnym. Komuniści bezpodstawnie zarzucali też protestującym niechęć do rozmów. Biuletyn strajkowy starał

się przeciwdziałać tego rodzaju propagandzie. W numerze z 25 sierpnia redakcja oświadczyła: „Dzisiaj (24 sierpnia) w godzinach rannych w całym mieście zostały rozprowadzone ulotki podpisane przez Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu. Ulotki te oskarżają MKS o odrzucenie rozmów z komisją rządową »mimo skierowania do nich zaproszenia«. Perfidia tego wydarzenia oraz »zarzutów« skierowanych pod adresem strajkujących, zawartych w ulotce, jest tym większa, że kolportowana ona była zaledwie parę godzin po opuszczeniu Stoczni Gdańskiej przez komisję rządową pod przewodnictwem M[ieczysława] Jagielskiego. Komisja ta przybyła do strajkujących na zaproszenie MKS-u. Jakże fałszywe w świetle wyżej opisanego wydarzenia okazały się słowa wicepremiera M. Jagielskiego, powołującego się kilkakrotnie we wczorajszym wystąpieniu na swoją gotowość do przeprowadzenia rozmów w atmosferze szczerości. Wystarczyło kilka godzin, by słowa wicepremiera okazały się zbiorem czczych frazesów”. Prasa niezależna za pomocą takich komentarzy pokazywała czytelnikom manipulację oficjalnych mediów. Największe znaczenie miało chyba jednak drukowanie na bieżąco sprawozdań z negocjacji prowadzonych z przedstawicielami władz. Zapewniało to członkom MKS poparcie wśród protestujących.

Kiedy podpisano porozumienia sierpniowe – w tym najważniejsze z nich w Gdańsku 31 sierpnia – zaczynał się nowy etap w historii niezależnej prasy. Zarówno w okresie poprzedzającym robotnicze protesty, jak i w czasie gorącego lata 1980 roku odegrała ona znaczącą rolę w mobilizowaniu robotników i zapewnianiu łączności między poszczególnymi zakładami. Niezależny związek zawodowy, który powstał na skutek strajków, przyjął właśnie taką samą nazwę, jak strajkowy biuletyn – Solidarność. Oczywiście powodów tego było wiele, ale z pewnością to pismo sprawiło, że słowo „Solidarność” zrobiło wówczas tak błyskawiczną karierę. 🍀

Gdańska „Solidarność” ukazywała się aż do 1989 roku. Do grudnia 1981 roku oprócz Mariusza Wilka tworzyli ją działaczka WZZ Joanna Duda-Gwiazda i Joanna Wojciechowicz, związana z RMP. Po wprowadzeniu stanu wojennego pismo ukazywało się w podziemiu. Było organem regionalnych władz związku. Spośród wcześniejszych redaktorów pozostał jedynie Mariusz Wilk. Do tworzonej przez niego na nowo redakcji należeli również: jego narzeczona Bernadetta Stankiewicz, pozbawiony możliwości pracy w zawodzie dziennikarz Maciej Łopiński oraz działaczka RMP Magdalena Modzelewska. Kolejne zmiany w zespole zostały wymuszone przez represje. W grudniu 1982 roku Stankiewicz, Wilk i Łopińskiego aresztowano. Od tego momentu głównym twórcą pisma był reżyser filmowy Marian Terlecki. W 1983 roku, po wyjściu na wolność, do redakcji powrócił Łopiński. W kolejnych latach skład redakcji jeszcze parokrotnie się zmieniał. Pismo ukazywało się jednak nieprzerwanie, co miało duże znaczenie dla podkreślenia ciągłości istnienia Solidarności.

Jan Olszaker – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN; autor monografii *Revolucja powiaty. Niezależny ruch wydawniczy w Polsce 1976–1989* (2015)





Ignacy Sarnecki urodził się w 1929 roku w Zieluniu. W latach 1946–1947 walczył w antykomunistycznym podziemiu zbrojnym, należał do oddziałów leśnych ROAK, służył pod rozkazami Stanisława Balli, Stefana Sarneckiego i Franciszka Wypycha, działających na styku Mazowsza i Pomorza. Posługiwał się kolejno pseudonimami „Przybysz”, „Lopek”, „Kruk”. W trakcie amnestii w marcu 1947 roku został ciężko postrzelony przez pijanego funkcjonariusza UB. W latach 1947–1951 był więziony na Mokotowie. Przebywał w celi m.in. z Hieronimem Dekutowskim „Zaporą” i jego żołnierzami. Obecnie mieszka w Wałbrzychu.

Zostały nam las i walka – relacja Ignacego Sarneckiego

Na naszym terenie podczas II wojny działały Armia Krajowa oraz Bataliony Chłopskie, ani Armii Ludowej, ani Gwardii Ludowej u nas nie było. Po wojnie, w okresie rozwiązywania się Armii Krajowej, gdy ogłoszono amnestię, którą potem nazwano pierwszą amnestią, wielu jej żołnierzy się ujawniło, ale też liczni się nie ujawnili i po prostu wrócili do domów, licząc na to, że ich wojenna działalność jakoś się ukryje. Jednak niektórzy, nieufni wobec nowych struktur państwa, pozostali w lesie, utrzymując kontakt z rodzinami. Oprócz tych dwóch grup była jeszcze jedna – żołnierze, co podczas wojny byli w konspiracji, ale nie w oddziałach, bo co innego być w regularnym oddziale, a co innego w konspiracji. Żołnierz z oddziału partyzanckiego, zwłaszcza z AK, jeśli chciał normalnie żyć,

to zgodnie z wymogami pierwszej amnestii miał się ujawnić, ale ten z konspiracji, jeśli nikt go nie wydał i nie został zdemaskowany, mógł ujawnienia uniknąć. Już wkrótce się pokazało, jakie realne skutki dla żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego przyniosła pierwsza amnestia.

Akowcy, którzy się ujawnili, i żołnierze powracający z polskiego wojska walczącego na Zachodzie, dość szybko się przekonali, że funkcjonariusze nowej władzy nie zamierzają im dać spokoju. Nękanie zaczęło się od tego, że jak się ujawniał ktoś z Batalionów Chłopskich, jakiś partyzant, zaraz dostawał stanowisko, i miał spokój od UB i MO, natomiast na innych, szczególnie z Armii Krajowej, robiono nagonki. Miejscowi wiedzieli przecieź, kto się ujawnił. A wkrótce zaczęły się aresztowania i wywózki do obozów przejściowych, któ-

re często tworzone w tych samych miejscach co niemieckie obozy, do więzień polskich i do ZSRR. Ci, którym udało się uciec z sowieckich transportów zmierzających w głąb Związku Radzieckiego, schronili się w lesie. Bo dokąd mieli pójść? Ale czasy się zmieniły, to już nie była okupacja niemiecka, gdzie człowiek wiedział, kto jest kim i po której stronie kto stoi. Nowa władza miała inne metody inwigilacji i powodowała nowe zagrożenia – wielu ludzi po prostu bało się nieść pomoc poszukiwanym ze względu na represje, które mogły ich dotknąć; inni pozostawali bierni, woleli stać na uboczu wydarzeń, przeczekać, nie narażać się niczym; a była też grupa podlizująca się funkcjonariuszom władzy ludowej, donosząca, denuncjująca i w dodatku otrzymująca za to zapłatę w różnych formach – od tzw. świętego spokoju po pieniądze. ➤

Weźmy na przykład organizację „Strzelec”. Przed wojną ludziom ze „Strzelca” się kłaniało, szanowało się ich; po wojnie, jeśli UB czy NKWD złapały kogoś ze „Strzelca” – rozstrzeliwały. No to młodzież wychowana patriotycznie też uciekała do lasu. Drańskie działania NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa na naszych terenach wpędziły ludzi do lasu, jednych, czyli takich, którzy już walczyli z Niemcami – znowu, innych, tzn. skrzywdzonych lub prześladowanych przez nową władzę – dopiero. Kolejne osoby przymuszane przez rozlewający się w Polsce terror komunistyczny zasilaly leśne oddziały. I tak powstał nasz ROAK – Ruch Oporu Armii Krajowej. Na początku mieliśmy dwóch wrogów: UB i NKWD, ale w krótkim czasie, kiedy do Milicji Obywatelskiej komuniści ściągnęli obcych nam ludzi, z innych stron kraju, bo najpierw w MO pracowali miejscowi, którzy z reguły zajmowali się sprawami natury kryminalnej i przeważnie przytykali oko na „polityczne” nieposłuszeństwo ludzi przeciwko władzy, to doszedł trzeci wróg – MO właśnie, a z czasem czwarty – ORMO [Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej]. Sprawa z piątym elementem terroru, tj. z regularnym

wojskiem, już nie była tak oczywista, ale o tym trochę później.

Dowódcą naszego okręgu ROAK, który obejmował mazowieckie tereny wokół Mławy, Działdowa, Lubawy, Brodnicy, Sierpca, Ciechanowa, Przasnysza, Nowego Miasta, Rypina aż po Prusy Wschodnie, Skrwilno, Iławę, Ostródę był [...] kapitan, a potem major Paweł Nowakowski „Leśnik”, „Lampart”, „Łysy”, „Kryjak”, człowiek wyjątkowy. Znaliliśmy go, bo sprawował przez sześć lat przed wojną funkcję wójta w moim Zieluniu. [...] Zieluń dużo zawdzięczał jego energicznemu zarządzaniu. Był świetnym gospodarzem gminy, organizatorem dobrym, sprawnym w cywilu i takim samym wojskowym, nic więc dziwnego, że świetnie zorganizował sieć oporu przeciwko nowej władzy, tym bardziej że również przez całą wojnę z Niemcami był w podziemiu, ukrywał się, musiał mieszkać po lasach. Z ramienia Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej, został komendantem na Zieluń i okolice, zorganizował siatkę konspiracyjną i zarządzał nią, bo znał znakomicie teren i ludzi, co ułatwiło mu powołanie i stworzenie struktur partyzanckich. Doświadczenia i kontakty zdobyte za Niemców przydały mu się, gdy

nastąpiła okupacja sowiecka Polski. Jak wielu innych znowu zostawił rodzinę dla sprawy wolności kraju.

Z „Leśnikiem” prawie wszyscy musieli się kontaktować przez łączników. Takie były wymogi bezpieczeństwa. Co oczywiste, my, łącznicy i żołnierze, nie znaleźliśmy dokładnie szczebli zarządzania, wiedzieliśmy tylko tyle, ile wiedzieć musieliśmy. [...]

Wiedziałem, że w naszym rejonie bezpośrednim podwładnym Nowakowskiego [...], a jednocześnie dowódcą kompanii, był Stanisław Balla „Sowa”, i że pod komendą „Sowy” był z kolei Franciszek Wypych „Wilk” ze swoim oddziałem. Oprócz tego w kompanii mieliśmy mniejsze grupy, drużyny, często dowodzone przez konkretnego chłopaka, ale niekoniecznie. Podziały nie były sztywne, żołnierze przechodzili z oddziału do oddziału na czas akcji, ale i w innych przypadkach (no przecież różnie bywało!), zawsze jednak po wyrażeniu zgody przez „Leśnika”. I mieliśmy drużynę do zadań specjalnych, najgorszej czarnej roboty, jej dowódcą [...] był mój brat Stefan „Maks”.

Oni wszyscy – pan Nowakowski, Balla, Wypych i jeszcze Andrzej Różycki „Zjawa” – dobrze się znali, już podczas wojny byli razem w konspiracji, w AK, pochodzili z naszych stron. Z całej tej czwórki tylko pan Nowakowski nie ujawnił się w 1945 roku. Ujawnili się natomiast „Sowa”, „Wilk”, „Zjawa”, ale aresztowania wśród niedawnych akowców zmusiły ich, jak wielu innych, do ponownego ukrycia się. Jednakże zanim UB dobrał się do



Fot. Jadwiga Krakowska/ze zbiorów Ignacego Sarneckiego

► Żołnierze batalionu „Znicz” ROAK, od lewej: Mieczysław Sarnecki „Rosolek”, Ignacy Sarnecki, Stefan Sarnecki „Maks”, NN „Zielonka”, 1946 rok

„Zjawy”, zanim go rozpracował, wstąpił on do miejscowej milicji, nosił mundur, brał udział w różnych akcjach MO przeciwko złodziejom i bandytom, ale też ludziom uznanym przez UB za wrogów ludu. Podobnie „Sowa”. Słyszałem, że zrobili to na rozkaz „Leśnika”, że celowo, przez organizację zostali tam skierowani, bo nasz dowódca uważał, że trzeba od środka poznać nowe organy państwa, ich metody działania i cele. Inna wersja głosiła, że oni najzwyczajniej w świecie chcieli pracować w tych strukturach, bo myśleli, że będą odpowiednikiem przedwojennej policji, przecież nikt nie sądził, że milicja będzie organizacją polityczną. Jakkolwiek by jednak było, już wkrótce okazało się, że był to strzał w dziesiątkę, bo ci, co wstąpili do MO, a jeszcze lepiej do UB, mieli dostęp do informacji ważnych dla organizacji niepodległościowych – np. do listy konfidentów, wiedzieli o planowanych akcjach przeciwko podziemi niepodległościowemu itd., a w razie wpadki „nasi” funkcjonariusze w MO i UB mogli pomóc w ucieczce, co się nie raz, nie dwa okazało zbawienne dla naszych ludzi. Niestety, nie tylko my mieliśmy wtyki u nich, także oni mieli wtyki w naszych szeregach, zwłaszcza w późniejszym czasie.

„Sowa” i „Zjawa” nie napracowali się w MO, bo gdy UB przeprowadził wewnętrzną weryfikację milicjantów, zaraz dowiedział się o ich wojennej przeszłości; zostali aresztowani i właśnie przy pomocy „naszych” wtyk uciekli. Co im zostało? Tylko las i walka.

Kim byli nasi dowódcy? Jednymi z nas. Stanisław Balla „Sowa” mieszkał w Lidzbarku Welskim, pod Jamielnikiem. Jamielnik leży między Zieluniem Nowym a Lidzbarkiem [...]. Podczas wojny Balla nie podpisał volkslisty, więc jego żonę i dzieci Niemcy wyrzucili z domu, potem żonę i najstarszego syna aresztowano, biedna rodzina cierpiała i za Niemców, i za ruskich. „Sowa” był żyty z lasem, znakomicie imitował głosy ptaków. Pamiętam, jak składał ręce i tak dmuchał, że wydobywał głos, zupełnie jakby odzywał się puszczyk, każdego zmylił, dlatego najpierw wołali na niego właśnie „Pusz-



► Ignacy Sarnecki w 2014 roku

czyk”, jednak z czasem zaczął huczeć jak sowa, bo ten puszczyk źle się kojarzył. U nas mówiono, że puszczyk krzyczy na czyjąś śmierć, a i bez tego mieliśmy trudne życie. „Sowa” był świetnym dowódcą, ale ponurym człowiekiem, służbistą; mieliśmy przed nim respekt, dziwnie patrzył, przenikliwie i zimno, jakby przewiercał nasze myśli; tak zmierzył człowieka od góry do dołu, że ciarki przechodziły. Pierwszy raz spotkałem go, gdy odwiedzałem bunkier medyczny, kiedy mój brat Mietek „Rosolek” leczył rany, jakoś na początku 1946 roku. Wówczas byłem jeszcze łącznikiem i do głowy mi nie przychodziło, że moje życie się zmieni i będę musiał ukrywać się w lesie, a „Sowa” będzie moim dowódcą. Kolejny raz zobaczyłem go, gdy składałem przysięgę party-

zancką. Jego oddział był dla wielu z nas pierwszym etapem partyzantki, on próbował nowych ludzi w akcjach czasem pozorowanych, czasem prawdziwych, lecz drobnych, oceniał, czy ktoś się nadaje. Twardy był. Mnie nawet polubił, ale czułem, że jest nieufny. Dlatego fakt, że Stefan zabrał mnie od „Sowy” do swojej drużyny, był mi na rękę, bo tam służyli prawie sami zieluniacy, ludzie, których znałem sprzed wojny, koledzy brata i moi, wiedziałem, kto jest kim, u „Sowy” zaś oraz u „Wilka” znałem jedynie pseudonimy kolegów.

„Wilk” był inny. Wypychowie przed wojną mieli nowoczesny na tamte czasy zakład mechaniczno-ślusarski w Lidzbarku Welskim, byli dość bogatą rodziną. Najstarszy z trzech braci, Franciszek Wy- ►

nych, został właśnie jednym z dowódców naszych roakowskich oddziałów, przybrał pseudonim „Wilk”. Facet był przystojny, fajny, wesoły, pożartował, poklepał po plecach. Lubiliśmy go, nie trzymał dystansu, ale do głowy by nikomu nie przyszło, żeby mu się sprzeciwić. Pomimo koleżeńskich gestów nie uważaliśmy, że spoufalał się z nami – miał posłuch, trzymał rygor w oddziale. Odważny, w akcji szedł jak burza, był z tych, co się nie poddają. Nie pamiętam, kiedy poznałem „Wilka”, chyba podczas akcji w Iławie.

Andrzej Różycki „Zjawa”, syn dziedzica z Wlewska pod Lidzbarkiem Welskim, był taki bardziej spokojny, małowówny, raczej nieprzystępny dla obcych, ale koleżeński, sympatyczny. Był wysoki, wyższy ode mnie, pamiętam, że miał zachrypnięty głos. W naszych oddziałach mieliśmy dwóch Różyczaków – „Zjawę” i jego brata, Władysława Różyckiego „Dzika”. Jędrzek był chyba młodszy. Obaj Różyccy, „Zjawa” oraz „Dzik”, byli w świecie Nowakowskiego, co oznaczało, że jako nieliczni mieli do niego bezpośredni dostęp. Podczas mojego pobytu w oddziale spotkałem „Zjawę” raptem trzy, może cztery razy. [...]

Nasze oddziały ROAK były znaczącą siłą. Balla miał około siedemdziesięciu ludzi, „Wilk” około trzydziestu, „Maks” kilkunastu; tyłu chodziło regularnie, oprócz tego mieliśmy rezerwy, tak że w krótkim czasie można było zwołać pod broń do dwustu żołnierzy przygotowanych w każdej chwili do walki, do pomocy. Dodatkowo czasem, jeśli sytuacja wymagała, robiliśmy zgrupowania, koncentracje naszych sił, wtedy jak się połączyły oddziały działające w całym północnym Mazowszu i dalej, to w jednym miejscu było i do trzystu ludzi. [...]

Każdy dowódca miał przyporządkowany teren, a jeśli na inny chciano wejść, przekroczyć granicę powiatu itd., należało uprzedzić, wysłać łączników – to zawsze musiało być uzgodnione. Bo czasem konieczne było przejście poza swój teren, zwłaszcza gdy była koncentracja oddziałów na wspólną akcję albo podczas ucieczki.

Rejonem oddziałów, w których chodziłem, były m.in. Działdowo, Okalewo, Rypin, Nowe Miasto, Ryki. Te lasy, torfowiska,

bagniska znaliśmy jak własną kieszeń, człowiek miał nocą oczy lepsze niż obcy w dzień. Ktoś, kto nie znał terenu i nieostrożnie wszedłby w głąb lasu, zgubiłby się na amen. My setki kilometrów tam schodziliśmy, zwłaszcza w roku 1946 i zimą na 1947, wtedy robiliśmy na nogach po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów w nocy, żeby dojść na rano, jak ledwie zaczynało się rozwidniać, do jakiejś parceli pod lasem, do leśniczówki, żeby odpocząć, najeść się, no i żeby nas nikt nie widział. Czasem w mniejszych grupach rozlokowywaliśmy się w jakiejś osadzie, przebieraliśmy się w cywilne ciuchy, oczywiście obserwacja była wystawiona, nie miało prawa być zaskoczenia, byliśmy czujni, przecież były robione pacyfikacje, a my, chociaż mieliśmy swoje wtyki w milicji, w UB, jednak o wielu nie byliśmy informowani, choćby dlatego, że nikt nie wiedział, gdzie spędzimy kolejny dzień i kolejną noc. Zmienialiśmy miejsca stacjonowania ze względu na bezpieczeństwo, bo przebywanie zbyt długo w większej grupie w jednym miejscu nie było bezpieczne. Ktoś z konfidentów mógł nas wypatrzeć i donieść do UB. Poza tym ludzie – zarówno koledzy z oddziału, jak i pomagający nam – wpadali w łapy bezpieki i bici, torturowani, niekiedy wydawali nasze meliny, przecież ubecja miała wyrafinowane barbarzyńskie metody maltretowania ludzi. Ale nasze marsze stanowiły także jedną z metod utrzymania gotowości bojowej oraz wojskowej dyscypliny w oddziale. Przecież w oddziale walczyli różni ludzie, nie tylko wojskowi, nie tylko twarde charaktery, także nauczyciele, inteligenci, nawet słabeusze, jak choćby [...] Stach Kowalewski, syn akuszerki, który zupełnie się nie nadał do naszego leśnego życia. Ale takich było więcej.

Dyscyplina w roakowskich oddziałach panowała prawdziwie wojskowa, przecież byliśmy wojskiem. Wszystko trzymał w ryzach dowódca. Nie wolno było nic podejmować samodzielnie, na własną rękę, żadnych akcji, żadnych kroków. No, chyba że ktoś akurat niespodziewanie znalazł się w zasadzce lub nagle w ogniu walki w nieprzewidzia-

nych okolicznościach, ale to zrozumiałe. Normalny tryb wymagał zgody dowódcy np. na przepustkę, na przeniesienie się z oddziału do oddziału itd. Wyroki na zdrajców, konfidentów zapadały na wyższym szczeblu, oddział dostawał tylko rozkaz do wykonania, wszystko jedno, czy to było ostrzeżenie, czy kara śmierci. Z tego, co wiem, wyroki śmierci na naszym terenie podpisywał jedynie „Leśnik”, ale podobno w specjalnych okolicznościach mógł taką decyzję podjąć również „Sowa”, nie czekając na formalną akceptację „Leśnika”.

Skoro regularne wojsko, to i regulaminowe mundury. Chodziliśmy przeważnie w angielskich wojskowych bluzach, mundury wcześniej, za Niemców, partyzanci dostawali ze zrzutów, potem trzeba było zdobyć w akcji na magazyn wojskowy lub bezpieczki. Jeszcze gdy przyszedłem do oddziału, dostawaliśmy regularnie dekady w dolarach, potem w złotówkach, z czasem było coraz gorzej z regularnością wypłat, ale je otrzymywaliśmy.

Wielu z nas nosiło ryngrafy, ale wspólną mszę świętą pamiętam jedynie raz, to było na jakieś święto, trzeba było obstać kościół. Cóż, obraz całości już mi się zatarł. Pamiętam też księdza, który nas czasem spowiadał, taki niestary, niemłody, miał długie włosy za ramiona, ale nie wiem, z jakiej był parafii. Rzadko go widywaliśmy, sam był w niebezpieczeństwie, biedny, bezpieka przecież niszczyła księży, zastraszała, działała zupełnie jak Niemcy. Natomiast zawsze zaczynaliśmy dzień od modlitwy oddziału i śpiewu pieśni „O Boże, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń”. W ogóle śpiew, piosenki powszechnie znane i nasze, partyzanckie, były wpisane w naszą codzienność, były z nami zawsze, wypełniały nam życie. Śpiewaliśmy podczas długich marszów, podczas wieczornego odpoczynku, przy pracy w polu, gdy pomagaliśmy gospodarzom, którzy nas przygarnęli na kwaterę itd. Były naszym żalem za normalnym życiem, naszym bólem rozłąki z bliskimi, tęsknotą za marzeniami, za lepszą przyszłością, więc niestety przeważnie smutne. ❀

► Rola Sabiny Jankowskiej w *Rewersie* to, jak dotąd, najlepsza kreacja w dorobku filmowym Agaty Buzek

Rewers

Jerzy Eisler

Czarna komedia, której akcja rozgrywa się w ponurych latach stalinowskich? Taki właśnie jest *Rewers* Borysa Lankosza.

Jerzy Buzek opowiadał kiedyś, że gdy był przewodniczącym Parlamentu Europejskiego, jeden z zagranicznych polityków zagadnął go, czy przypadkiem nie jest kimś z rodziny znanej polskiej aktorki Agaty Buzek. Nie wiem, czy jest to sytuacja prawdziwa, ale nie ulega wątpliwości, że w Polsce to jednak były premier jest bardziej znany od popularnej artystki. Być może zresztą całą tę historię wymyślił lub przynajmniej „podkreślił” ojciec zakochany w córce – a któryż to ojciec nie jest zakochany we własnej córce? Niezależnie jednak od tego, czy cała ta opowieść jest prawdziwa, czy ma jedynie wymiar anegdotyczny, wypada stwierdzić, że filmem, w którym jak dotąd Agata Buzek odniosła swój największy sukces artystyczny, jest kinowy debiut reżyserski Borysa Lankosza *Rewers*.

W 2009 roku w czasie 34. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (do 1986 roku był on organizowany w Gdańsku) *Rewers* uznano za najlepszy film i uhonorowano Złotymi Lwami. Poszczególnym członkom ekipy również przyznano nagrody – za zdjęcia, muzykę, charakteryzację, Marcinowi Dorocińskiemu za najlepszą męską rolę drugoplanową i właśnie Agacie Buzek za najlepszą pierwszoplanową kreację kobiecą. Ponadto w tym samym roku była ona nominowana do Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego ►



i otrzymała ją w kategorii Nagrody Publiczności, a w następnym roku uhonorowano ją Orłem za najlepszą główną rolę kobiecą za rok 2009 oraz przyznaną przez „Film” Złotą Kaczką dla najlepszej aktorki w sezonie 2009/2010. Gdy do tego wszystkiego dodać, że *Rewers* był reklamowany jako polski film roku, doczekał się wielu pochlebnych recenzji i był polskim kandydatem do Oscara, to musi się pojawić pytanie: co to za dzieło filmowe?

Stalinizm śmieszny...

Przede wszystkim nie jest łatwo precyzyjnie określić charakter tego filmu. Wydaje się, że najlepiej oddają jego istotę takie określenia, jak komediodramat, czy może w jeszcze większym stopniu – czarna komedia. Nie byłoby to dziwne, gdyby nie to, że akcja rozgrywa się w 1952 roku, a więc w okresie apogeum stalinizmu w Polsce. Sam pomysł, że można o tamtych latach opowiadać z pewnym dystansem, a nawet z przybliżeniem oka, u niektórych osób budzi wątpliwości. Nie wszystkim jest też łatwo zaakceptować konwencję filmu, nasuwające pewne skojarzenia z klasyczną czarną komedią Franka Capry z 1944 roku *Arszenik i stare koronki*. Wrażenie podobieństwa w tym zakresie pogłębia główna rola odgrywana w obu tych dziełach przez kobiety mordujące mężczyzn, których wcześniej poznawały dość blisko.

W przypadku *Rewersu* kobiety te reprezentują trzy pokolenia jednej inteligentnej rodziny: córkę, matkę i babcię. I tak Agata Buzek zagrała najmłodszą z nich, Sabinę Jankowską; Krystyna Janda wcieliła się w postać jej matki, farmaceutki Ireny (jej zawód nie jest bez znaczenia dla całej historii), a Anna Polony – jak zawsze genialnie – zagrała tym razem babcię. Te trzy kobiety mieszkają razem i wzajemnie na siebie wpływają, jak trafnie zauważył jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich historyków filmu, Tadeusz Lubelski, będąc „strażniczkami wierności tej samej tradycji, którą znamy z *Katynia Wajdy*”. Najaktywniejsza z tej trójki – głównie zresztą na polu swatania swojej córki – jest Irena Jankowska. Pragnie być babcią i niemal za wszelką cenę stara się pomóc nieśmiałej i nieco zakompleksionej Sabinie w znalezieniu odpowiedniego kandydata na męża. Widzom dane jest

obserwować zabawne zabiegi jednego z adoratorów, rzekomo stroniącego od alkoholu księgowego w zarządzie aptek, pana Józefa, który w czasie pierwszej wizyty w mieszkaniu trzech kobiet „po zbyt sumiennej degustacji domowej nalewki” stacza się pod stół. Wyjątkowo udanym i zarazem przewrotnym pomysłem było powierzenie tej roli Adamowi Woronowiczowi, który nieco wcześniej zyskał duże uznanie i popularność, wcielając się w postać ks. Jerzego Popiełuszki. Niełatwo jest sobie wyobrazić bardziej przeciwstawne wyzwania aktorskie.

Trudno dziwić się, że ktoś taki jak pan Józef nie odpowiadał – może i zbyt nieśmiały i nazbyt wycofanej (do czasu!), ale na pewno kulturalnej, wrażliwej i subtelnej Sabinie, pracującej jako redaktorka w dziale zajmującym się poezją w wydawnictwie „Nowina”. W tym miejscu wkracza do akcji wielka, a może wcale nie taka wielka, polityka. Zbliża się bowiem Święto Pracy i trwają intensywne przygotowania do pochodu pierwszomajowego. Szefowa kadr – a trzeba pamiętać, że „kadrowa” to była wówczas w wielu instytucjach „szara emi-

► Marcin Dorociński jako Bronisław Toporek vel Falski, oficer UB, i Krystyna Janda w roli Ireny, matki Sabinie



nencja”, osoba nierzadko najważniejsza po dyrektorze, nader często powiązana formalnymi i nieformalnymi więzami z aparatem bezpieczeństwa – wymyśliła sobie (nie wiadomo, czy sama, czy też może zasugerowali jej to „towarzysze z frontu ideologicznego”), żeby redaktorki wszystkich działów wydawnictwa wystąpiły w pochodzie w strojach sportowych. Główna bohaterka miała z tym nie lada problem.

Ale jeszcze większy kłopot był związany ze złotą monetą dolarową z 1881 roku. Właśnie bowiem wprowadzono w Polsce restrykcyjne prawo dewizowe. Według nowych przepisów, samo posiadanie złota lub obcych walut (a nie tylko handel nimi) stawało się przestępstwem, zagrożonym najwyższymi karami. Niestety, przynajmniej raz posiadaczka tych niedozwolonych dóbr skazano na karę śmierci i wyrok wykonano. Trudno się więc dziwić, że Irena Jankowska – w myśl bezprawnego prawa – była skłonna oddać rodzinną pamiątkę, natomiast jej układna córka, może po raz pierwszy w życiu, zbuntowała się i postanowiła jednak ukryć monetę. Uczyniła to jednak w wielce oryginalny sposób...

Tymczasem w filmie (niczym w bajce) pojawia się wyczekiwany, wymarzony, wyśniony ON: przystojny, elegancki, czarujący, prawiący komplementy, kupujący kwiaty i prezenty – Bronisław Falski. W tej roli występuje Marcin Dorociński. Jest zrozumiałe, że ktoś taki spodobał się nie tylko Sabinie, lecz także babci i mamie, chociaż na pytanie tej ostatniej o to, czy jest rodziną Mariana Falskiego, legendarnego autora *Elementarza*, zgodnie ze stanem faktycznym odpowiedział przecząco. Nie raczył natomiast poinformować nikogo z domowników, kim jest naprawdę, a był oficerem bezpieczeństwa. Zaproponował Sabinie małżeństwo, ale zarazem chciał z niej zrobić tajnego współpracownika UB. Sięgał przy tym po szantaż, groźby i jednocześnie starał się stworzyć wrażenie, że ONI wiedzą wszystko, znają nawet największy sekret głównej bohaterki. Nie wypada opowiadać dalszego ciągu ani tym bardziej zdradzać potencjalnym widzom puenty, a *Rewers* ma przecież w sobie też coś z kryminału.

...i straszny

Ma jednak także coś z filmu historycznego. Wydaje się, że twórcy w sensie wizualnym udanie odtworzyli rzeczywistość z początku lat pięćdziesiątych, w czym pomogły im stylizowane nieco na epokę czarno-białe zdjęcia oraz wykorzystane przez nich archiwalne wstawki filmowe. Zadbano także o stroje, wy-

strój wnętrz, pojawiające się pojazdy itd. Trudno byłoby mi jednak powiedzieć, że jest to film o stalinizmie w Polsce, choć na pewno kilka scen, na przykład aresztowanie Barskiego – pewnego (do czasu) swojej siły i znaczenia własnych wpływów dyrektora wydawnictwa „Nowina” – dobrze oddaje klimat tamtych lat. Myślę, że podobnie należałoby ocenić sceny z sąsiadem Jankowskich, generałem Wiktorem. Przybliżają one grozę tamtych czasów, w których tak naprawdę nikt nie mógł czuć się bezpieczny, a bezpieczeństwo (w rozumieniu „organów”) w istocie oznaczało realne niebezpieczeństwo i czyniło bar-

dzo wiele, aby ludzie naprawdę czuli się jak najmniej pewnie.

Akcja *Rewersu* nie toczy się jednak tylko w latach pięćdziesiątych. Film rozgrywa się na dwóch płaszczyznach czasowych. Jakież 90 proc. jest czarno-białe i dzieje się w okresie stalinowskim. Reszta została nakręcona w kolorach i ukazuje w pełnej krasie Warszawę z roku 2009. Jesteśmy świadkami tego, jak wzruszona starsza pani (Sabina po ponad pół wieku) wita się ze swoim synem Markiem, w którego postać wcielił się – grający też jego ojca – Marcin Dorociński. Jakby przy okazji, widzowie dowiadują się, w jak oryginalny sposób rozwiązała się cała rodzinna tajemnica i gdzie spoczyły doczesne szczątki (cokolwiek to w tym wypadku znaczy) Bronisława Falskiego czy może

raczej Bronisława Toporka, gdyż tak faktycznie nazywał się ubowiec, a zarazem biologiczny ojciec Marka.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na pewną kwestię niezwiązaną z tym filmem (ani zresztą z żadnym innym), ale chyba na swój sposób dość ważną. Otóż jakiś czas temu zauważyłem, że młodsze i średnie pokolenie Polaków (oczywiście tylko ta jego część, która w ogóle o takich sprawach dyskutuje) w sposób żargonowy określa funkcjonariuszy stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa mianem ubeków, podczas gdy ci, którzy z autopsji pamiętają tamten okres, nazywają ich raczej, jak byli wtedy przezywani: ubowcami. Warto o tym nie zapominać i może – przez szacunek dla tradycji i pamięć dla ich ofiar – lepiej posługiwać się czasem i tą starą, oryginalną formą. ■

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzysy w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► W rolę pana Józefa wcielił się Adam Woronowicz, który nieco wcześniej z powodzeniem zagrał ks. Jerzego Popiełuszkę

Orły 12. Pułku Ułanów Podolskich w kampanii włoskiej

Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł wz. 39 produkcji firmy Alfred Stanley & Sons z cyfrą 12. Pułku Ułanów, 51,5 x 33,5 mm, octan celulozy

Tradycja wojskowa opiera się na budowaniu w świadomości żołnierza poczucia dumy z przynależności do formacji. Najśłynniejsze oddziały wojskowe w historii szczyły się swoim *esprit de corps*, kultywowanym nierzadko przez stulecia. Powtarzające się okresy nieistnienia Rzeczypospolitej w wiekach XIX i XX były przyczyną zrywania ciągłości tradycji pułkowej, lecz mimo to pamiętano o niej i odwoływano się do niej wielokrotnie, choć nieraz – po wielu latach.

Jeżeli od chwili rozwiązania oddziału mija niezbyt wiele czasu, możliwe jest odtworzenie go z udziałem szkieletowej kadry, dobrze pamiętającej nieodległą przeszłość. Bywa też, że oddział trzeba tworzyć w wojennej zawierusze bardzo daleko od miejsca, w którym istniał poprzednio. Historia Wojska Polskiego pokazuje jednak, że nawet kilkadziesiąt lat nieistnienia nie musi być przeszkodą dla odtworzenia i podtrzymania tradycji sławnych pułków przez ich godnych następców. Pośród wielu polskich pułków szczytujących się dawną tradycją nieopóźnionie miejsce zajmuje 12. Pułk Ułanów Podolskich, którego trójbarwny proporczyk zatknięty na gruzach klasztoru obwieścił zdobycie Monte Cassino.

Podole, Moskwa, Berezyna i Zittau

Pułk, który powstał na Podolu w czerwcu roku 1809, nosił początkowo nazwę 5. Pułku Jazdy Francusko-Galicyskiej. Pół roku później, gdy Wojska Francusko-Galicyskie zostały włączone do armii Księstwa Warszawskiego, zmieniły się nazwy ich oddziałów. Wtedy właśnie 5. Pułk Jazdy przemianowano na 12. Pułk Ułanów. Na pamiątkę swego francuskiego rodowodu zachował on barwy niebie-

sko-biało-czerwone, kolory Pierwszego Cesarstwa. Sto trzydzieści pięć lat później miały one zostać zatknięte na klasztornych gruzach. Na razie jednak, w roku 1812, pułk wyruszył na Moskwę. Skrwał się, zdobywając Smoleńsk, a szarżując kilkakrotnie pod Borodino, zdobył sześć moskiewskich armat.

W odwrocie spod Moskwy jeden ze szwadronów pułku towarzyszył przez pewien czas cesarzowi Napoleonowi. Inny szwadron, noszący numer 3, eskortował do Warszawy kontuzjowanego wodza V Korpusu Polskiego, księcia Józefa Poniatowskiego. Ten właśnie pododdział stał się zawiązkiem pułku odtwarzanego z niedobitków powracających znad Berezyny. Po wymuszonym przez niskie stany osobowe połączeniu z 8. Pułkiem Ułanów, co nastąpiło w czerwcu 1813 roku w Zittau, pułk przestał funkcjonować pod własną nazwą, choć ułani zachowali tradycyjne barwy.

12. Pułk Ułanów nie został odtworzony w wojsku Królestwa Polskiego. Formowanie oddziału o tej nazwie rozpoczęło dopiero w trakcie Powstania Listopadowego, w maju 1831 roku na Litwie, ale świeżo utworzone zawiązki pułku zaledwie trzy miesiące później poniosły znaczne straty w bitwie pod Nowym Miastem Żmudzkiem i, zmuszone przez Moskali do przekroczenia pruskiej granicy, złożyły broń.

Warszawa, Lwów, Białokrynica i Mokra

Wymuszona przez Austriaków w czerwcu 1918 roku demobilizacja Lekkiej Brygady III Korpusu Polskiego objęła należący do tego związku taktycznego 7. Pułk Ułanów, sformowany na Podolu i serdecznie związany z tą ziemią. Kadra pułku zobowiązała się do utrzymania łączności koleżeńskej, mając nadzieję, że w nieodległym terminie będzie możliwe odtworzenie oddziału. Niespełna pół roku później odradzająca się Polska znalazła się w stanie wojny z Ukrainą, co wymusiło natychmiastowe formowanie oddziałów mogących zabezpieczyć granice południowo-wschodnie. W Warszawie, w listopadzie, kadra byłego 7. Pułku Ułanów stanęła w szeregach Szwadronu Jazdy Województwa Warszawskiego Odsieczy Lwowa. W święta Bożego Narodzenia oddział ten wyruszył do Małopolski Wschodniej, gdzie walczył przez trzy tygodnie. Po powrocie do stolicy został połączony z drugim, sformowanym w tym czasie szwadronem, tworząc wraz z nim dywizjon. 19 lutego 1919 roku rosnący dywizjon otrzymał nazwę 12. Pułku Ułanów Odsieczy Lwowa, a 7 maja tegoż roku wręczono mu sztandar. Już 3 maja, podczas defilady, na ułańskich lącach powiewały trójbarwne proporczyki, odwołujące się do tradycji z czasów



► Stempel do wyciskania na gorąco monogramu 12. Pułku Ułanów Podolskich na orłach z octanu celulozy

Fot. IPMS

Księstwa Warszawskiego. Związki żołnierzy dawnego 7. Pułku z Podolem były tak silne, że nazwa pułku, zatwierdzona ostatecznie 25 października 1919 roku, brzmiała: 12. Pułk Ułanów Podolskich.

Pułk ten wziął udział w wyprawie kijowskiej, a następnie prowadził walki opóźniające marsz Konnej Armii Siemiona Budionnego, tracąc ponad 40 proc. ludzi. Wojnę 1920 roku zakończył walką w bitwie pod Komarowem, szarżą pod Ołyką i udziałem w zagonie na Korosteń w składzie Korpusu Jazdy płk. Juliusza Rómmla. Dwudziestolecie międzywojenne pułk spędził w miejscowości Białokrynica, położonej nieopodal Krzemieńca na Podolu. Stamtąd też wyruszył do walki jesienią 1939 roku, zmobilizowany już w połowie sierpnia. Włączony do Wołyńskiej Brygady Kawalerii, zajął 31 sierpnia stanowiska na granicy polsko-niemieckiej. Od ranka 1 września walczył w swojej najsłynniejszej wrześniowej bitwie, pod Mokłą. 8 września wziął udział w boju pod Wolą Cyrusową, lecz już 15 września został ►

► Podpułkownik dypl. Leon Fudakowski, ostatni dowódca 12. Pułku Ułanów Podolskich, na pokładzie statku „Sea Robin”; na bierze widoczny orzeł produkcji firmy Alfred Stanley & Sons z cyfrą pułkową; październik 1946 roku

Fot. z archiwum Kola Żołnierzy 12. Pułku Ułanów Podolskich



właściwie rozbitą. Pododdziały pułku, rozrzucone po różnych zgrupowaniach, walczyły do końca kampanii bez łączności ze sobą.

ZSRR, Irak, Egipt i Włochy

Trójkolorowe proporczyki naszyli na swoje kołnierze żołnierze Dywizjonu Rozpoznawczego Dowództwa Armii Polskiej w ZSRR, utworzonego w sierpniu 1942 roku ze Szwadronu Przybocznego Dowódcy Armii. Był to pierwszy krok na drodze odtwarzania 12. Pułku Ułanów. Oddział, przemianowany już w Iraku na 12. Pułk Kawalerii Pancerniej, 1 grudnia 1943 roku otrzymał miano 12. Pułku Ułanów Podolskich. Niespełna miesiąc później został przetransportowany do Egiptu, a następnie opuścił Afrykę, by wziąć udział w kampanii włoskiej. Już niebawem podolscy ulani mieli się wstawić jako pierwsi alianccy żołnierze, którzy weszli do klasztoru Monte Cassino.

Ekonomiczne orły z brytyjskiej wytwórni

Deficyt surowców w latach wojny zmusił strony walczące do poszukiwania materiałów zastępczych wszędzie tam, gdzie tylko to było możliwe. Z powodu ogromnego zapotrzebowania na stopy miedzi, m.in. na mosiądz, dowództwo brytyjskie już od 1940 roku poszukiwało możliwości zastąpienia tej grupy surowców. W maju roku 1940 firma Alfred Stan-

ley & Sons z siedzibą w Walsall zaproponowała brytyjskiemu Ministerstwu Zaopatrzenia dostarczenie oznak naramiennych i czapkowych oraz guzików mundurowych w dowolnym kolorze, wykonanych z termoplastycznego tworzywa sztucznego – octanu celulozy. Jak wiele innych nowatorskich rozwiązań, i to znalazło licznych przeciwników, lecz ostatecznie w sierpniu 1941 roku zapadła decyzja o rozpoczęciu produkcji takich emblematów, w których przypadku wysoki nakład miał zrekompensować cenę wykonania drogiej formy wtryskowej.

Gotowe wyroby były poddawane starannym testom – badano m.in. odporność na światło, temperaturę i wilgoć, a także wytrzymałość metalowych zapięć. Od roku 1941 podjęto w kilku firmach produkcję licznych emblematów i guzików w trzech barwach: brązowej, srebrnej i w kolorze miedzi. Emblematy srebrne bywały dodatkowo lakierowane; proces ten prowadzono wyłącznie w firmie Alfred Stanley & Sons, która lakierowała również wyroby innych producentów.

Orły przeznaczone dla polskich żołnierzy produkowano z tworzywa barwy metalicznej, a następnie lakierowano.

► Podpułkownik dypl. Leon Fudakowski i oficerowie 12. Pułku Ułanów Podolskich z orłami pułkowymi na beretach; Neapol, październik 1946 roku

► Ulan Jerzy Pachon z orłem pułkowym na berecie; ten siedemnastolatek z Horodenki w powiecie kolomyjskim wyjechał z ojcem do Nowego Sącza, uciekając przed Armią Czerwoną; Niemcy wywieźli ojca do Dachau, a syna na roboty do Niemiec, skąd przez Francję przedostał się do Włoch, by wstąpić do 2. Korpusu Polskiego; Cingoli, 11 listopada 1945 roku



Do mocowania orłów były przeznaczone dwie blaszki, które umieszczano w formie przed wtrysnięciem tworzywa. Zamocowane w ten sposób zaczepy stawały się integralną częścią orła.

Pierwszy kontrakt na produkcję polskich godeł został podpisany 29 stycznia 1944 roku, a łącznie wyprodukowano 136 500 sztuk orłów. Część z nich dostarczono do przebywającego we Włoszech 12. Pułku Ułanów.

Orły 12. Pułku Ułanów

Umieszczanie cyfry pułkowej w polu tarczy amazonek orła jest tradycją sięgającą lat Księstwa Warszawskiego. Było kulturowane w armii Królestwa Polskiego i w polskich formacjach okresu I wojny światowej, a także w początkach istnienia odrodzonego Wojska Polskiego, zgodnie z rozkazami ubiorczymi z lat 1917 i 1919. W roku 1927, w ramach porządkowania kwestii umundurowania, został wydany rozkaz określający, że jedynym miejscem przeznaczonym do umieszczania cyfry pułkowej są naramienniki kurtek i płaszczy. W tym samym rozkazie, z datą wykonania do 1 lipca 1928 roku, zabroniono używania orłów z numerami pułków na tarczach amazonek. Ten stan rzeczy utrzymał się aż do końca istnienia II Rzeczypospolitej.

Orły z monogramem związanym „12 U” są jedynym przykładem seryjnego umieszczania cyfry pułkowej na godle czapkowym w 2. Korpusie Polskim. Podstawowym źródłem wyjaśniającym genezę tego zwyczaju jest relacja mjr. Michała Mińkowskiego, zamieszczona w monografii pułku: „Tradycją naszego 12. p. uł. było noszenie zawsze cyfry »12« w tarczy orzełka [...]». Gdy pułk w r. 1941 został odtworzony w ramach armii polskiej na wschodzie, początkowo jako szwadron przyboczny dowódcy armii, tradycja ta została utrzymana.



► Helm RAC Mk. I ppłk. dypl. Leona Fudakowskiego z malowanym orłem; na tarczy amazonek malowana żółta farbą „dwanastka”



Fot. IPMIS

Pobrane orzełki zaopatrywano w cyfrę »12«. Następnie każda partia orzełków otrzymywana z intendencji była przed wydaniem odpowiednio przestemplowana. Z cyfrą »12« w orzełku pułk przeszedł cały Środkowy i Bliski Wschód, kampanię włoską i P.K.P.R. [Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia], t.j. do dnia 9 maja 1949 – daty formalnego rozwiązania pułku”.

Major Mińkowski, który w kampanii wrześniowej dowodził szwadronem marszowym 12. pu., do szeregów pułku powrócił dopiero po wojnie, po uwolnieniu z obozu jenieckiego. Jego relacja ma wskutek tego pewne słabe punkty. Opisana przez niego kwestia używania orłów czapkowych z cyfrą pułkową przez wszystkich żołnierzy w czasie wojny bolszewickiej, a przez cały korpus oficerski w okresie międzywojennym jest dyskusyjna, aczkolwiek przypadki takie z pewnością się zdarzały. Jeśli jednak poddać analizie dalszy ciąg wypowiedzi, dotyczący okresu po odtworzeniu pułku, to brak dowodów na poparcie twierdzenia mjr. Mińkowskiego. Nie udało się jak dotąd odnaleźć choćby jednego egzemplarza orła z cyfrą 12. pułku, który można by datować z pewnością na czas między 1941 a 1944 rokiem; nie ma też zdjęć archiwalnych dokumentujących noszenie takich godeł. Wszystko wskazuje na to, że powrót do tradycji nastąpił dopiero podczas pobytu pułku we Włoszech, po otrzymaniu z Wielkiej Brytanii orłów produkowanych przez firmę Alfred Stanley & Sons. Termoplastyczne tworzywo można było łatwo odkształcać rozgrza-

nym narzędziem, wobec czego został wykonany stalowy stempel z drewnianym uchwytem, którym na gorąco wyciskano monogram pułkowy w polu tarczy amazonek. Tego właśnie działania dotyczy fragment relacji mjr. Mińkowskiego mówiący, że „każda partia orzełków otrzymywana z intendencji była przed wydaniem odpowiednio przestemplowana”. Z pewnością nie mogło ono mieć miejsca wcześniej niż w 1944 roku, a być może należy je datować na okres już po zakończeniu wojny. Zdjęcia wykonane podczas załadunku pułku na statek „Sea Robin” w Neapolu, w październiku 1946 roku, dokumentują używanie orłów firmy Alfred Stanley & Sons przez dowódcę pułku i innych oficerów. Inne zdjęcia, przedstawiające grupy podoficerów na pokładzie „Sea Robin”, pozwalają stwierdzić, że noszenie orłów Stanleya było w tym momencie w 12. Pułku Ułanów powszechne.

Cyfrę pułkową malowano niekiedy na hełmach. Wykonywano ją żółtą farbą na tle tarczy amazonek białą malowanego orła. Zachowanych jest kilka sztuk takich hełmów; w zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie znajduje się egzemplarz po ppłk. dypl. Leonie Fudakowskim.

Sławny proporczyk

W zbiorach instytutu jest przechowywana jeszcze jedna pamiątka pułkowa. To trójbarwny proporczyk, uszyty rankiem 18 maja 1944 roku przez plut. Jana Donocika, przemyskiego krawca, zesłańca, więźnia Starobielska i wreszcie podolskiego ułana. Górny, czerwony płat został wzięty z fragmentu flagi czerwonego krzyża, dolny – z niebieskiej chusty, którą plut. Donocik otrzymał od narzeczonej, białą żyłkę wykonano zaś z fragmentu bandaża. Ten właśnie proporczyk, zabrany przez idący do klasztoru patrol ppor. Kazimierza Gurbiela, został o godzinie 9.40 zatknięty na gruzach przez ułana Józefa Brulińskiego, obwieszając wszystkim obserwowającym szczyt zdobycie Monte Cassino. 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojkowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Vis pod okupacją

Michał Mackiewicz

Kilkadziesiąt tysięcy visów wyprodukowanych w Polsce do września 1939 roku blednie w zestawieniu z kilkuset tysiącami, które opuściły mury fabryki znajdującej się już pod zarządem okupacyjnym. Niemcy docenili walory polskiego pistoletu, a jego masowa produkcja była bez wątpienia miarą sukcesu polskich konstruktorów.

Niemcy zajęli Radom 8 września 1939 roku i zapewne niedługo potem wkroczyli na teren fabryki. Zastali tutaj całą linię produkcyjną, zapasy wyprodukowanych części oraz gotowe pistolety. Z uwagi na niewielkie straty i wobec dużej wydajności rodzimej zbrojeniówki, okupant nie był zainteresowany szybkim wznowieniem produkcji. W drugiej połowie 1940 roku fabryka w Radomiu weszła w skład austriackiego koncernu Steyr-Daimler-Puch AG jako Gewehrfabrik Radom. Początkowo Niemcy korzystali z oryginalnych polskich części, z których składali gotowe pistolety. Broń z tego okresu ma na zamku przedwojenne polskie napisy i godło państwowe, ale już niemieckie znaki odbiorcze i oznaczenie P.35(p), wybijane pod oryginalnym znakowaniem. Egzemplarze takie są szczególnie cenione na rynku kolekcjonerskim i zaliczane do „orłów”, czyli visów polskiej produkcji.

Zapotrzebowanie Wehrmachtu na broń krótką wzrosło przed atakiem na ZSRR. W początkach 1941 roku ruszyła masowa produkcja i wówczas po raz pierwszy vis pojawił się w dokumentach Heereswaffenamt (Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych). Kto stał za decyzją o wznowieniu produkcji visów, nie wiadomo. Trudno przypuszczać, aby były to organizacje paramilitarne czy też członkowie NSDAP, ci raczej nie byłiby zainteresowani dużym i ciężkim pistoletem wojskowym. Przyjmuje się, że większość wczesnych niemieckich visów trafiła do Kriegsmarine, odczuwającej znaczny niedosyt pistoletów, zwłaszcza wobec niezwykle dynamicznego rozwoju tej formacji. Pistolety te znakowano m.in. orłem marynarki wojennej i literą N wybitą na przedzie chwytu, będącą symbolem Dowództwa Floty Północnej w Wilhelmshaven. Należą one dzisiaj do absolutnie unikatowych, większość bowiem spoczęła na dnie oceanów wraz z U-Bootami.

► Niemiecki vis z wczesnej produkcji z 1941 roku; ten egzemplarz został zdobyty na zachodzie Europy przez żołnierza 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka

Pistolety produkowane przez Niemców znakowano w następujący sposób: na zamku z lewej strony wybijano jednowierszowy napis F.B.RADOM VIS Mod.35.Pat.Nr15567, a poniżej oznaczenie P.35(p), co oznaczało: Pistolet Modell 35 (polnisch). Ponadto na zamku znajdowały się znaki odbioru technicznego: niemiecki orzeł nad WaA77, oznaczający komisję w Radomiu, i orzeł nad WaA623 – odbiór w Steyr, tam bowiem dokonywano ostatecznego montażu pistoletów oraz produkowano lufy.

Visy produkowane przez Niemców miały cyfrowe numery nabijane mniej więcej w tym samym miejscu co polskie przedwojenne, a więc na szkielecie, z prawej strony tuż nad spustem. Po wyprodukowaniu pierwszych kilkunastu tysięcy wprowadzono literowy prefiks poprzedzający cyfry. Stosowano litery alfabetu od A do Z (z wyjątkiem I, O, Q, V, X, Y). Pistolety

Fot. MWPP



► Generalny Gubernator Hans Frank podczas wizyty w Fabryce Broni w Radomiu; widoczne gotowe szkielety visów

z serii od A do D (włącznie) produkowano starannie według wszelkich przedwojennych standardów i bez żadnych uproszczeń. Części były polerowane, a następnie oksydowane. Te pierwsze niemieckie visy, poza napisami w zasadzie niemal nieróżniące się od polskich, są określane przez kolekcjonerów i bronioznawców jako drugi wariant.

Oszczędności i uproszczenia

Z czasem, ze względów oszczędnościowych, Niemcy zrezygnowali z gniazda na dostawną kolbo-kaburę oraz podcięć przy kabłąku, ułatwiających ściągnięcie spustu osobom o mniejszych dłoniach. Kolejnym mało istotnym z praktycznego punktu widzenia, ale zauważalnym uproszczeniem technologicznym była rezygnacja z polerowania metalowych powierzchni przed oksydowaniem. To sprawiło, że wizualnie polski vis, w przeciwieństwie do niemieckiego, jawi się jako produkt wykonany perfekcyjnie. Pojawiły się również bakelitowe okładki chwytu w rozmaitych odcieniach brązu. Zmianie uległy także oznaczenia; zamiast orła nad WaA77, zaczęto stosować prostsze – orzeł nad 77, zrezygnowano też z oznaczenia P.35(p), wybijanego na zamku. Pod koniec „pierwszego alfabetu” (A–Z) uproszczono spust; dotąd

był on jednolity, natomiast od serii W robiono go już z kilku kawałków blachy, na początku dosyć starannie wykańczając, przez co wygląda, jakby był jednolity, potem kosmetyką się już nie przejmowano i wojenna tandeta bardzo rzuca się w oczy. Uproszczone visy „pierwszego alfabetu” są najczęściej określane w literaturze przedmiotu jako wariant trzeci.

Na przełomie 1943 i 1944 roku (seria Z „pierwszego alfabetu”) zdecydowano się na kolejne cięcia kosztów produkcji, które zaowocowało pojawieniem się ostatniej wersji visa, określanej jako wariant czwarty. Przede wszystkim usunięto zaczep zamka służący do rozbierania broni, zaczęły dominować okładki ceglaste, pojawiły się też wykonane z drewna. Latem 1944 roku groźba zajęcia fabryki w Radomiu przez Armię Czerwoną wydawała się całkiem realna, dlatego Niemcy zostali zmuszeni do ewakuacji całego wyposażenia. Pierwotnie transporty z Radomia miały zostać skierowane do wschodniej Austrii, do wchodzących w skład koncernu Steyr zakładów

► Niemiecki żołnierz na kole podbiegunowym; w przepisowej polskiej kaburze zdobyczyn vis



produkujących silniki lotnicze – Flugmotorenwerke Ostmark (FLUMO). Z powodu dewastujących nalotów alianckich nigdy tam jednak nie trafiły, a pociągi z częściami i wyposażeniem zaczęto kierować do Molln, miejscowości znajdującej się kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Steyr. Wydawało się to uzasadnione, w tej filii austriackiego koncernu produkowano bowiem lufy do visów. Jak się okazało, nie był to koniec perturbacji, gdyż w Molln po prostu nie było miejsca na zamontowanie całej linii produkcyjnej. Ostatecznie linię montażową i resztę wyposażenia zdecydowano się skierować do czeskiego Znojma (niem. Znaim), oddalonego od Steyr o przeszło 200 km. Od 1943 roku funkcjonowała tutaj filia Auto-Ersatzteilenwerkstätte Znaim, zajmująca się produkcją części samochodowych i silników lotniczych. W Czechach miejsca na radomskie wyposażenie było dosyć, ale problemów nie udało się uniknąć. Brak wykwalifikowanej siły roboczej (z znaczną część załogi stanowili robotnicy przymusowi) i chaotyczna organizacja ewakuacji wyposażenia wpłynęły na opóźnienie produkcji. Pierwsze visy ze Znojma były bez wątpienia składane z radomskich części, a fabrykacja nowych podzespołów ruszyła zapewne w końcu 1944 roku. W rezultacie w Znojmie wyprodukowano kilkanaście tysięcy pistoletów P.35(p). Tutaj także wprowadzono ostateczne uproszczenia, polegające na rezygnacji z teleskopowej żerdzi urządzenia powrotnego i zastosowaniu zamiast niej prostszej – sztywnej. I znów, jak poprzednio, walory użytkowe broni w najmniejszym stopniu nie ucierpiały. ►

Visy z ostatniej niemieckiej serii produkcyjnej odznaczają się często bardzo niestaranną obróbką części metalowych. Zakłady w Znojmie zakończyły ostatecznie swój żywot wiosną 1945 roku wskutek alianckich bombardowań. Wypada jeszcze wspomnieć o projekcie „oszczędnościowego” visa, czyli pistoletu wykonywanego w technologii tłoczenia i zgrzewania części. Mimo długotrwałych wysiłków nie udało się uruchomić jego produkcji.

Łącznie liczbę wyprodukowanych podczas okupacji pistoletów P.35(p) szacuje się na 320 tys. Trafiały one niewątpliwie do całego Wehrmachtu, choć trudno ocenić, jak kształtowała się ich liczba w rozbiciu na poszczególne rodzaje broni. Niektórzy sugerują, że poza marynarką wojenną głównym odbiorcą było SS. Teoria ta ma pewne uzasadnienie, formacja podległa Heinrichowi Himmlerowi korzystała bowiem z innych źródeł zaopatrzenia aniżeli Wehrmacht i chętnie sięgała po broń produkowaną w zakładach z okupowanych krajów.

Visy z podziemnej wytwórni

Fabryka Broni w Radomiu stanowiła dla polskiej konspiracji istotne źródło zaopatrzenia w broń krótką. Z początku były to pistolety składane z części ukrytych we wrzesciu przez pracowników firmy, którzy wynosili je na zewnątrz i tam montowali. Z czasem szmuglowanie elementów broni nabrało charakteru zorganizowanego, a do fabryki delegowano zakonspirowanych członków różnych organizacji ruchu oporu. Wynosili oni na zewnątrz same szkielety, z którymi następnie kompletowano lufy wykradzione wcześniej i pochodzące z przedwojennej produkcji. Po wyczerpaniu zapasu pojawił się jednakże problem uruchomienia ich produkcji, przy czym kluczowa była kwestia wykonywania gwintu. Na zlecenie powstałego w 1942 roku Szefostwa Produkcji Konspiracyjnej AK zadania tego podjęli się technik Teofil Czajkowski „Aleksy” oraz inżynier Ryszard Białostocki „Robert”, były rzeczoznawca z Centrali Odbiorczej Materiałów Uzbrojenia, który przed wojną dokonywał odbiorów visów w radomskiej

wytwórni. Początkowo prace prowadzono w warsztacie Czajkowskiego przy ul. Krochmalnej 57 w Warszawie, potem w zakonspirowanej suterenie na rogu Grochowskiej i Terespolskiej. W ciągu kilku miesięcy udało się opracować proces bruzdowania przewodów luf za pomocą przepychaczy, które wykonano w fabryce przy ul. Duchnickiej. W meldunku z 1 marca



Fot. MWPP

▶ Niemiecki spadochroniarz podczas walk o Drvar w Jugosławii; na pasie przepisowa niemiecka kabura z P.35(p)

1943 roku, skierowanym przez Komendanta Głównego AK do Naczelnego Wodza, informowano: „Opracowano metody specjalne do wyrobu lufek do visa”. W kolejnym, obejmującym okres od 1 marca do 1 sierpnia 1943 roku, znalazła się następująca adnotacja: „Projektuje się produk-



Fot. MWPP

▶ Niemiecki vis wyprodukowany w 1944 roku; zwraca uwagę bardzo niestaranne wykończenie i drewniane okładki chwyty; pistolet nie ma także zaczepu zamka



Fot. MWPP

▶ P.35(p) odnaleziony w latach siedemdziesiątych przy ul. Kamionkowskiej na warszawskiej Pradze podczas rozbiórki drewnianej szopy

cję lufek do visa (visy bez luf produkują w Radomiu)”. Po dostatecznym opanowaniu procesu bruzdowania i wytworzeniu około dwustu luf produkcję przeniesiono do warsztatu znajdującego się przy ul. Leszno 18. Był to nowoczesnie wyposażony zakład, który na zlecenie Niemców wykonywał zaczepy do bomb lotniczych. Materiał wykorzystywany przy produkcji stanowiły odkuwki z Fabryki Karabinów na Woli. Cały proces składał się: z obróbki zewnętrznej, wiercenia otworu w lufie, potem gwintowania i wreszcie polerowania i oksydowania. Wytwarzanie odbywało się podczas nocnej zmiany, a w czasie zmiany dziennej zajmowano się oficjalnymi zleceniami, przy czym prace były zintensyfikowane, tak aby wywiązywać się całkowicie ze zobowiązań wobec Niemców. Montaż całych pistoletów odbywał się poza warsztatem (części były wynoszone przez pracowników na ul. Elektoralną i pl. Grzybowski). Według Teofila Czajkowskiego, liczba wyprodukowanych luf do visów (równolegle produkowano także lufy do peemów) wyniosła 700 sztuk.

W meldunku KG AK za okres od 1 września 1943 do 29 lutego 1944 roku poinformowano o wyprodukowaniu dwustu lufek do visów i stu lufek do pistoletów maszynowych. 🇵🇵

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kirchholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

IV rozbiór Polski – puzzle edukacyjne

Paweł Kowalski

Dzięki nowym puzzlom przygotowanym przez IPN praca z mapą nie musi być dla uczniów trudnością nie do pokonania.

Wojak Szwejk twierdził, że wszystkie drogi prowadzą do czeskich Budziejowic, zatem podążając do tego zacnego grodu, nie korzystał z mapy. Z jakim skutkiem, wiedzą czytelnicy powieści Jaroslava Haška *Przygody dobrego wojaka Szwejka*. Dziś, w czasach systemu nawigacyjnego GPS, który prowadzi nas od drzwi do drzwi w prawie każdym zakątku świata, właściwie należałoby podzielić dystans bohatera słynnej humoreski wobec kartograficznych skamielin. Niestety, program nauczania historii i geografii nadal przewiduje obowiązkową pracę z mapą. Ponieważ większość uczniów ma małe szanse, by uniknąć tego „przykrego doświadczenia”, Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi podjął próbę przyjścia w sukurs potrzebującym.

A mówiąc już całkiem serio, mapa to jeden z ważniejszych środków dydaktycznych stosowanych na lekcji historii. Lokalizacja w przestrzeni odgrywa ważną rolę w poznawaniu minionych wydarzeń, ich porządkowaniu i synchronizacji. Współczesna edukacja oczekuje od nauczyciela stosowania aktywizujących metod kształcenia, wymagających zaangażowania uczniów podczas lekcji. Temu służą puzzle edukacyjne *IV rozbiór Polski* – narzędzie dydaktyczne, które ma pomóc w utrwalaniu materiału oraz kształcić umiejętność orientacji przestrzennej i czytania mapy.

Puzzle powstały w wyniku dwuletnich testów, prowadzonych podczas zajęć z uczniami wszystkich typów szkół na każdym etapie edukacji. Składają się z mapy historycznej okupowanej Polski (z końca 1939 roku) z uwzględnieniem wcześniejszych zmian granic w regionie, dokonanych w latach 1938–1939, naniesionej na tradycyjne puzzle o wymiarach 120 cm x 96 cm (ułożenie 156 elementów zajmuje ok. 12–15 minut), oraz 44 kart ze zdjęciami archiwalnymi, opatrzonych komentarzem historycznym systematyzującym wiedzę o wydarzeniach politycznych w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1938–1939. Prezentowane narzędzie dydaktyczne można wykorzystywać na lekcji historii: jako ćwiczenie zapoznające uczniów z mapą historyczną lub jako grę edukacyjną z wykorzystaniem mapy i kart informacyjnych.

W zależności od liczby jednostek lekcyjnych, którymi dysponuje nauczyciel, można przeprowadzić rozgrywki w trzech wariantach czasowych: pierwszy – 45 min, drugi – 90 min, trzeci – 120 min. W każdym z wariantów układamy z puzzli mapę.

Fot. OBEP IPN w Łodzi



Następnie przechodzimy do drugiej fazy gry, w której uczniowie losują ilustrowane karty miejscowości z komentarzem historycznym. Miejscowości wyszczególnione na kartach należy odnaleźć na mapie w określonym czasie i wyróżnić jednym z trzech znaczników chronologicznych. Trzy rodzaje znaczników symbolizują czas poprzedzający wybuch II wojny światowej, kampanię wrześniową i okupację ziem polskich w 1939 roku. Gracze otrzymują jeden punkt za poprawne wskazanie miejscowości na mapie i oznaczenie jej odpowiednim znacznikiem chronologicznym. Fazę trzecią rozgrywa się w wariantach 90 min i 120 min. W tej fazie uczestnicy gry ponownie losują wcześniej wykorzystywane karty miejscowości z komentarzem historycznym i w wyznaczonym czasie zbierają z mapy odpowiadające im znaczniki chronologiczne, za co otrzymują po jednym punkcie. Suma punktów zdobytych w poszczególnych fazach gry decyduje o zwycięstwie.

Puzzle można wykorzystać na lekcjach powtórzeniowych dotyczących sytuacji międzynarodowej w Europie w przededniu II wojny światowej, przebiegu i następstw kampanii wrześniowej 1939 roku oraz polityki władz sowieckich i niemieckich wobec ludności okupowanej Polski. Puzzle są przeznaczone dla uczniów w wieku od 12 lat. Zgodnie z podstawą programową mogą znaleźć zastosowanie w szkołach podstawowej i ponadgimnazjalnej. Trafia do odbiorców w drugim semestrze roku szkolnego 2015/2016. Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Łodzi planuje przeprowadzenie od marca br. szkoleń metodycznych, które zaznajomią nauczycieli z tą pomocą dydaktyczną. Każda szkoła za pośrednictwem uczestników zajęć otrzyma bezpłatnie trzy egzemplarze gry. W pierwszej kolejności będą to placówki położone na obszarze działania Oddziału IPN w Łodzi. Szkolenia będą organizowane w IPN, ośrodkach doskonalenia nauczycieli i szkołach. 📌

Paweł Kowalski – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi

PRZYSTANEK HISTORIA

Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki



ul. Marszałkowska 21/25, 0-628 Warszawa
faks (22) 576 30 02

www.ipn.gov.pl
przystanek.historia@ipn.gov.pl
facebook.com/przystanek.historia
przystanekhistoria.ipn.gov.pl

5–25 stycznia

Wystawa „**Koniec i początek. Rok 1945 na Górnym Śląsku**”, przygotowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Katowicach. Ekspozycja prezentuje m.in. zagadnienia związane z okupacją niemiecką, zakończeniem działań wojennych oraz wkroczeniem Armii Czerwonej na Górny Śląsk, deportacjami mieszkańców tego regionu do ZSRR, tworzeniem się polskiej administracji, polityką narodowościową (weryfikacja i rehabilitacja), wysiedleniem ludności niemieckiej, funkcjonowaniem systemu obozowego i odbudową życia społeczno-gospodarczego.

12 stycznia (wtorek), godz. 17:00

W ramach spotkania filmowego Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota” **projekcja filmu** Aleksandry Fudali i Adama Turuli **Tragedia Górnos Śląska 1945**. Komentarz historyczny wygłosi Sebastian Rosenbaum z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Katowicach. Prowadzenie: Bogusław Tracz (OBEP IPN Katowice). Wiosną 1945 r. ponad 30 tys. mieszkańców Górnego Śląska wywieziono do ZSRR. Wielu już nigdy nie wróciło do domów. Autorzy filmu dotarli nie tylko do potomków deportowanych, lecz także do tych, którym udało się przetrwać katorżniczą pracę w sowieckich łagrach.

13 stycznia (środa), godz. 17:30

O emigracyjnych instytucjach i dyplomacji bez państwa – spotkanie z cyklu „Polacy to naród emigrantów”. Na emigracji po 1945 znalazło się wielu polskich urzędników, dyplomatów i polityków. W Londynie i na świecie wciąż funkcjonowały dawne agendy rządowe, a wybitni dyplomaci, jak Edward Raczyński w Londynie, Kajetan Morawski w Paryżu czy Kazimierz Papée w Rzymie, wciąż reprezentowali interesy Polski. O tych mało znanych losach elity polskiego państwa na uchodźstwie będą rozmawiać dr hab. Sławomir Łukasiewicz, koordynator projektu badawczego IPN poświęconego losom emigracji, oraz dr hab. Sławomir Nowinowski (UŁ), historyk dyplomacji i polskiej emigracji.

14 stycznia (czwartek), godz. 17:00

Wykład z cyklu „**Spacerkiem po Warszawie. Rozwój architektury i budownictwa XIX/XX w. Infrastruktura miejska do 1939 r.**”. Cykl prowadzi Jarosław Zieliński, historyk architektury i ceniony warsawianista. W tej edycji zostaną przedstawione założenia architektoniczne i urbanistyczne oraz ich stylistyka, a także ich wpływ na kształt miasta i życie mieszkańców.

15 stycznia (piątek), godz. 17:30

Dyskusja z cyklu „**Historia z Piotrem Skwiecieńskim**”. Tematem spotkania będzie **Powstanie Warszawskie**. Czy można było go uniknąć, a może nie trzeba było unikać? Będą o tym rozmawiać dr Władysław Bulhak (IPN), badacz polskiego podziemia lat 1939–1945, i Jan Oldakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego.

16 stycznia (sobota), godz. 9:00

„**Z dała od Kraju**” – **kultura i myśl polityczna na emigracji** – szkolenie dla nauczycieli historii i WOS szkół ponadgimnazjalnych. Współorganizatorem kursu jest Warszawskie Centrum Innowacji Edukacyjno-Spolecznych i Szkoleń. Informacje i zgłoszenia: barbara.pamrow@ipn.gov.pl.

18 stycznia (poniedziałek), godz. 17:00

Seminarium „**Polskie kino powojenne – twórcy i filmy. Kino według Filipa Bajona**”. Prof. Piotr Zwierchowski, historyk filmu, przedstawi twórczość znanego scenarzysty i reżysera.

18 stycznia (poniedziałek), godz. 18:00

Seminarium popularnonaukowe „**Konflikty zimnowojenne**” ukazujące dzieje najważniejszych konfliktów w czasie zimnej wojny. Wykład „**Rola broni atomowej w konflikcie zimnowojennym**” wygłosi prof. Bohdan Szklarski.

19 stycznia (wtorek), godz. 17:30

Prezentacja nowego wydania publikacji **Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945**. W spotkaniu weźmie udział dr hab. Waldemar Grabowski (IPN), autor wprowadzenia do książki. Nowa edycja tego fundamentalnego dzieła zawiera, oprócz znanych już dokumentów, również te dotychczas niepublikowane.

21 stycznia (czwartek), godz. 13:00

Spotkanie Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota”. Wykład „**Rok 1945 na Górnym Śląsku – fakty i pamięć**” wygłosi dr Dariusz Węgrzyn (OBEP IPN Katowice). Prowadzenie: dr Sebastian Rosenbaum.

23 stycznia (sobota), godz. 11:00

Zajęcia z cyklu „**Rodzina Sobota**” dla dzieci w wieku 6–13 lat i rodziców. Dla młodszej grupy (6–9) przygotowaliśmy nowy cykl zajęć „**Co by było, gdyby zwierzęta mówiły?**”. W styczniu o **II wojnie światowej opowie miś Wojtek**, uczestnik bitwy o Monte Cassino. Starsza grupa (10–13) będzie uczestniczyć w zajęciach przygotowanych z wykorzystaniem gry edukacyjnej IPN **303. Bitwa o Wielką Brytanię**. Informacje i zapisy: magdalena.bogdan@ipn.gov.pl.

25 stycznia (poniedziałek), godz. 17:30

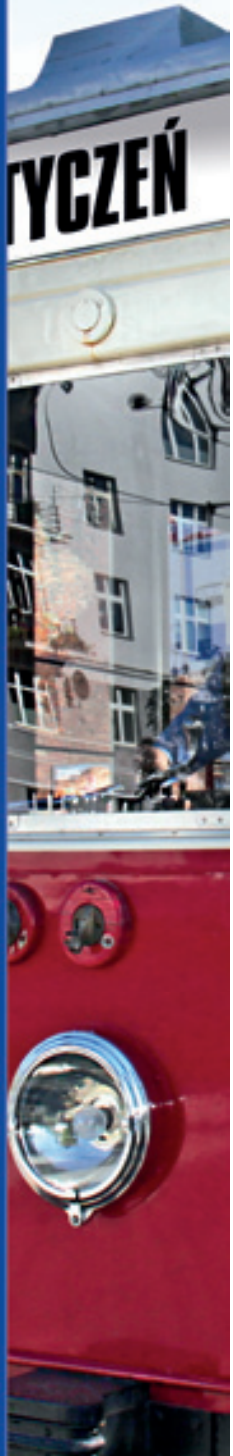
„**Studium tyranii. Archiwum ciechanowskiego gestapo**” – spotkanie z cyklu „Laboratorium archiwalne 1.0.”, realizowanego wspólnie z archiwum Instytutu (Biurem Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów). Zajęcia mają charakter warsztatów, których uczestnicy będą mogli się zapoznać z najciekawszymi źródłami przechowywanymi w archiwum IPN.

27 stycznia (środa), godz. 17:30

„**Julian Haraschin: integralny człowiek systemu**” – spotkanie z cyklu „**Krakowska Łoza Historii Współczesnej w Warszawie**”. O książce Krystiana Brodackiego **Trzy twarze Juliana Haraschina** będą rozmawiać goście Romana Graczyka: Krystian Brodacki i dr hab. Filip Musiał. Haraschin to stalowski sędzia, producent fałszywych dyplomów na Wydziale Prawa UJ, wieloletni tajny współpracownik SB. Podczas dyskusji spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, co było motorem jego działania.

28 stycznia (czwartek), godz. 17:30

Promocja książki Rafała Łatki **Polityka władz PRL wobec Kościoła katolickiego w województwie krakowskim w latach 1980–1989**. W rozmowie o książce wezmą udział: prof. Antoni Dudek, prof. Jan Żaryn oraz autor. Prowadzenie: Roman Graczyk. „Książka Rafała Łatki to wnikliwe studium polityki władz komunistycznych wobec Kościoła katolickiego w ostatniej dekadzie istnienia PRL” (z recenzji prof. Antoniego Dudka).



Widziane z Bonn

Książka Małgorzaty Świder *Stanowisko Socjaldemokratycznej Partii Niemiec wobec Polski w latach 1980–1989*, napisana na podstawie bogatego materiału źródłowego, to pierwsza praca, która tak szczegółowo i wnikliwie przedstawia tytułowe zagadnienia. Autorka wykorzystala przede wszystkim dokumenty przechowywane w archiwum SPD w Bonn, a oprócz nich także akta Niemieckiej Federacji Związków Zawodowych (DGB) czy policji politycznej NRD (Stasi). W ten sposób wprowadziła do obiegu naukowe wiele ważnych i niewykorzystywanych dotąd szerszej źródła. Uwzględniła również materiały z archiwów polskich: Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Archiwum Akt Nowych i Instytutu Pamięci Narodowej, a także liczne wydawnictwa źródłowe, niemiecką prasę, wspomnienia i pamiętniki świadków historii oraz literaturę przedmiotu. W bibliografii odnotowała blisko czterysta opracowań, w przeważającej części w języku niemieckim.

Bazę źródłową pracy można by było jeszcze uzupełnić o dokumenty z Archiwum Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Historycy dość rzadko prowadzą kwerendy w tej placówce. Znajduje się tam przede wszystkim bardzo obszerny zespół akt Biura Koordynacyjnego Solidarności w Brukseli, które prowadziło rozległą korespondencję z różnymi osobami i instytucjami na Zachodzie, w tym w RFN. Kierownictwo SPD przez długi czas unikało bezpośrednich kontaktów z polską opozycją, ale z przebywającymi na Zachodzie opozycjonistami łączność podtrzymywali działacze zachodniemieckich związków zawodowych (DGB), powiązanych z SPD.

Praca ma logiczną konstrukcję. Dzieli się na dwa zasadnicze okresy: 1980–1982, gdy SPD (wraz z FDP) była partią współrządzającą, oraz 1982–1989, gdy socjaldemokraci pozostawali w opozycji do koalicji chadecko-liberalnej. W początkowym okresie obawa przed interwencją sowiecką była stałym elementem postawy SPD wobec wydarzeń w Polsce.

Sensacyjnie brzmi wzmianka, że w sierpniu 1980 roku opozycyjne CDU/CSU miały przesłać za pośrednictwem kręgów kościelnych 400 tys. marek zachodniemieckich na rzecz wsparcia strajków w PRL. Źródłem tych rewelacji była Stasi. Informacji o rzekomym wsparciu finansowym strajków w Polsce ze strony niemieckiej nie potwierdzają jednak żadne inne dokumenty.

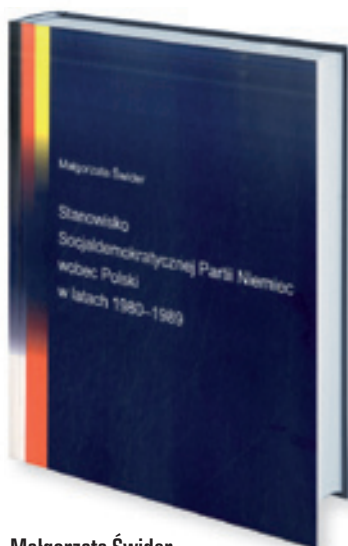
Gdy SPD była partią rządzącą, najwięcej kontrowersji wzbudziła postawa władz RFN wobec stanu wojennego w Polsce. 13 grudnia 1981 roku kanclerz Helmut Schmidt przebywał z wizytą w NRD. Tego dnia, podczas wspólnej konferencji prasowej ze wschodniemieckim przywódcą Erichem Honeckerem, odnosząc się do sytuacji w PRL, stwierdził: „Żałuję, że było to konieczne”. Według kanclerza RFN stan wojenny był „konieczny”, bo jeśli nie zażegnał, to przynajmniej zminimalizował groźbę sowieckiej interwencji wojskowej. Kilka dni później na posiedzeniu frakcji parlamentarnej SPD Schmidt, podtrzymując swoją wcześniejszą opinię, przekonywał, że gen. Wojciech Jaruzelski próbował „zapobiec większemu złu”.

Zachodniemieccy socjaldemokraci nie wzbraniali się także przed osobistymi kontaktami z przedstawicielami władz w Warszawie. Już 30 grudnia 1981 roku wicepremier Mieczysław Rakowski podczas wizyty w RFN tłumaczył politykom SPD ówczesną sytuację w Polsce. Trzeba dodać, że przedstawiciele władz PRL jeszcze długo nie byli przyjmowani w żadnym innym kraju zachodnim. Do Polski jeździli też niektórzy wpływowi politycy SPD, choć ich wizyty nie miały charakteru oficjalnego. Socjaldemokraci unikali natomiast rozmów z przedstawicielami polskiej opozycji. Mało znane informacje o wzajemnych kontaktach partyjno-rządowych po 13 grudnia oraz rozmowach z dostojnikami Kościoła katolickiego w Polsce (np. jesienią 1982 roku kanclerz Schmidt spotkał się z prymasem Józefem Glempem) to chyba najciekawsze fragmenty książki.

Stanowisko SPD wobec Polski nie zmieniło się zasadniczo po przejściu socjaldemokratów do opozycji. Nadal podtrzymywali oni rozbudowane kontakty z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą i rządem PRL. Jak trafnie zauważyła Świder, dla władz w Warszawie dobre stosunki z SPD były substytutem relacji międzypaństwowych, stały się też pomocne w wychodzeniu PRL z izolacji politycznej. Dla zachodniemieckich socjaldemokratów długo, bardzo długo dobre relacje z „reformatorami” z PZPR miały zdecydowanie większe znaczenie niż kontakty z działaczami polskiej opozycji politycznej.

Dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych taktyka SPD wobec opozycji w PRL ewoluowała. Przyczyniły się do tego zmiany w Związku Sowieckim i pozostałych krajach komunistycznych. Nie bez znaczenia było też odejście w 1987 roku z funkcji przewodniczącego SPD Willy’ego Brandta, który był niechętny kontaktom z polską opozycją. Jeśli Świder szczegółowo omawia rozmowy polityków SPD z PZPR i rządem PRL, to odnotowując różne spotkania z opozycjonistami w końcu lat osiemdziesiątych, nie zawsze podaje nazwiska polskich rozmówców, a przede wszystkim nie informuje, o czym rozmawiano, jakie były poglądy, oczekiwania, sugestie jednej i drugiej strony. Dowiadujemy się ogólnie, że w 1988 roku socjaldemokraci utrzymywali kontakt głównie z Bronisławem Geremkiem, którego uznawali za mózg opozycji. Rozmawiali z nim twarzą w twarz lub telefonicznie, o czym – co znamienne – za każdym razem mieli informować władze PRL. To, co najbardziej interesujące, czyli treść tych rozmów, pozostaje jednak nieznane. W innym miejscu czytamy, że Fundacja Eberta utrzymywała z Geremkiem „od dawna rozległe kontakty”, ale informacji, od jak dawna i na czym one polegały, w książce już nie znajdziemy. Świder stwierdza też, że „do niektórych opozycjonistów odnoszono się z daleko idącą rezerwą”. Nie dowiemy się jednak, do których i dlaczego. Trafna jest generalna konstatacja, że bodaj największym błędem SPD w stosunkach z Polską w latach osiemdziesiątych było niedocnienie w porę i należyście roli oraz wzrostu znaczenia opozycji politycznej w PRL. ■

Krzysztof Tarka



Małgorzata Świder, *Stanowisko Socjaldemokratycznej Partii Niemiec wobec Polski w latach 1980–1989*, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2015, 532 s.

Od Raczkiewicza do Kaczorowskiego

22 grudnia 1990 roku Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, przekazał prezydentowi Lechowi Wałęsie insygnia władzy. Ten uroczysty i symboliczny gest był ostatnim akcentem funkcjonowania władz polskich na emigracji. W artykule 2 Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej o zakończeniu działalności i rozwiązaniu Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie z 20 grudnia 1990 roku czytamy: „Misja Prezydenta Rzeczypospolitej na Uchodźstwie została wypełniona i zakończona”.

Kim byli ludzie, którzy od wybuchu II wojny światowej aż do 1990 roku tworzyli władze, będące dla wielu symbolem niepodległej Polski? W jakim stopniu mogli realizować swoje marzenia o odzyskaniu suwerennej ojczyzny? Jak ogromnego wysiłku wymagało od nich trudne zadanie nieustannego przypominania o Polsce, podtrzymywania nadziei na odzyskanie pełnej wolności? W jakich warunkach przyszło im wypełniać tę misję? Odpowiedzi na te pytania przynosi najnowsza publikacja Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku *Poczet Prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie w latach 1939–1990*. Uroczysta prezentacja albumu odbyła się w Senacie Rzeczypospolitej Polskiej 22 grudnia 2015 roku. Prezydent RP Andrzej Duda w przedmowie do publikacji napisał: „Dzieje władz Rzeczypospolitej na uchodźstwie są przykładem, że wierność Ojczyźnie ma moc ocalić etos państwa i ducha narodu”. Zamieszczone w *Poczte...* obszernie artykuły przedstawiające sylwetki kolejnych emigracyjnych prezydentów są wyraźnym potwierdzeniem tych słów. Szczególnie że praca poza granicami kraju, którym rządziła obca, narzucona władza, bez znaczącego wsparcia międzynarodowego, pod ogniem komunistycznej propagandy, nie była łatwa.

Mirosław Dymarski opisał życie i działalność Władysława Raczkiewicza, Marek Kornat nakreślił sylwetkę Augusta Zaleskiego. Postać Stanisława Ostrowskiego przybliżył czytelnikom Paweł Libera. Losy kolejnego prezydenta, Edwarda Raczyńskiego, opisał Piotr Kardela. Jacek Krzysztof Danel opracował życiorys Kazimierza Sabbata, a Krzysztof Tarka przybliżył losy ostatniego z prezydentów wygnañców – Ryszarda Kaczorowskiego.

Autorzy przedstawili biografie sześciu prezydentów na uchodźstwie, poczynając od dzieciństwa. Dowiadujemy się zatem, w jakich domach dorastali przyszli prezydenci, jakie mieli zainteresowania, jaką odebrali edukację. To stopniowe poznawanie środowiska, w którym wzrastali, pozwala prześledzić kształtowanie się poglądów bohaterów publikacji, ich systemu wartości, któremu pozostali wierni przez całe życie. Zasadnicza część prezydenckich biografów została zaprezentowana na tle wydarzeń lat 1939–1990. Jest to cenne uzupełnienie prezentowanych życiorysów. Decyzje, przed którymi stawali bohaterowie *Pocztu...*, były przecież warunkowane zarówno polityką międzynarodową, jak i sytuacją w Polsce. Przełomowe momenty lat 1956, 1968, 1970, 1976 czy wreszcie roku 1980 odbi-

jały się w Londynie bardzo szerokim echem i wywarły wpływ na działania polityków na obczyźnie. Niezwykle interesujące są opisy starań polskich polityków o wywołanie zainteresowania opinii międzynarodowej sytuacją w ich ojczyźnie. Czy były to starania skuteczne i jaki przynosiły skutek?

Rząd na uchodźstwie nie działał w próżni, funkcjonował w określonych warunkach emigracji. Chociaż cel, do którego dążyli wszyscy działacze – czyli wolna Polska – był wspólny, to środowisko to nie było wolne od konfliktów i sporów. Między innymi o różnicach i podziałach, które istniały wśród emigracyjnych polityków i niekiedy utrudniały działalność, pisze Rafał Habielski w rozdziale wstępnym, zatytułowanym *O legalizmie i życiu politycznym poza krajem*. Autor szczegółowo, ale klarownie przybliżył czytelnikowi niuanse polityki prowadzonej poza granicami Polski. Obraz sporów i zróżnicowanych poglądów czołowych działaczy głównych ugrupowań emigracyjnych chwilami wydaje się przytłaczający, a różnice zdań między nimi wręcz nie do pogodzenia. Urząd prezydenta był wszak sprawowany – jak pisze w przedmowie do publikacji prezes IPN Łukasz Kamiński – „przez osoby różnego formatu politycznego, ludzi z krwi i kości, z charakterystycznymi dla każdego zaletami i słabościami”.

Publikację zamyka tekst Tadeusza Wolszy *Czy warto było trwać? Władze RP na obczyźnie w latach 1939–1990 w obliczu wydarzeń krajowych i międzynarodowych*. Autor, poza odpowiedzią na postawione w tytule pytanie, dokonał szczegółowej analizy stanu dotychczasowych badań nad zagadnieniem działalności rządu na uchodźstwie. Usystematyzował również zasadnicze cele i kierunki działań władz emigracyjnych, które zamknął w czterech punktach. Na pierwszym miejscu w tej swoistej hierarchii umieścił „gromadzenie, analizę i diagnozowanie sytuacji politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturalnej w kraju, z uwzględnieniem strategii przystosowawczych, ze szczególnym wskazaniem na skalę sowieckizacji życia codziennego i społeczno-politycznego w Polsce”. Było

to zadanie ogromne, wymagające nakładu wielu sił i środków. Czy politycy emigracyjni temu sprościli? Wypada się zgodzić z Tadeuszem Wolszą, który w zdaniu zamykającym książkę pisze: „Druga wielka emigracja lat 1939–1989 dobrze przysłużyła się krajowi”.

Poczet... uzupełnia i porządkuje wiedzę o władzach polskich na emigracji. Na dodatek czyni to w sposób przystępny. Publikacja została przygotowana starannie i rzetelnie. Każdy artykuł otwiera zdjęcie bohatera tekstu i faksymile jego podpisu. Oprócz wykazu prezydentów zamieszczono również spis premierów wraz z okresami urzędowania, członków Rady Trzech oraz przewodniczących Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego. Książkę zaopatrzone w indeks osób oraz wierszę anglojęzyczną prezentowanych artykułów. Nowy album IPN to użyteczny przewodnik po świecie polityki na emigracji, a jednocześnie wyraz pamięci i szacunku dla wkładu prezydentów na uchodźstwie w odzyskanie przez Polskę niepodległości. 🇵🇱

Emilia Świętochowska



Poczet Prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie w latach 1939–1990, red. naukowa Rafał Habielski, IPN, Białystok 2015, 222 s.



■ *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945, t. 1, cz. 1: Wrzesień 1939 - czerwiec 1941*, wyd. II (poprawione i uzupełnione), IPN, Studium Polski Podziemnej - Instytut

Polski i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, Warszawa 2015, 464 s. + 24 s. wkł. il. + mapy

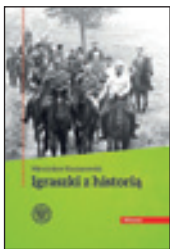


■ *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945, t. 1, cz. 2: Wrzesień 1939 - czerwiec 1941*, wyd. II (poprawione i uzupełnione), IPN, Studium Polski Podziemnej - Instytut

Polski i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, Warszawa 2015, 508 s. + mapa



■ Piotr Brzeziński, Robert Chrzanowski, Tomasz Słomczyński, *Pogrzebani nocą. Ofiary Grudnia '70 na Wybrzeżu Gdańskim. Wspomnienia, dokumenty*, IPN, Polskapress sp. z o.o., Gdańsk 2015, 256 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Mieczysław Kaczanowski, *Igraszki z historią*, red. Marcin Stefaniak, IPN, Szczecin 2015, 218 s.



■ Marcin Kruszyński, *Uniwerytet Marii Curie-Skłodowskiej w latach 1944-1989. Zarys dziejów uczelni w warunkach PRL*, IPN, Lublin 2015, 440 s.



■ *Komunistyczny aparat represji wobec Polskiej Prowinacji Dominikanów*, red. M. Miławicki OP, M. Wenklar, IPN, Dominikański Instytut Historyczny w Krakowie, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2015, 485 s.



■ Bartłomiej Noszczak, *Etos gniewu. Antykomunistyczne organizacje młodzieżowe w Warszawie (1944-1989)*, IPN, Warszawa 2015, 960 s.



■ „Pamięć i Sprawiedliwość” 2015, nr 1 (25), IPN, Warszawa 2015, 384 s.



■ Jan Pietrzykowski SDB, *Towarzystwo Salezjańskie w Polsce w warunkach okupacji 1939-1945*, IPN, Warszawa 2015, 366 s.



■ *Referendum z 30 czerwca 1946 roku w województwie poznańskim w dokumentach UB. Wybór źródeł*, oprac. A. Chmielewska-Metka, T. Cieślak, P. Drzymala, W. Makuch, P. Orzechowski, A. Pawlicki, IPN, Poznań 2015, 930 s.



■ Tadeusz Ruzikowski, *Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Solidarności. Relacje i dokumenty*, IPN, Warszawa 2015, 655 s. + 20 s. wkł. zdj.



■ *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku*, t. 2, red. W. Skóra, P. Skubisz, IPN, Szczecin 2015, 766 s.



■ Marek Szymaniak, *„Nade wszystko Ojczyzna...”*. Wacław Polewczyński „Połomski” (1898-1948), IPN, Bydgoszcz-Gdańsk 2015, 132 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ *Obrona Grodna 1939 r.*, scenariusz T. Robaczewski, rysunki H. Ronek, koncepcja serii, wkładka historyczna i konsultacja historyczna T. Łabuszewski (seria „Wojenna Odyseja Antka Srebrnego 1939-1944”, z. 1), IPN, Warszawa 2015, 42 s.



■ *Ucieczka z nieludzkiej ziemi 1940 r.*, scenariusz T. Robaczewski, rysunki H. Ronek, koncepcja serii, wkładka historyczna i konsultacja historyczna T. Łabuszewski (seria „Wojenna Odyseja Antka Srebrnego 1939-1944”, z. 2), IPN, Warszawa 2015, 42 s.



■ *Szczury Tobruku 1941 r.*, scenariusz T. Robaczewski, rysunki H. Ronek, koncepcja serii, wkładka historyczna i konsultacja historyczna T. Łabuszewski (seria „Wojenna Odyseja Antka Srebrnego 1939-1944”, z. 3), IPN, Warszawa 2015, 38 s.



■ *Bitwa pod Monte Cassino 1944 r.*, scenariusz T. Robaczewski, rysunki H. Ronek, koncepcja serii, wkładka historyczna i konsultacja historyczna T. Łabuszewski (seria „Wojenna Odyseja Antka Srebrnego 1939-1944”, z. 4), IPN, Warszawa 2015, 42 s.

Instytut Pamięci Narodowej - Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa, tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane obok.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

Zamówienia można składać telefonicznie: tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79; 22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl; joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

Nowa gra
planszowa IPN



**W OBRONIE
LWOWA**



Rok 1920

to nie tylko Bitwa Warszawska

16  **kontra** **17**   

**Niezwykłe starcie polskiego lotnictwa
z bolszewicką kawalerią**



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Patron medialny:

pamięć.pl



pamiec.pl/gra7

Gra „7. W obronie
Lwowa” do nabycia
w punktach sprzedaży
IPN oraz w dobrych
skleпах z grami
planszowymi.

